

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Jerzy Niemczuk**

# **Stefan**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Imię to przecież tylko hasło, znak wywoławczy. Wiec powiedzmy: Stefan. Powiedzmy: Anna. Ale wokół nich inni: jak w ciepłe popołudnie na ruchliwej ulicy tasują się – jakby z pomieszanych przedziwnie talii kart – twarze, gesty, słowa. I w tym tłumie każdy jest i nie jest sam. Jak to w życiu albo w książce, jak na ulicy. Wiec Bogdan, Anna, Stefan. Wiec ja...

## *Z dziennika młodocianego pechowca*

Długo się zastanawiałem, czy mam prawo pisać dziennik. Nie jestem przecież człowiekiem wielkim i niczym specjalnym się dotąd nie wyróżniłem. Doszedłem jednak do wniosku, że moje skromne przemyślenia mogą mieć jakąś wartość dla przyszłego badacza doli młodości w drugiej połowie dwudziestego wieku.

Jestem z natury raczej skryty. Na imię mam Stefan. Niby te dwie sprawy, imię i moja natura nie mają ze sobą nic wspólnego, nie jest to jednak zupełna prawda. Stefan nie jest moim ulubionym imieniem. Niestety, imienia i rodziców człowiek nie wybiera. Nie mam nic szczególnego przeciwko rodzicom. Staram się nawet zrozumieć ich i wytłumaczyć. Domyślam się, że w dzieciństwie dostali wycisk od swoich starych i po latach muszą się na kimś odegrać. Jak widać, mimo że mam dopiero niecałe szesnaście lat, jestem obiektywny i tolerancyjny. Dopóki moi bracia byli w domu, niesprawiedliwość rozkładała się na trzech i można było jakoś wytrzymać. Odkąd Michał wyrwał się na AWF pod pozorem zapalenia do nauki, zostałem w domu sam. Andrzeja nie liczę, bo z nami nie mieszka, a do tego ma już własne dziecko, które poddał działaniu tak zwanego procesu wychowawczego. Od razu powiedziałem, że dziecko nie ma najmniejszych szans na wygranie tego procesu. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Błąd polega na tym, że nikt nas nie pyta, jak trzeba wychowywać, chociaż jesteśmy tym najbardziej zainteresowani. Uważam, że młodzież, która tak jak ja ma własne na ten temat przemyślenia, powinna prowadzić wykłady dla rodziców. Dorośli, jak wiadomo, za szybko tracą kontakt z rzeczywistością. Niestety, pod tym względem świat pozostał w tyle. Ogólny postęp nas nie objął.

Mój ojciec jest kierownikiem w „Społem”. Nigdy nie był w wojsku i pewnie dlatego przepada za dyscypliną. Jeśli na moją osobę padnie choć cień podejrzenia, ojciec zakłada mi szlaban. „Jesteś zatrzymany do wyjaśnienia” mawia wówczas.

Z zamyślenia wyrwał go dobiegający zza drzwi krzepki głos ojca. Słysząc było z kuchni trzaskanie pokrywek, widocznie ojciec nie zdążył jeszcze zjeść. Stefan wolałby się spotkać z nim po obiedzie, ojciec najedzony wykazywał zwykle więcej tolerancji.

– Stefek, ogłuchłeś! – głos ojca osiągnął stadium ostatecznego zniecierpliwienia. Stefan zatrzasnął dziennik i wsunął go za rząd książek.

Kiedy wszedł do kuchni, ojciec z podejrzliwą miną grzebał w zupie. Speszył się nieco, gdy zobaczył Stefana. Lubił wiedzieć, co je, i był nieszczęśliwy, gdy nie znał składników potrawy. Do garów zaglądał w tajemnicy, o czym zresztą wszyscy wiedzieli. Oficjalnie natomiast głosił pogląd, że wszystko nadaje się do jedzenia i bezwzględnie tępił wszelkie przejawy nie-subordynacji przy stole.

– Zupa – stwierdził niepewnie zerkając na syna. – A matki nie ma?

– Zakotwiczyła się w kolejce po olej. Ojciec skinął głową z aprobatą, myśl o niewielkim zapasie oleju poprawiła mu nieco humor. Zupa okazała się niezbyt smaczna. Zmarszczył lekko brwi. Stefan westchnął bezgłośnie. Wiedział już, że za chwilę padnie sakramentalne pytanie, i jak zwykle nie omylił się.

– Melduj, co w szkole – powiedział ojciec patrząc z wyrzutem na resztkę zupy.

– Normalnie.

– Co to znaczy „normalnie”?! – odpowiedź nie przypadła ojcu do gustu. A poza tym obiad powinien być dwudaniowy.

– To, co zwykle – Stefan wzruszył ramionami, co nie uszło uwagi ojca.

– Zwykle są kłopoty. Więc, co tym razem?

– Tym razem bezet – mruknął.

– Co to znaczy „bezet”? – i na wszelki wypadek dorzucił: – Jak ty się zwracasz do starszego?... To znaczy do ojca.

– Nic takiego nie powiedziałem. „Bezet” to w skrócie „bez zmian”.

Ojciec namyślał się chwilę, wreszcie uznał, że to prawdopodobne, z drugiej jednak strony sytuacja wymagała podtrzymania rodzicielskiego autorytetu. Rzucił więc złowieszczo:

– Oj, Stefan, Stefan, żebym ja ci wolnego czasu nie skrócił.

Chłopak jęknął i przybrał minę torturowanej niewinności.

– Za co? Słowo daję, że nic nie zrobiłem. W wojsku też się stosuje skróty. Mówi się na przykład „enpel” na nieprzyjaciela – dodał przebiegle znając słabość ojca do munduru.

Ale w wojsku obowiązuje dyscyplina i odpowiedni sposób zwracania się do przełożonych. W domu ja jestem twoim przełożonym.

– Wiem, w stopniu ojca – mruknął pod nosem chłopak.

– Co powiedziałeś?

– Nic ważnego.

– Przynieś teczkę.

Chłopak powlókł się do swojego pokoju zgrzytając zębami. Kiedy wrócił, padła następna komenda:

– Rozpakować!

– Tak jest.

Ojciec przez chwilę spoglądał na niego podejrzliwie.

– Dzienniczek.

– Jest dzienniczek! – wrzasnął Stefan i strzelił obcasami.

– Przestań się wygłupiać, nie występujesz w cyrku.

Przeglądał dzienniczek kiwając z politowaniem głową nad bezmiarem wypisanych tam występów. Stefan stał spokojnie. Co najmniej od tygodnia – konto miał czyste. Nagle ojciec drgnął i wlepił oczy w niepozorny tekst, który należał już do odległej historii.

– Aaaa! I co my tu widzimy? – cedził słowa z wyraźną satysfakcją. – A to co?

– Tato, przecież to sprawa nieaktualna, sprzed tygodnia. To już przedawnione, a poza tym matka podpisała. Musiała ci o tym mówić – tłumaczył się gęsto. – Zresztą, to było nieporozumienie. Nauczycielka napisała to w szoku.

Ojciec uniósł brwi i wydał wargi.

– W szoku, mówisz? To posłuchaj: „Proszę spowodować, żeby syn Państwa nie przynosił na lekcję chemii zwierząt domowych.” – Odczekał chwilę, nim przystąpił do właściwej analizy tekstu: – Człowiek w szoku nie napisze ani „proszę spowodować”, ani „zwierząt domowych”. To brzmi zbyt urzędowo i poprawnie.

– To w takim razie, skąd tam się wzięły zwierzęta domowe w liczbie mnogiej, kiedy chodziło o jednego kota, do tego zupełnie małego? – dowodził z przekonaniem Stefan czując, że gramatyka jest po jego stronie. Ale ojciec swoim zwyczajem odwrócił kota ogonem.

– Dlaczego przynosisz do szkoły zwierzę domowe i przede wszystkim, skąd je wzięłeś?

– To był jeden kot. Całkiem mały!

– Dla głupiego żartu ukradłeś kota – stwierdził ojciec.

– Ja go uratowałem – obruszył się chłopiec. – Wlaź na mnie sam. Uciekał przed psem woźnego – przez chwilę naprawdę wierzył w to, co mówi. W końcu woźny rzeczywiście miał psa i ten pies prawdopodobnie nie przepadał za kotami. Może to i lepiej, że akurat nie było go w pobliżu. Mogło przecież dojść do tragedii. – I wtedy właśnie zadzwonił dzwonek, więc schowałem go tymczasem do worka – wyjaśnił Stefan.

– Kot w worku! – ojciec parsknął niecierpliwie, bo zaraz przypomniał sobie odnośne przysłowie, co czyniło sprawę jeszcze bardziej podejrzaną. Przypomniał sobie także, iż mądrość

ludowa mówi też o tym, że kot zawsze spada na cztery łapy i o odwracaniu kota ogonem. Wyjaśnienia syna przestały dla niego przedstawiać jakkolwiek wartość.

– On leżał sobie zupełnie spokojnie na ławce. W worku. Podeszła nauczycielka, podniosła go i chciała włożyć do kasetki. Wtedy się trochę zaczął ruszać i miauczeć – tłumaczył chłopiec. – Chemica dostała jakiegoś ataku i z zemsty napisała uwagę. To przecież normalne, że kot miauczy, a nie szczeka – zakończył z lekką pretensją.

Ojciec kręcił głową z wyraźną dezaprobatą. Uwaga o kocich zwyczajach nie trafiła mu do przekonania.

– Nie widzę żadnych usprawiedliwień – powiedział stanowczo po krótkiej chwili. – Miejsce kota nie jest ani w worku, ani w szkole. Kot powinien... – zastanawiał się szukając odpowiedniego zajęcia dla młodocianego kota, a ponieważ nic stosownego nie przyszło mu do głowy, wydał rodzicielski werdykt: – To jest kompletny brak odpowiedzialności.

– Przeprasiłem nauczycielkę, jak tylko wyzdrowiała – Stefan powiedział to cichym głosem. Była to w jego mniemaniu ostatnia okoliczność łagodząca. Niestety, nawet i to obróciło się przeciwko niemu.

– Pedagog rozchorował się przez ciebie?!

– Ona już od pięciu dni jest zdrowa. I wygląda o wiele lepiej! A poza tym to już przedawniona sprawa.

Uwaga o przedawnieniu utwierdziła ojca w przeświadczeniu, że powinien zastosować odpowiedni wymiar kary. Stefan tymczasem pomyślał z rezygnacją, że jemu nawet bury kot przynosi pecha.

– Jesteś zatrzymany na czterdzieści osiem godzin – powiedział ojciec wstawiając talerz do zlewu. Pomyślał przy tym ze smutkiem, że poczucie spełnionego obowiązku rodzicielskiego nie zastąpi drugiego dania.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Odsiaduję właśnie areszt domowy. Jak zwykle jestem niewinny. Kara obejmuje również zakaz oglądania telewizji i słuchania radia. Na szczęście na radio mam już sposób. Od paru miesięcy jestem właścicielem słuchawki i dzięki temu mogę podłączyć się do tranzystora. Bez telewizji mogę się w zasadzie obejść – oglądam tylko mecze piłkarskie i niektóre filmy, na przykład westerny i kryminały. Zwycięstwo sprawiedliwości nad bezprawiem nie ma nic wspólnego z życiem. Gdybym ja był bohaterem jakiegoś serialu, na początku każdego odcinka skazywanoby mnie co najmniej na dożywocie. Nie doszłoby pewnie do żadnego serialu – mój smutny los wystarczyłby na krótkometrażowy film o ponurym zakończeniu.

Po prostu statystyka nieszczęść mnie nie dotyczy. Próbowalem z tym walczyć. Pewien mój znajomy, człowiek oblatany w zabobonie, podał mi rzekomo niezawodny sposób na zablokowanie pecha przez parę miesięcy. Trzeba było tylko przez godzinę wykadzać mieszkanie dymem z kilku nietypowych składników. Straciłem tydzień, żeby je zebrać. Co prawda nie odznaczały się one przyjemnym zapachem, ale dwa razy do roku można się poświęcić. Dymu rzeczywiście było sporo, ale żeby zaraz wzywać straż pożarną?... Sąsiedzi moim zdaniem przesadzili. Co się działo potem, łatwo sobie wyobrazić. Żądano oddania mnie do domu poprawczego. Pewnie by do tego doszło, gdyby nie ojciec, który się przestraszył, że mogę zaproszyć ogień w placówce wychowawczej. Postanowiono wewnętrznymi siłami całej rodziny nie dopuścić, żebym wyrósł na Nerona.

Mam zupełnie przyzwoity charakter. Nie piję, palenie rzuciłem w dzieciństwie, bo fatalnie działa na kondycję. Jak każdy człowiek mam oczywiście swoje słabostki. Na przykład lubię spać rano, a nie lubię kłaść się wcześniej. Tymczasem rada rodzinna ustaliła, że mam gasić światło o dziesiątej i wstawać przed siódmą. Nie sposób im wytłumaczyć, że i tak godzinę przewracam się w łóżku. Matka twierdzi, że się rozwijam i w związku z tym mam zasypiać o

dziesiątej. Zupełnie, jakby rozwój odbywał się w określonych godzinach... Więc piszę albo czytam pod kołdrą tak jak dzisiaj. Albo też rozmyślam. Zdarza się. Staram się przy tym nie myśleć o głupstwach. Na przykład, że kupiłem sobie nowe wranglery i paraduję budząc ogólną zawiść. Albo że daję wycisk Byniowi. Bynio Grzyb to mój wróg numer jeden. Mam z nim zadawnione porachunki jeszcze z dzieciństwa. Od małego był podstępny i mściwy. Mały przestał być od dawna, ale dwie ostatnie cechy nie tylko się w nim utrwaliły, ale i rozwinęły. Kiedyś dawałem sobie z nim jakoś radę, byłem trochę niższy od niego, ale walczyłem zwykle w słusznej sprawie, miałem więc nad nim przewagę moralną. Ostatnio Bynio podrośł jeszcze bardziej i proporcjonalnie do tego zbeczelniał. W zeszłym roku biliśmy się dwa razy i, co tu dużo mówić, wyszedłem z tego jakby bardziej poszkodowany, a poza fangą w nos dostał mi się jeszcze areszt domowy za rzekome chulięństwo. Ale co robić, kiedy idący z naprzeciwka typ potraça cię niby to przypadkiem i jeszcze żąda przeprosin z wymianą na mordobicie. Jako człowiek spokojny i pełen godności osobistej idę w takim przypadku na wszechstronną wymianę. Z wiadomym skutkiem... Staram się go raczej unikać, ale nie jest to łatwe, gdy się mieszka w sąsiedztwie. Parę miesięcy temu wystosował ultimatum. Podszedł do mnie w asyście dwóch elementów i ostrzegł, że jeśli jeszcze raz zobaczy, że ktoś obcy pęta się po tej ulicy z mojego powodu, to marny jego los i do tego beznadziejny. I że na tę okoliczność ma właśnie dwóch świadków. Chodziło mu o Krzycha, który czasem mnie odwiedza. Z Krzychem przyjaźnię się, odkąd zdałem do liceum, chociaż nie chodzimy do jednej klasy. Nic mu jeszcze nie mówiłem, ale czując się odpowiedzialny za los kumpla zapisałem się na kurs samoobrony, bo na karate nie było już miejsc. Na razie radzę sobie zupełnie nieźle, trener chwali mnie, że jestem pojętny i bierze często do demonstrowania nowych chwytów. Trenuję już dwa miesiące, ale rzecz trzymam w tajemnicy. Na wszelki wypadek. Nawet Krzych się nie zorientował, chociaż jest to człowiek przenikliwy.

Stefan zazdrościł Krzysztofowi niewielkiego, ale za to w pełni samodzielnego pokoju. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest to pomieszczenie należące do wolnego człowieka. Ścianę zajmował regał z surowych desek, na którym obok książek stały przedmioty o dziwnym pochodzeniu i często nieznanym przeznaczeniu, owoc wielu lat niekontrolowanego zbieractwa, szperania po strychach i piwnicach. Reszta ścian oblepiona była plakatami o starannie dobranej tematyce. Zdecydowanie przeważał motyw czaszki i puszczela, głównie autorstwa Franciszka Starowieyskiego. W kącie stał pień, a nad nim wisiał rzeźnicki topór oraz kilka łańcuchów.

Podłogę pokrywała wielka skóra dzika. Nie wyglądała ona jednak na myśliwskie trofeum. Odyniec musiał dożyć bardzo sędziwego wieku, bo łysy był już za życia, a po śmierci wyłysiał do reszty. O skórę dzika Krzysztof raz do roku staczał zwycięski bój z matką i babką, był więc do niej wyjątkowo przywiązany. Babka Krzycha wytrwale intrygowała przeciwko odyńcowi rzucając na skórę perfidne oskarżenia. Początek wszystkich chorób i dolegliwości, łącznie z bólem zęba, wywodziła od dzika, nie mówiąc już o domniemanych pchłach. Krzysztof dowodził, nie bez racji, że łysego pchła się nie trzyma i że dzik był całe życie zdrowy, więc skąd by się u niego wzięły jakieś choroby po śmierci. Co jakiś czas skóra była warunkowo zwalniana od odpowiedzialności.

Przyrząd do spania był oryginalnym wynalazkiem Krzysztofa. Była to drewniana prycza przymocowana do ściany na hakach i linach, która od biedy dawała się na noc złożyć. Uzupełnieniem regału był drewniany blat, który służył za biurko, stół oraz warsztat. Jedynie krzesło i magnetofon przypominały o cywilizowanym świecie.

Babka bardzo rzadko zachodziła do tego pomieszczenia, przypominającego gustowne połączenie teatralnej pakamery z pracownią średniowiecznego oprawcy. Jej zdaniem człowiek przebywający w czymś takim na co dzień musi zostać mordercą albo międzynarodowym ter-



rorystą. W tym przeświadczeniu utwierdzały ją odgłosy dobiegające codziennie z pokoju, nagrania torturowanych wokalistów, które kojarzyła z wiecznym potępieniem.

Babka uznawała bowiem jedynie zespół „The Beatles”.

Chłopcy siedzieli na podłodze w pozach relaksowych, wsłuchani w wibracje zespołu „Pink Floyd” dobywające się z magnetofonu ustawionego na pieńku pod rzeźnickim toporem. Nucili przy tym do wtóru ambitnie, choć fałszywie. Pierwszy ocknął się Krzysztof.

– Wyjiesz, stary, nie na temat muzyczny, a przy tym mało melodyjnie.

– I ty mi to mówisz? Ty? Przecież słyszę, że nie masz słuchu – po chwili namysłu doszedł jednak do wniosku, że sam również nie ma talentu wokalnego. – Wyję, bo muszę... Bo muszę już iść.

– Co się stało? – Krzych spojrzął na zegarek. – Jeszcze wcześniej, odrobek na jutro wykonaliśmy. Ze strony bezpłatnego szkolnictwa nic nam nie grozi...

Stefan chrząknął z lekkim zakłopotaniem.

– Muszę być o szóstej... – zawahał się. Krzych gwizdnął przez zęby i zrobił minę, która miała wskazywać, że domyślił się wszystkiego.

– Czyżbyś umówił się z dziewczyną w jakimś określonym miejscu?

– Nie wygłupiaj się! Mózg ci się zatarł? Z jaką znowu dziewczyną?

– Spokojnie... – spojrzął podejrzliwie na przyjaciela i wzruszył ramionami. – Nie byłoby w tym nic aż tak dziwnego. Masz swoje lata. Z naukowego punktu widzenia jest to normalne.

– I co z tego, że normalne?

– Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że raz na szesnaście lat mógłbyś się spotkać z dziewczyną.

– Nie widzę powodów – powiedział nadając swojemu głosowi-ponurą tonację. Wydawało mu się, że tak mówi człowiek gardzący uciechami przeciętnych śmiertelników.

– Myślę, że takie powody istnieją, tylko nie chcesz się do nich przyznać. Choćby ciekawość. Naprawdę nigdy nie próbowałeś chodzić z dziewczyną?

Zapadła kłopotliwa cisza. Krzysztof miał niewątpliwie talent do siania zwątpienia, sprawy oczywiste w jego obecności stawały się wątpliwe i nawet trochę podejrzane.

– Próbowałem – rzucił Stefan bez przekonania.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś – Krzysztof wydawał się zainteresowany tematem.

– Bo nie było o czym mówić – miał świadomość, że zabrnął za daleko i porusza się po śliskim gruncie. – To stara sprawa, jeszcze sprzed wakacji.

– Ciekawe – Krzysztof uśmiechnął się przebiegle.

Stefan poczuł, że sytuacja wymaga od niego inwencji i wyobraźni.

– Nic interesującego – ciągnął zniechęconym tonem. – Chodziłem z nią dosłownie jakieś trzy dni.

– Dosłownie trzy dni?

– Dosłownie chodziłem, jeżeli chodzi o ścisłość – zdawało mu się, że umknął ze zrećźnie zastawionej pułapki.

– Jak mam to rozumieć? – Krzych nie dawał za wygraną. Był to bowiem człowiek dociekliwy.

– Normalnie – powiedział Stefan czując lekką ulgę. Zawilosci układów z dziewczynami były niewątpliwie jego słabą stroną. Postanowił więc trzymać się konkretów. – Chodziłem z nią dziennie jakieś siedem do ośmiu kilometrów.

Krzysztof wybuchnął nagle niepohamowanym śmiechem. Śmiech ten kojarzył się Stefanowi z pracą ręcznej piły.

– Chodzenie z dziewczyną potraktował dosłownie. Ale numer!

– Sam jesteś numer! – rzucił mściwie Stefan. – Przestań wreszcie wydawać ten odgłos. Za coś takiego powinno się płacić mandaty... Nie widzę w tym nic śmiesznego. Pogoda fatalna, co było robić. Chodziłem.

Krzysztof nie bez trudności opanował drgawki. Twarz miał czerwoną i zażawione oczy.

- Jak do tego doszło? – zapytał akcentując ostatnie słowo.
- Normalnie – wzruszył ramionami starając się pogardliwie zignorować rozbawienie kolegi. Słowo „normalnie” wydawało mu się remedium na wszelkie wątpliwości. – Zaczęliśmy rozmawiać przypadkiem – brnął z uporem godnym lepszej sprawy – powiedziałem, że mogliśmy się przejść kawałek, ona się zgodziła...
- O czym rozmawialiście? – Krzysztof nie miał najmniejszego zamiaru zrezygnować z przesłuchania.
- Początku nie pamiętam – Stefan otarł pot z czoła – a potem trochę przyspieszyłem. Chyba się trochę zmęczyła, bo przestała mówić. Ale tempo wytrzymała.
- A potem?
- To już następnego dnia. W zasadzie to samo. Może szliśmy trochę wolniej.
- I co dalej?

Stefan spojrzał na rzeźnicki topór zastanawiając się przez chwilę, czy nie wykorzysta go w rozmowie.

- Myślałem, że ma kłopoty z kondycją, ale okazało się, że obtarła obie pięty. I to w zasadzie wszystko. Koniec – odetchnął z ulgą.
- Koniec łatwy do przewidzenia – skomentował Krzysztof bezlitośnie.
- To nie moja wina, że miała niewygodne buty – bronił się Stefan.
- Oczywiście – skwapliwie przyznał mu rację – fabryka obuwia zaważyła sprawę.
- Przyczepiłeś się jak żaba do drzewa.
- Ładna była? – padło niespodziewane pytanie.
- Kto?
- Żaba.
- A, ta dziewczyna... – nie wiedział, co powiedzieć. – Coś w niej było – zaczął z wahaniem. – Tylko nie wiem, co.
- Założę się, że w ogóle jej się nie przyjrzałeś – stwierdził domyślnie Krzysztof.
- Daj spokój, nudny jesteś – niecierpliwił się Stefan.
- No więc, jakie miała oczy?
- Normalne – wyjaśnił Stefan swoim zwyczajem i dodał jeszcze: – Bez okularów chodziła.
- Co mnie obchodzi, ile miała dioptrii! Pytam o kolor.
- Ciemne – tym razem odpowiedział bez chwili wahania.
- Może zielone?
- Może trochę – powiedział Stefan w nadziei, że to już ostatnie pytanie.
- Tak myślałem – skomentował Krzysztof ze złośliwą satysfakcją. – To do ciebie całkiem podobne. Chodził z dziewczyną. Zrobił z nią ponad dwadzieścia kilometrów. I nawet nie wie, jak wyglądała.
- Żałuję, że w ogóle ci o tym mówiłem. Idę – stwierdził stanowczo.—Aha, oddaj „Psy wojny”.
- Nie wygłupiaj się, jeszcze nie przeczytałem. Zostało mi dwadzieścia stron.

Stefan nie bez satysfakcji zauważył, że Krzych nagle spokorniał.

- Oddawaj – rzucił twardo mszcząc się za prześladowania, których doznał przed chwilą.
- Daj skończyć. Zostaw do jutra.
- Dawaj, i to szybko. Zakończenie opowiem ci jutro na przerwie – uśmiechnął się sadystrycznie, ale napotkał pełen wyrzutu wzrok kolegi. – No dobra – rzekł wspaniałomyślnie. – Masz szczęście, że się spieszę.
- A gdzie się właściwie spieszysz? – zapytał Krzysztof, ale dostrzegając zły refleks w oku przyjaciela dodał uprzejmie – jeśli oczywiście można wiedzieć.
- Za dużo chcesz wiedzieć. Dowiesz się we właściwym czasie – rzucił Stefan tajemniczo.
- Czyżbyś wstąpił do mafii? – zdziwił się Krzysztof.

– Widzę, że ta katownia wywiera na ciebie niedobry wpływ – wskazał na pomieszczenie. – Torturujesz człowieka pytaniami, a niedługo pewnie zaczniesz używać tych narzędzi.

– Niezły pomysł – przyznał Krzych. – Ale swoją drogą mógłbyś powiedzieć, gdzie się wybierasz. Wiesz, że jestem dyskretny.

– Słyszę o tym po raz pierwszy. Wezmę to pod uwagę następnym razem.

– Dobrze, w takim razie od dzisiaj przestaję na ciebie liczyć – powiedział z ciężkim westchnieniem i popchnął przyjaciela w stronę drzwi.

– A jutro wpadnij koło czwartej – rzucił Stefan przez ramię. – Tym razem posiedzimy u mnie.

– Zobaczysz mnie, jeśli będę w sytuacji bez wyjścia. W razie czego bądź gotów na nieprzyjemną wizytę.

– Widzę, że masz zamiar mnie odprowadzić – zauważył Stefan. – To bardzo uprzejme z twojej strony.

– Odprowadzę cię kawałek, a potem zepchnę ze schodów – zaproponował ze słodkim uśmiechem.

Za drzwiami czyhał jamnik postukując ogonkiem o podłogę. Stworzenie to nosiło dźwięczne imię Dolar, co stało się zresztą powodem paru nieporozumień.

– Podstuchiwałeś – stwierdził Krzysztof z naganą w głosie.

Stworzenie stuliło uszy i wprawiło ogon w gwałtowną amplitudę.

– Powinienem z nim wyjść. Aha! – przypomniał sobie – zabierz swoją książkę do historii, bo nie mogę na nią patrzeć.

– Wsadź ją pod poduszkę. To podobno dobrze robi – poradził mu Stefan rozglądając się za czapką.

– Daj spokój. Jeszcze mi się jakaś bitwa przyśni.

– Będiesz przynajmniej wiedział, kto wygrał. Parę lat temu na „Krzyżakach”, kiedy zaczęła się bitwa pod Grunwaldem, kolega Malina zatarł ręce i powiedział: „Ciekawe, kto wygra”. Cała klasa miała ubaw przez tydzień... Słuchaj, tu gdzieś była moja czapka. To nie był prezent dla ciebie. Ja w tym chodzę.

– Wyrwałem ją psu z pyska. Mogę ci oddać to, co zostało, będziesz miał pamiątkę – wręczył koledze wymiętą i mokrą szmatkę.

– Nie możesz dawać temu głupiemu psu własnej czapki do gryzienia? – bezskutecznie usiłował nadać czapce właściwy kształt. Dolar patrzył życzliwie na jego zmagania, wesołym poszczekiwaniami dopingując go do dalszych wysiłków.

– Nie stać mnie na to – odpowiedział Krzysztof skromnie. – Mam psa na utrzymaniu – dodał po chwili.

Stefan zamachnął się na jamnika. Zwierzę umknęło ślizgając się na parkiecie, ale po chwili zawróciło i wykonało udaną szarżę na nogawkę chłopca.

– Tam w środku jest kość, ale z wierzchu jestem ja – wyjaśnił Stefan waląc psa mokrą czapką po uszach. Dolar ukrył się za swoim posłaniem i z dystansu śledził dalszy rozwój wypadków. Nie udało mu się wprawdzie odbić czapki, ale nie miał zamiaru zrezygnować.

Krzysztof obejrzał uważnie nakrycie głowy. Straty okazały się drobne. Sięgnął po smycz. Dolar wyskoczył z ukrycia i uczeplił się na jej końcu zapalając się do walki gardłowym warczeniem. Cierpliwy jamnik zawsze coś upoluje, nawet jeśli jest młody i ma niewiele doświadczeń.

Na ulicy, jak zwykle o tej porze roku, panowała przejmująca wilgoć, plaga mazurskich miasteczek.

– Muszę kupić masło. Mam nadzieję, że już nie ma. Zajrzysz ze mną do sklepu? – zapytał Krzych.

Stefan spojrział na zegarek.

– Nie mogę. Zdaje się, że jestem spóźniony. Która jest dokładnie?

Krzysztof, szarpany za rękę przez psa walczącego z oporem smyczy, z trudnością odczytał czas. Stefan złapał się za głowę.

– Pędź! – wrzasnął, co natychmiast zachęciło Dolara do gwałtownej pogoni i Krzysztof nie bez trudu osadził psa w miejscu. Tymczasem Stefan sadził długimi susami w stronę wielkiego i milczącego ogona stojącego przed sklepem spożywczym. Był to ogon potwora zrodzonego przez kryzys, cierpliwego i wszystkożernego.

– Uważaj, wpadniesz pod kolejkę! – krzyknął Krzysztof. Biegący spojrzął przez ramię i zanim zdążył wyhamować wpadł w tłum jak pocisk. Rozległy się pełne zgorzienia głosy. Jeszcze w pół godziny po tej niezamierzonej kolizji słychać było komentarze na temat współczesnej młodzieży. Krzysztof stojąc na końcu kolejki czuł na sobie pełen przygany wzrok. Wreszcie komentarze zeszyły na psy. Tym razem Dolar mógł się dowiedzieć, ile zjada pies kosztem starców i dzieci i jakie zagrożenia dla społeczeństwa z tego płyną. Chłopiec powoli dochodził do wniosku, że człowiek, który jest posiadaczem psa, może się obejść bez masła. Zresztą i tak pewnie by dla niego nie wystarczyło.

– Idziemy, Dolar.

– O, widzi pani! Żadnego szacunku do pieniędzy, tylko im dolary w głowie – usłyszał za plecami.

– A co robić, kochana pani, jak złotówka jest warta ze trzydzieści groszy.

Dolar spojrzął na swego pana ze smutkiem. Obaj dźwigali na sobie ciężar ludzkiej niechęci.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Niby nic ważnego. Normalna gadka w trakcie kolektywnego rycia (wspólne rycie zdarza nam się rzadko, bo chodzimy do równoległych klas), ale z tą dziewczyną Krzych zabił mi porządnego klina. Tknęło mnie złe przecucie. Historię z dziewczyną, wstyd powiedzieć, zmyśliłem na poczekaniu, ale założę się, że gdyby coś takiego miało mi się przytrafić, wyglądałoby to w najlepszym wypadku podobnie, w końcu Krzych jest kimś w rodzaju mojego przyjaciela. Czasem człowiek coś chlapnie z przekory i potem trudno mu z tego wybrnąć...

Dotąd nie miałem czasu, żeby poświęcić dziewczynom więcej uwagi. Przeżyłem jedno nieszczęśliwe uczucie jeszcze w drugiej klasie podstawówki. Ona miała na imię Jolka i była podobna do pszczołki Mai. Nigdy się nie dowiedziała o moim uczuciu i o tym, że byłem gotów zrobić dla niej wszystko. Niestety, żadnego poświęcenia ode mnie nie zażądała. Była to, jak podejrzewam, kobieta okrutna.

Wiedziałem, że muszę zrobić coś zupełnie nieprawdopodobnego, żeby sobie zasłużyć na jej względy. Postanowiłem na oczach całej szkoły wleźć po rynnie na drugie piętro. W bajkach wjeżdżało się konno na szklaną górę. Sądziłem, że w Szczytnie wystarczy wspinaczka po rynnie. Prawie mi się to udało... Nauczyciel wuefu złapał mnie już na parapecie i zaniósł pod pachą do pokoju nauczycielskiego. Zniósłbym wszystko, największą karę, ale nie takie upokorzenie. Na oczach całej szkoły. Bohater dnia niesiony pod pachą...

Nie ma o czym mówić. Jolka śmiała się razem z innymi. Ścisnęło mnie za gardło to moje wyśmiane uczucie i rozbeczałem się. Cierpiałem z tego powodu przez jakieś trzy dni. Nie tylko zresztą psychicznie. Ojciec wrócił do średniowiecza i choć nie miał nigdy zwyczaju znęcać się nade mną fizycznie, tym razem... Do tej pory pamiętam. I za co? Za wrażliwość. Nie mogłem im powiedzieć, że zrobiłem to z miłości, więc cierpiałem w milczeniu.

Ojciec swój wyrok uzasadnił krótko: lepszy syn bity niż nieżywy.

Nie ma więc co się dziwić, że po tym smutnym doświadczeniu przez dłuższy czas unikałem kobiet. Wiedziałem już, że czeka mnie miłość nieszczęśliwa, jeśli nie tragiczna. Ponie-

waż na brak nieszczęść nie mogłem tymczasem narzekać, starałem się przynajmniej unikać ich tam, gdzie mogłem się ich spodziewać...

Niedawno matka skonfiskowała mi raketę przygotowaną do odpalenia. Co ja się nasłuchałem... Że cały świat o pokoju i odprężeniu, a ja, do tego nieletni, w domu przygotowuję zbrojenia. Raketę obliczyła na trzy ofiary w ludziach. Oczywiście jedyną ofiarą rakiety byłem ja sam, jej konstruktor...

Muszę mimo wszystko przyznać, że Krzych przypadkiem podjął w tej rozmowie wątek aktualny. Pomimo smutnych doświadczeń we wczesnej młodości zaczynam odczuwać brak kobiety w moim życiu. Przez jakiś czas zaglądałem nawet do lustra. Ja wiem, że to śmieszne, facet dorosły, bo teraz dojrzewa się wcześniej, wlepia gały w zwierciadélko. Ale ja starałem się patrzeć na siebie krytycznie, chciałem na wszelki wypadek przeanalizować swój wygląd.

Uszy mam trochę odstające. Przyklejałem je na noc plastrem do głowy, żeby nabrały ludzkiego wyglądu. Jest to sposób godny polecenia, ale trzeba się przygotować na cierpienia.

Można też przyklejać jedno ucho, a spać na drugim. Na dzień takie odstające ucho przyczesuje się resztką włosów, które pozostały po zdjęciu plastra.

Studiowałem dalej swój wygląd. Włosy mogłyby ująć pod względem ilości, gdyby nie kolor. Szare, o mysim odcieniu. Kolor dobry dla zająca na jesień, ale nie dla mężczyzny. Myślę, że z czasem wylinieją i na ich miejscu wyrośnie coś przyzwoitszego. W dzieciństwie byłem przecież pełnym blondynem. Na szczęście człowiek się zmienia.

Z oczami sprawa jest dość niejasna. Byłem dotąd przekonany, że są szare, kiedy jednak bliżej się im przyjrzałem, okazało się, że to tylko ogólne wrażenie. Plamki i kropki w rozmaitych odcieniach. Co robić? Oczu sobie przecież nie wydłubię.

Najgorsza sprawa z nosem. Orli to on nie jest. Nie jest też rzymski ani grecki... Raczej kulfonowaty. Z drugiej strony materiału jest dużo, więc kwestię nosa odkładam spokojnie na później, kiedy zdobędę większą gotówkę. Lekarze od operacji plastycznych na pewno mają jakieś przyzwoite wykroje. Liczę też trochę na przypadkowe złamanie à la Belmondo. Jest to zresztą bardziej prawdopodobne, niż gotówka na operację. Bynio Grzyb nie spuszcza mnie z oka. Mam tylko nadzieję, że przy takiej okazji też mu poprawię fizjonomię.

Matka mówi, że mężczyzna nie musi być wcale urodziwy, żeby się podobać. Nie jestem jednak pewien, czy dziewczyny też o tym wiedzą.

Pod względem wzrostu jestem siódmy w klasie, więc ujdę w tłoku. Poza tym nie mam zamiaru kończyć rozwoju na tym, co posiadam.

Treningi z samoobrony poprawiły mi kondycję i samopoczucie. Zawsze miałem pewne zasoby odwagi, ale biłem się przeważnie z silniejszymi od siebie. Jak dotąd ogólny bilans stoczonych walk jest dla mnie mało korzystny. Ostatnio unikam starć, bo mam przewagę techniczną. O dziwo, przychodzi mi to łatwiej niż poprzednio. Kiedy człowiek ma pewność siebie, trudniej go sprowokować.

Myślałem, że na treningach spotkam jakichś zabijaków, którzy się szkolą, powiedzieć można, zawodowo. Tymczasem nasza grupa to spokojne chłopaki. Panuje japońska uprzejmość – człowiek stara się uśmiechać nawet, gdy nie uda mu się zablokować ciosu w żołądek. Trener mówi, że zawodnicy z ulicy bardzo rzadko trafiają na tego rodzaju kursy. Wierzą we własne umiejętności, w schemat walki, który sobie sami opracowali, a poza tym są to ludzie, którzy raczej nie lubią się uczyć.

Zaraz po dzwonku, rozsierdzony i czerwony z podniecenia Antał dopadł Stefana. Szukał u niego moralnego wsparcia po nieudanej odpowiedzi z polskiego. Antolski swoje przewisko zawdzięczał w równym stopniu nazwisku, co solidnej baryłowatej posturze.

– Widziałeś, jak było! – patrzył na Stefana płonącym wzrokiem, podczas gdy ten kiwał głową bez większego przekonania. – Wiesz przecież, że umiałem na pięć. Podałem to co najmniej na cztery. Więc dlaczego postawiła mi tylko trzy z plusem?!

Retoryczne pytanie pozostało bez odpowiedzi, ale Antał nie miał zamiaru zrezygnować. Pod wpływem ogromu niesprawiedliwości wytrzeszczył oczy i czekał. Zawisł nad kolegą jak wielki znak zapytania. Stefan miał własne przemyślenia na temat sprawiedliwości, ale odniósł wrażenie, że Antał jest mało zainteresowany teorią. Chodziło mu o jakieś odszkodowanie moralne czy rodzaj duchowej pociechy.

– Nie przejmuj się, Antałek – poklepał go po ramieniu uspokajającym gestem. – Trzy z plusem to stopień rozwojowy. Podciągniesz się. Masz przecież motywację, stary obiecał ci motorynkę.

Antał westchnął jak miech kowalski. W jego oczach pojawiła się melancholia i cicha rozpacz. Wreszcie wybuchnął potokiem słów:

– Jak będą mi rzucali kłody pod nogi, to nawet zakichanego roweru na trzech kółkach nie dostanę! Miała być odnowa i co?! – znowu na chwilę stał się ucieleśnionym znakiem zapytania, tym razem jednak nie czekał na odpowiedź. – Dalej wszystko jest oparte na ludzkiej krzywdzie! Człowiek haruje jak chłop pańszczyźniany, a oni ciągle potrącają mu co najmniej pół stopnia. Za co, pytam?! – dramatyczne pytanie przebiło się przez szkolny gwar.

– Czy ja wiem – zastanawiał się Stefan. – Może te potrącenia to na koszty awansu. Zdaje się, że dotąd nie postawiła ci powyżej trójki.

Antał pokręcił głową z przekonaniem i zaczął gwałtownie wymachiwać rękami, co miało wyrażać najwyższy stopień oburzenia.

– Ale do tej pory to ja w ogóle nie wkuwałem. To moje pierwsze próby! – wykrzyknął pokrzywdzony debiutant.

Stefan przyznał mu rację, Antał miał najróżniejsze wady, ale słabości do wiedzy dotąd nie wykazywał.

– Czy ona nie wyczuwa, że ja się mogę załamać? – zawył poszkodowany.

Stefan zastanawiał się przez chwilę. Temat uważał w zasadzie za wyczerpany.

– Bo ja wiem. Może nie wyczuwa – zastanawiał się głośno. – Może uczy nie z powołania, tylko z przyzwyczajenia.

Antał przytaknął mu gorliwie.

– Musi uwierzyć, że jesteś ambitny, że to nie jednorazowy zryw. Wiesz co? Zgłoś się, że chcesz poprawić, to ją powinno przekonać.

Antał nadał się pogardliwie.

– Nie mogę. Honor mi nie pozwala. Umiałem przecież na pięć – założył ręce i przez chwilę stał w milczeniu przybrawszy pozę człowieka honoru.

Stefan przez dłuższą chwilę patrzył na niego zdumionymi oczami. Dotąd bowiem honor pozwalał Antolskiemu na wiele.

– Ledwo wydukałeś tę swoją wyuczoną lekcję – powiedział bez cienia litości dla rzekomej ofiary nauki. Antolski skulił się jak pod niespodziewanym ciosem. Przez chwilę przeżuwał gorzką prawdę.

– Powinna się zorientować, że to brak wprawy i nadmiar wiedzy. Nie jestem przyzwyczajony – dodał ze smutkiem i skierował na kolegę wzrok pełen niemego wyrzutu.

– Próbowałaś ćwiczyć koncentrację, tak jak ci radziłem? – rzucił Stefan pojednawczo.

Kiwnął głową ze smutkiem i rezygnacją.

– Mnie jest potrzebna kompletna cisza. Nie mogę się skupić, kiedy wszyscy dookoła szepczą. Podpowiadają ci z przyzwyczajenia, a ja mam przecież ucho ustawione na podsłuch. Żyłem przecież z tego przez parę lat.

Stefan przyznał mu rację. Antolski należał do gatunku przekąźników o wysokiej wrażliwości. W czasie odpowiedzi jego uszy poruszały się jak instalacja radarowa, wyławiająca z chaosu niezbędne informacje, oczy jak wrażliwe fotokomórki sprzężone z komputerem rejestrowały sygnały mimiczne i odczytywały znaki na podsuwanych dyskretnie kartkach. Te wszystkie dane po błyskawicznym przetworzeniu dawały niekiedy odpowiedź dostateczną.

– Jestem nałogowiec! – wyznał Stefanowi ze smutkiem. – Od nasłuchu z dnia na dzień nie można się odzwyczaić.

To rzeczywiście prawda, trudno mu było nie przyznać racji. Zastanawiał się nad legalnymi środkami pierwszej pomocy.

– Trzeba ci zablokować uszy – powiedział z namysłem. – Założę ci stopery.

– Jakie znowu stopery? – Antał spojrział mu w oczy podejrzliwie.

– Nie widziałeś tego jeszcze? – zdziwił się Stefan. – To taka guma do żucia dla uszu – wyjaśnił obrazowo.

Zza jego pleców wyłonił się Totek. Jego szczupła, przebiegła twarz wyrażała najwyższy stopień zainteresowania tematem.

– Macie gumę do żucia? Założę się, że się nie podzielicie ze mną – był specjalistą od błyskawicznie zawieranych zakładów, na które mało kto się nabierał, dlatego przezywano go Totkiem od niepamiętnych czasów. Mało kto wiedział, że na imię ma po prostu Tadeusz.

Antolski spojrział na niego bez entuzjazmu. Zdawał sobie sprawę, że Totek jest jego najgroźniejszym konkurentem w wyłudzeniu. Niekiedy grasowali razem, ale była to tylko chwilowa wspólnota interesów, która łączy hienę z szakalem.

– Nic dla ciebie nie mamy, drogi sępie – wyjaśnił uprzejmie Stefan. – Daj nam skończyć rozmowę... Wypróbowałem te stopery w domu – zwrócił się do Antolskiego – na moich nietoperzach...

Totek nie odchodził. Człowiek nie powinien tracić z oczu okazji, która pachnie gumą do żucia. Czasy są ciężkie. Uwaga o nietoperzach zmusiła go do wykonania szybkiej pracy myślowej. Nie był wprawdzie zainteresowany bezpośrednio latającymi ssakami, ale wiedział, że są one pożyteczne. Nawet nietoperza można wymienić z zyskiem.

– Masz w domu nietoperze? Założę się, że mógłbyś mi odstąpić parę sztuk – rzucił mimochodem, żeby Stefan nie pomyślał, że nietoperze przedstawiają jakąkolwiek wartość.

– A ty nie masz? – zdziwił się Stefan.

– Czasem myszy się załapią na zimę, to wszystko.

– Jemu chodzi o takie nietoperze, co to niczego nie widzą, a wszystkiego się czepiają – wyjaśnił Antolski.

– Aha – Totek był wyraźnie rozczarowany – bo ja myślałem, że mówicie o prawdziwych.

– Prawdziwe są pożyteczne – błysnął wiedzą przyrodniczą Antał.

– Zatkalem się tymi stoperami – Stefan podjął przerwany wątek – i miałem tydzień spokoju. Słyszałem tylko cichy szmerek, a matka była zadowolona, że nie pyskuje. Podciągnąłem się w tym czasie nerwowo.

Totek przysłuchiwał się temu sceptycznie.

– Moja stara ma taki głos – włączył się do wymiany doświadczeń, tym razem całkiem bezinteresownie – że dochodzi do mózgu nawet przy zatkanym uszach. Po prostu przebija się przez czaszkę. Zresztą znam na pamięć wszystkie jej teksty – zakończył z rezygnacją.

Chłopcy pokiwali głowami. Matka Totka, pani Zgodowa, była kierowniczką sklepu mięsnego na Odrodzenia; jej ostry jak brzytwa sopran potrafił okiełznać nawet żarłoczną kolejkę.

– To załatw mi te stopery. Dam ci za nie, co zechcesz – wspaniałomyślnie zaproponował Antał licząc w głębi duszy, że Stefan z konieczności zechce to, co mu da. – Chodzi przecież o rozwój motoryzacji – dodał z godnością.

– Dla mnie też – przyłączył się Totek na wszelki wypadek. Ryzykował w ciemno, jedynie w mglistych zarysach wiedział, o co chodzi. – Dam ci trzyczęściowe wędzisko z bambusu – dyskretnie pominął milczeniem fakt, że owe trzy części żadnym sposobem nie dawały się połączyć w całość, a poza tym szczytówka była złamana. „Powinienem właściwie powiedzieć o czterech częściach” pomyślał Totek.

Stefan tylko machnął ręką.

– Możecie się wypchać tym łapownictwem. Zatkam was obu w czynie społecznym – oświadczył wielkodusznie.

– Dam ci się przejechać, Stefano – powiedział Antałek i zaraz tego pożałował. Taka motorynka to przecież delikatny sprzęt, lepiej jej nie oddawać w obce ręce. Pocieszał się trochę, że być może Stefan zapomni albo nie będzie nalegał z egzekwowaniem obietnicy.

Krzysztof zjawił się mimo wszystko punktualnie. Przyniósł ze sobą płytę wykonawcy o dziwnym imieniu. Facet nazywał się Alice Cooper i w zasadzie był mężczyzną. Dwukrotnie w skupieniu przesłuchali nagrania dzieląc się krótkimi spostrzeżeniami. Na szczęście rodzice Stefana pojechali do Raszaga, gdzie dokonał marnego żywota świnia znajomych, więc wyzwolone decybele szalały bezkarnie. Ostre i agresywne dźwięki przenikały mury. Wyżel sąsiada pogrążony w głębokim śnie stulił uszy i zaskomlał rozpaczliwie. Staruszcze z drugiego piętra zaczęły drzeć ręce, chociaż była to osoba wiekowa i powszechnie uważana za kompletnie głuchą. Grasująca w kuchni mysz dostała ze strachu ataku serca. Drżały szyby i sypał się tynk.

Gdy wreszcie zapadła przeraźliwa cisza, wyczuwało się w powietrzu bezgłośnie tętnienie.

Stefan zastanawiał się nad czymś z zafrasowaną miną.

– Masz jakieś kłopoty? – zapytał Krzysztof przyglądając mu się z troską. Westchnął i machnął ręką.

– Jeśli o to chodzi, ta nie narzekam – i dodał jeszcze: – Nie pamiętam, żeby udało mi się obyć bez kłopotów, ale do tego już się od dawna przyzwyczaiłem.

– Czyli chodzi o jakiś problem – domyślił się Krzysztof.

Stefan wpatrywał się z niezrozumiałym zainteresowaniem w duży palec u nogi. Dało mu to nieco czasu do namysłu. Wreszcie wciągnął powietrze i zaczął mówić w sposób możliwie obojętny:

– Chciałbym z tobą ogólnie skonsultować pewną sprawę – zaczął ogólnie.

– Zajmowałeś się psychologią i podobnymi historiami...

– Podejrzewasz u siebie chorobę psychiczną? – żywo zainteresował się Krzysztof.

– Z żadną chorobą bym do ciebie nie przyszedł, chyba tylko po to, żeby cię zarazić – odciął się Stefan.

– Więc o co chodzi?

– O dziewczyny – odpowiedział niezbyt głośno chrząkając przy tym, co znamionowało zakłopotanie.

– O dziewczyny? Chore dziewczyny? Przez chwilę patrzyli na siebie niepewnie.

– Dziewczyny są zdrowe. To znaczy mam nadzieję, że nic im nie jest – oglądał rękę, jakby ją miał dopiero od niedawna. – Chodzi mi o sprawy ogólne, bo jak wiesz, nie zajmowałem się tym tematem.

Krzysztof chrząknął uprzejmie na znak, że wie. Jego twarz nie wyrażała zaskoczenia ani konsternacji.

– Rozumiem – skinął głową i zaczął tonem wykładu. – Problem kobiet mogę ci wyłożyć na przykładzie zwierząt...

– Daj spokój z zoologią! – zniecierpliwził się Stefan. – Załóżmy, że spodobała mi się dziewczyna.

Krzysztof przyjął to założenie z godnością i w milczeniu.

– Teoretycznie oczywiście – zastrzegł się Stefan, żeby uniknąć podejrzeń, że jego pęd do wiedzy nie jest bezinteresowny.

Krzych rozłożył ręce i wysunął dolną wargę.

– Za mało materiału – powiedział po chwili.

– A nie mógłbyś tak ogólnie... no i z własnego doświadczenia? – nalegał Stefan.



Krzych przeprowadził bowiem kilka nieudanych doświadczeń z dziewczynami i w ten sposób zdobył gruntowną wiedzę o żeńskim rodzaju. Od dłuższego czasu, to znaczy od wakacji unikał kobiet. Poświęcił się pracy badawczej oraz rozmyślaniami.

– Spróbuję, chociaż nie będzie to łatwe – wyjął przybierając wyraz twarzy człowieka doświadczonego.

– Pierwsza kategoria dziewczyn, to te, które się tobie podobają – rzekł mistrz. Mówił wolno czyniąc od czasu do czasu efektowne pauzy. – Kategoria druga, to te, którym ty się podobasz. O kategorii trzeciej mówić nie będę, bo nie ona nas tym razem interesuje.

– Może na początek weźmiemy te łatwiejsze – zaproponował adept wiedzy i mistrz wyraził zgodę.

– Sprawa jest dość prosta – wyjaśniał nie spiesząc się. – Na wstępie musisz wyczuć, że jest to dziewczyna, którą zaliczyliśmy do kategorii drugiej, czyli ta, której nie jesteś obojętny.

– Jakie objawy ma taka dziewczyna? – zapytał miłośnik wiedzy. Krzych uśmiechnął się wyrozumiale.

– Musisz prowadzić systematyczne obserwacje – wykladał mistrz nie zniechęcając się niecierpliwością swojego słuchacza. – Trzeba mieć intuicję, znać ludzką naturę. Na szyję żadna ci się nie rzuci. Nie licz na to.

– Najgorsze, że nie mam wprawy w zaczynaniu rozmowy z dziewczyną – zwierzył się Stefan.

Krzych zamyślił się na moment.

– Istnieje wiele sposobów – rzekł wreszcie. – Moim zdaniem nie warto ich przerabiać. Na ogół są one schematyczne i dziewczyny się na nie uodporniły.

– Jak to? – zdziwił się Stefan.

– Jeśli jakiś środek stosuje się za często, organizm po jakimś czasie wytwarza antytoksyny. Na przykład karaluchy uodporniły się na DDT. Z dziewczynami jest podobnie – trucie na nie przestało działać... Najlepiej jest wymyślić na początek coś oryginalnego i dowcipnego. Jeśli dziewczyna się śmieje, punkty dla ciebie.

Stefan wydawał się nieco zaskoczony.

– A ja myślałem, że ważniejsze jest wzdychanie – wyznał po krótkim namyśle.

Krzych machnął ręką lekceważąco.

– Wzdychanie jest przestarzałe – wyjaśnił koledze. – Pochodzi z czasów, kiedy kobiety były uciskane...

– E, daj spokój z tym wyzyskiem kobiet. Nigdy w to nie uwierzę. Znam moją matkę.

– Ucisk pochodził od gorsetu – wykladał mistrz nie przejmując się zniecierpliwieniem okazywanym mu przez jednoosobowe audytorium. – Kobiety musiały wzdychać, żeby się nie udusić – stwierdził z mocą.

Teoria Krzysztofa oparta na fizyce trafiła słuchaczowi do przekonania. Spojrzał na przyjaciela z respektem.

– A przewracanie oczami?

– Przyczyna była ta sama, mechaniczna – stwierdził Krzych. – Kiedy człowieka się ściśnie, oczy wyłażą mu na wierzch. Jasne? – odpowiedział mu pomruk wyrażający zgodę. – Tętno słabnie – ciągnął dalej – wreszcie następuje omdlenie – dla zilustrowania tego stanu mistrz przewrócił oczami i wywalił język. Trafiłoby to do przekonania nawet studentowi o wyjątkowo małej umiejętności pojmowania.

– Podobno mdlały jednak także z powodów uczuciowych – ostrożnie ujawnił swoją nikłą wiedzę Stefan.

Przyznano mu rację.

– To prawda. W tym stanie podnosi się ciśnienie, zwiększa się zapotrzebowanie na tlen, a gorset dusi – opowiadał obrazowo. – Obecnie dziewczyny są odporniejsze. Jak dotąd nie zaobserwowałem, żeby jakaś dziewczyna zemdląła z powodów uczuciowych. Pewnie wykazują

jakieś wahania, ale w praktyce trudno jest mierzyć tętno każdej napotkanej dziewczynie. Ławiej już nawiązać normalną rozmowę... Dobre rezultaty daje niekiedy podstęp.

– Mam wyskoczyć z nienacka?

– Widzę, że jedynym źródłem wiedzy o kobietach jest dla ciebie „Muppet Show” – powiedział mistrz krzywiąc się z niesmakiem. – Mam na myśli podstęp psychologiczny, intrygę czy coś w tym rodzaju.

Stefan przyłożył rękę do czoła. Gwałtownie wchłaniane wiadomości z nieznanego dotąd dziedziny przyprawiły go o lekki ból głowy.

– Podam ci przykład wprawdzie mało oryginalny, ale dość skuteczny – ciągnął Krzych. – Podchodzisz i zwierzasz się, że masz kłopoty, bo podoba ci się dziewczyna, ale nie wiesz, jak zacząć i tak dalej. Jest to sposób „na debiutanta”, często wykorzystywany jednak przez wytrawnych podrywaczy ze względu na gwarantowaną skuteczność.

Skuteczność tej metody polega na tym, że niespodziewanie stajesz się dla tej dziewczyny atrakcyjny, choć przedtem nie zwracała na ciebie uwagi. Tymczasem nie ujawniasz się i prosisz ją o spotkanie pod pozorem uzyskania dalszych porad.

– Może ona nie będzie chciała się ze mną spotkać?

– Zaledwie jedna dziewczyna na sto odmawia współpracy w takiej sytuacji – uciął wątpliwości Krzych odwołując się do statystyki. – Ciekawość odgrywa ogromną rolę w postępowaniu tej płci. Żadna dziewczyna nie wycofa się dobrowolnie z gry, dopóki nie dowie się, kto jest obiektem twoich zainteresowań.

Stefan słuchał w skupieniu. Brzmiało to nawet dość przekonująco.

– Dlatego nie wolno ujawniać się za wcześnie – ciągnął Krzych. – Czas pracuje na twoją korzyść. Im dłużej to ciągniesz, tym więcej masz szans. Nie mówiąc o tym, że dziewczyna nie zdając sobie z tego sprawy udziela ci wskazówek, jak masz z nią postępować.

– Trzeba jednak brać pod uwagę czynnik zniechęcenia – nieśmiało wyraził gnębiące go wątpliwości.

– Kobiety są wytrzymalsze od mężczyzn – stwierdził Krzych kategorycznie.

Stefan podrapał się za uchem i z pewnym wahaniem powiedział, że ze względu na brak rutyny wolałby poznać sposób mniej skomplikowany.

Krzysztof po raz kolejny pokiwał głową z politowaniem.

– Właśnie z tego względu jest to najodpowiedniejszy sposób dla ciebie. Nawet brak wprawy działa na twoją korzyść. Daję ci dziewięćdziesiąt procent gwarancji – usiłował przekonać krnąbrnego ucznia, który zajął się oglądaniem własnej nogi.

Zapadła cisza. Stefan wpatrywał się tępo w jakiś punkt na ścianie i od czasu do czasu ruszał uszami, co znaczyło, że podjął intensywny wysiłek umysłowy.

Najważniejszym momentem codziennego życia każdej szkoły jest długa przerwa. Liceum w Szczytnie nie odbiegało pod tym względem od krajowej normy. Była to szkoła z dobrymi tradycjami. Tuż po wojnie zamierzano przenieść tu słynne Liceum Krzemienieckie, projekt wprawdzie wkrótce upadł, nie były to bowiem łaskawe czasy dla elitarnych szkół, ale w mieście znalazła się garstka pedagogów, którzy przyczynili się do tego, że po dzień dzisiejszy szkoła ma niezłą renomę, a znaczny procent jej absolwentów staje się bez większych kłopotów studentami wyższych uczelni. Do tego doniosłego momentu było jednak trochę czasu, więc przyszli inżynierowie oraz magistrowie nauk humanistycznych wydawali z siebie odgłosy, których suma dawała nieopisany jazgot. Pod względem ilości decybeli szkoła ta bowiem także nie ustępowała najlepszym placówkom dydaktycznym w kraju.

Popychano się, ciągnięto i potrącano, a wrzaski radości mieszały się z okrzykami oburzenia tworząc niepowtarzalną całość, którą określa się uczenie jako atmosferę szkolną. Trzeba jednak dodać gwoli sprawiedliwości, że i w tym chaosie dokonywała się wymiana myśli oraz doświadczeń.

Telka, niewysoka pulchna brunetka stała w otoczeniu dwóch koleżanek z klasy, które przysłuchiwały się jej w skupieniu.

– ...tu dopasowana – ciągnęła Telka uzupełniając słowa plastycznymi gestami – dół cięty z półklosza, góra w drobniutką kratkę.

Stefan stojąc pod ścianą w niewielkiej od nich odległości usiłował wzbudzić w sobie zainteresowanie tematem. Wydawało mu się, że ma do czynienia ze szczególnym kobiecym rodzajem konspiracji, że za błahymi słowami stoją jakieś tajemnicze treści i że dotarcie do nich pozwoli mu zrozumieć fenomen płci przeciwnej. Domyślił się, że prawdopodobnie chodzi o jakąś część garderoby, chociaż gnębiło go, co może naprawdę oznaczać: „dół cięty z półklosza”.

– Jaka długość? – zapytała Kaśka po chwili namysłu.

– Dotąd, no może dotąd...

Słuchające dziewczyny pokiwały głowami ze zrozumieniem.

– Dół gładki? – chciała wiedzieć Marta, szczupła blondynka o szarozielonych oczach.

Stefan słyszał już o dołach społecznych i o wilczych dołach, ale dopiero „dół gładki cięty z półklosza” zrobił na nim prawdziwe wrażenie.

– W talii zebrana gumkami – dodała Telka, co zostało przyjęte ze zrozumieniem.

Wyobraźnia podsunęła Stefanowi talię kart związanych recepturką, ale to skojarzenie wydało mu się mało przydatne.

– No i małe bufki też na gumki – zakończyła Telka.

– To już kiedyś było modne – stwierdziła definitywnie Marta.

– Moda wraca – odparła Telka, a Kaśka stwierdziła niepewnie:

– Trochę staroświeckie.

– Mnie się podoba – tym razem Marta wyraziła swoją opinię. Wymawiając te słowa spojrzała mimochodem na Stefana, który przysłuchiwał się im marszcząc brwi z wysiłku. Jej wzrok ledwo przemknął po nim, ale to wystarczyło, żeby poczuł się nieswojo. Oddalił się więc w sposób możliwie obojętny unikając po drodze zderzeń z rozpędzonymi ciałami.

– Widziałam podobną w butik w Olsztynie – przypomniała sobie Kaśka. – Kosztowała ponad półtora. Moja matka by trupem padła ze strachu przed ojcem. W poprzednim miesiącu wyrwałyśmy z budżetu na buty, ale nakłamałyśmy, że kosztowały czterysta złotych. I wiecie co? Ojciec powiedział, że ładne, tylko drogie. Oderwany człowiek. Odkąd wpłacił na malucha, trzyma kurs na skromność. Całe szczęście, że siostra tyje, bo nie byłoby się w co ubrać.

– Ja się odchudzam – zakomunikowała Telka wyciągając z torby drugie śniadanie.

– Ty chyba oszalałaś, dziewczyno – obruszyła się Kaśka. – Przecież szynka jest na kartki!

Szelest papieru zwabił Antolskiego. Wiedziony nieomylnym instynktem zjawiał się zawsze w porę. Łatwą zdobycz wyczuwał z nieprawdopodobnej odległości, co stanowi cechę wytrawnych drapieżników i padlinożerców. Wkrótce po nim, jak szakal za lwem, przybył Totek.

Antał nadał swojej twarzy przymilny wyraz i przybrał pokorną, wyczekującą pozycję. Totek zachował pewien dystans. Kanapka z szynką nie stanowiła dla niego upragnionej zdobyczy, nie miał najmniejszych powodów, żeby narzekać na brak wędlin, ale z przyzwyczajenia krążył po orbicie łatwego łupu. Telka wzruszyła ramionami.

– Jak nie chcecie, to dam chłopakom. Antalek już się oblizuje.

– Nie masz kogo dokarmiać? – oburzyła się Kaśka. – Czy on wygląda na zamorzonego głodem?

Było to oczywiście pytanie retoryczne. Wygląd Antolskiego nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego upodobań. Słyszał wyraźnie każde słowo, ale jego twarz nie zmieniała wyrazu. Stał jak uosobienie cierpliwości o niewinnych oczach. W innych okolicznościach te uwagi na swój temat potraktowałby jako zniewagę, ale tym razem instynkt podpowiadał mu, że tego rodzaju subtelności nie są istotne pomiędzy obżerającym i objadany.

– O, Totek też tu krąży – ciągnęła zjadliwie Kaśka. – On to chyba dla sportu – zauważyła wnikliwie.

– Ostatecznie można by się z nimi podzielić jedną kanapką – zaproponowała Marta bez większego przekonania. Nim to uzgodniły, Antał doskoczył i wyrwał swoją część łupu, wydał nieartykułowany odgłos wdzięczności i błyskawicznie znalazł się w bezpiecznej odległości. Dziewczyny patrzyły ze zgrozą, jak dwoma kłapięciami paszczęki rozrywa kanapkę.

Totek był czujny, ale tym razem błyskawiczny rozwój wypadków zaskoczył go. Nim zdążył spaść się do skoku, Antał już podchodził do niego z pełnymi ustami i pustymi rękami. Kaśka wzruszyła ramionami.

– Że też nie macie w kogo inwestować – powiedziała tonem wyrzutu.

– A w którego ty byś zainwestowała? – zapytała Marta podchwytliwie. Wyglądało na to, że nie chodzi jej o drugie śniadanie.

– Lepiej im się przyjrzyj – w głosie Kaśki brzmiała nuta pogardy. – Dla mnie to smarkacze – skwitowała z wyższością, usprawiedliwioną o tyle, że pod względem wzrostu mało kto w klasie jej dorównywał. Z tego powodu miała trochę pretensji do świata męskiego, który okazał się nie na poziomie. Do tego przez pewien czas, na szczęście krótki, przezywano ją Dypłodok. Takich upokorzeń łatwo się nie zapomina. Trudno o wzajemność, gdy świat traktuje nas niesprawiedliwie.

– To prawda, że oni rozwijają się nieco wolniej – zauważyła Marta. – Szczególnie pod względem kultury, ale naukowcy twierdzą, że to się potem zmienia.

– Oni w nas w ogóle nie widzą kobiet – stwierdziła Telka.

Marta z pewnym wahaniem przyznała jej rację, Kaśka tylko parsknęła pogardliwie.

– Zastanawiam się – Telka uznała to za odpowiedni moment, żeby podzielić się wątpliwościami – dlaczego chłopak poznany na wakacjach traktuje cię na ogół inaczej.

– Myślę, że to kwestia nowości – powiedziała Marta.

– Ale żeby aż do tego stopnia? – Telki ta odpowiedź nie zadowoliła. Czyżby jej wakacyjne przeżycia były tylko ceną nowości? Żyła nimi przez dwa, trzy miesiące, potem zaczynała w niej narastać potrzeba nowych wrażeń, w miarę jak naturalną kolejną rzeczą wygasła korespondencja z poznanymi latem ludźmi.

– Chłopaki z wakacji to zupełnie inny gatunek – poparła ją Kaśka mając na myśli obóz sportowy dla koszykarzy, gdzie spędziła dwa najszcześniejsze tygodnie swojej młodości.

– Chyba przesadzacie, dziewczyny – obstawała przy swoim Marta. – Roznoszą ich hormony, więc się popisują, wygłupiają.

– E, tam, oni są zupełnie bez wycucia, no nie, Telka? – Kaśka szukała poparcia u koleżanki i nie zawiodła się.

– Oczywiście, że nie mają wycucia. Na przykład za Wiołką wodzą oczami. Co oni w niej widzą?

Nikt tak nie łączy jak wspólny i wypróbowany wróg. Wioletta Wiśniak, osoba o powłóczystym spojrzeniu cieszyła się niezrozumiałym powodzeniem u płci przeciwnej i stanowiła częsty temat rozmów.

– Ona ich beczelnie kokietuje – stwierdziła Kaśka – przewraca oczami do każdego bez wyjątku, a przy tym porusza się jak przegubowy kot. Kompletna parodia!

– Warunki ma niezłe – zauważyła Marta z zasługującą na szacunek bezstronnością.

– I nic poza tym – skrzywiła się Telka. – Dobrze opakowany prymityw.

Na pogłębienie problemu Wioletty Wiśniak nie było czasu, bo nagle obok wywiązała się gwałtowna kotłowanina.

Antał ruszył z pełnymi ustami w stronę Totka i powiedział zupełnie niepotrzebnie:

– Dostałem kanapkę od Telki.

Totkowi nie chodziło bynajmniej o kanapkę, tylko o zasady. Jego dziadek mawiał często: „Nie chodzi o te śliwki, tylko po co żeś tam wlaź”. Powiedział więc z przekąsem:

– Widzę, że robisz za sępa.

Antał poczuł się lekko dotknięty. Kto jak kto, ale na pewno Totek nie miał moralnych kwalifikacji, żeby mu coś takiego zarzucać. Na jego miejscu też by się nie podzielił, co do tego Antolski nie miał złudzeń, nie mówiąc już o tym, że jego matka pracowała w sklepie mięsnym. Odpowiedział jednak pojednawczo:

– A co? Miało się zmarnować?

– Mogę się założyć, że niedługo będziesz jej jadł z ręki.

Antał nie tylko nie przyjął zakładu, ale do tego popchnął Totka ze słowami:

– Odwal się, dobra?!

– Ty! – wrzasnął poszkodowany i w dwójnasób dotknięty. – Popychać to ty możesz, wiesz co?!

Antolskiemu nie dane było dowiedzieć się, co mógłby popychać za zgodą Totka, bo nagle wkroczył Stefan rozdzielając walczących.

– Spokój, bo was porzucam! Antał był w gruncie rzeczy zadowolony z interwencji. Posunął się trochę za daleko, więc sile porządkowej, jaką okazał się Stefan, poddał się bez oporów. Obciągnął sweter i powiedział dla formalności:

– Jemu to powiedz.

– Dziewczyny pomyślały, że dwóch jełopów pobilo się o parę deko szynki – powiedział Stefan.

Byłby to koniec konfliktu, gdyby nie Totek, który warknął:

– Niech sobie myślą! Mnie to wisi! Nie będzie mnie grubas popychał!

Twarz Anielskiego natychmiast przybrała bojowy, czerwony kolor. Pod wpływem obrazu jego organizm zaczął wydzielać hormon wściekłości, adrenalinę. Zaciskając pięści wycedził przez zęby:

– Tylko nie grubas, dobra!

Przestępując z nogi na nogę zbierał się do ataku. Totek cofnął się o krok, ale widać było, że nie ma zamiaru czynić dalszych ustępstw.

Stefan doszedł do wniosku, że w tej sytuacji nie wystarczą zwykłe środki perswazji.

– W porządku – powiedział z rezygnacją – chcecie się tłuc, wasza sprawa, ale może nie pod gabinetem dyrekcji tego cyrku.

Przeciwnicy oprzytomnieli na chwilę. Miejsce akcji rzeczywiście było niezbyt fortunate. Stefan wykorzystał moment niepewności i przejął inicjatywę.

– Chodźcie na boisko! – zakomenderował licząc w duchu, że chłodne powietrze ostudzi nieco ich zapał do walki. Szli za nim potulnie, ramię w ramię, z każdym krokiem tracąc chęć do bójki.

Dziewczyny obserwowały tę scenę w kompletnym osłupieniu. Pierwsza odezwała się Kaśka:

– Ci kretyni pobili się o kanapkę – miała rozchylone usta i oczy okrągłe ze zdziwienia.

– Oni są nienormalni – zawyrokowała Telka. – Miałaś rację, Marta, z tymi hormonami. Po nich wszystkiego się można spodziewać... Coś takiego... To się przecież w głowie nie mieści – nie mogła ochłonąć z wrażenia.

Marta kręciła głową z niedowierzaniem.

– Kanapka to tylko pretekst – powiedziała po chwili – równie dobrze mogłoby to być coś równie głupiego i bez znaczenia. Dobrze, że Stefan ich uspokoił. Przynajmniej jeden przy zdrowych zmysłach.

– Coś ty! – wykrzyknęła Telka. – Poszli się bić na boisko, zawsze tak robią. Widocznie walenie się po łbach sprawia im wyjątkową przyjemność.

Marta miała jednak jakieś wątpliwości, więc Telka zaproponowała:

– Jak mi nie wierzysz, to idź na boisko i sprawdź.

– Oni są jeszcze kompletnie niedorozwinięci – westchnęła Kaśka. – Dziewczyny w ich wieku są już prawie dorosłe – przesunęła ręką po włosach i dodała po chwili. – Może nie wszystkie, ale przeważnie są. No nie, Telka?

Elżbieta Telman, znana wszystkim jako Telka, skinęła z powagą głową. Przez chwilę wszystkie trzy czuły się prawie zupełnie dorosłe. Z pobłażliwą wyższością spojrzali na tabun zziąpanych chłopaków uganiających się z tenisową piłką. Dopiero dźwięk dzwonka ściągnął je na ziemię.

Na boisku panował przejmujący jesienny ziąb. Chłopcy kulili się pod gwałtownymi uderzeniami wiatru.

– Ten wiatr nam powyrywa zęby – powiedział Totek rozcierając dłonie. Liczył w duchu, że Stefan załagodzi sprawę i że on, Totek, da się łaskawie przeprosić Antolskiemu. Jego przeciwnik niepewnie przestępował z nogi na nogę i również myślał o tym samym. Także i on widział siebie w roli przepraszanego.

Stefan przyglądał im się uważnie przez chwilę, a potem zaczął mówić obojętnym, zimnym głosem:

– Rozumiem, że postanowiliście stoczyć walkę...

Zwaśnione strony wymieniły niepewne spojrzenia, w których nie było nienawiści.

– Powód nie jest wprawdzie dla mnie jasny – ciągnął obojętnie sekundant udając, że nie dostrzega upadku ducha bojowego – ale nie jest on ważny. Nie o to chodzi.

– Nie dam się popychać – ponuro i bez przekonania powiedział Totek. Czuł, że z punktu widzenia honoru powinien rzucić się na Antała i wdeptać go w ziemię, wiedział jednak, że jest to zadanie niełatwe, przyjął więc postawę wyczekującą.

– Pokaż najpierw, jak zostałeś popchnięty – powiedział niespodziewanie Stefan.

– O co ci chodzi? Przecież widziałeś – Totek wzruszył ramionami.

Antał przyglądał się z wyraźnym zainteresowaniem. Wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót, sprawa pojedynku zeszała na dalszy plan, odetchnął więc z ulgą. Złość na Totka trochę mu wywietrzała – za sprawą wiatru i czasu, który upłynął od chwili, gdy jego honor doznał szwanku.

– Zademonstruj, jak to było – nalegał Stefan. – Chcę się przekonać na własnej skórze.

Totek wietrzył w tym jakiś podstęp, starał się więc zachować ostrożność. Kątem oka zauważył, że Antał znajduje się w przyzwolonej odległości. Stefan stał w lekkim rozkroku z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami. Nie dostrzegł niczego podejrzanego.

– Założę się... – mruknął pod nosem, ale nie dokończył. Nagłym ruchem wyprostował ramiona. Nie zauważył, w którym momencie Stefan cofnął prawą nogę, miękkim półobrotem schodząc z linii ciosu. Poczuł, że jego ręce ześliznęły się i traci równowagę. W ułamku sekundy mocna dźwignia przygięła go do ziemi. Każda próba gwałtowniejszego ruchu powodowała ból w stawie barkowym, łokciu i nadgarstku.

Są sytuacje, w których człowiek czuje się zupełnie bezradny. Totek czuł, że jest to właśnie taka sytuacja. Stęknął w bezsilnej furii i z rozpaczą patrząc na pożółkłą trawę tuż przed własnym nosem wyczarzał:

– Puść mnie, Olber, bo rozwalę ci nos!

Była to propozycja poważna, więc zwrócił się do Stefana po nazwisku.

– Nie radzę – głos ciemieżyciela brzmiał spokojnie, nie znać było po nim wysiłku – obrona przed ciosem jest trochę brutalniejsza. Do tego kończy się rzutem. Nie jest to wcale przyjemniejsze niż porządny kopniak – wyjaśnił nie rozluźniając chwytu.

Totek musiał w duchu przyznać, że w tej sytuacji brzmiało to przekonująco.

Antolski, który z uwagą i w milczeniu obserwował rozwój wypadków, odzyskał nagle głos i zaryczał:

– Ale numer! Ale cię zrobił w konia!

– Nie ciesz się, Antał – powiedział Stefan – bo spotka cię coś gorszego – następnie zwrócił się do dyszącego wściekłością Totka. – Zaraz ci puszcze, tylko pozwól mi, że ci coś wytłumaczę.

– Pozwalam – warknął Totek, tylko dlatego, że nie miał wyboru.

– Nie lubisz być popychany, więc pomyślałem, że przyda ci się znajomość jakiejś prostej a skutecznej techniki obrony. Przyznasz chyba, że mam trochę racji?

– Przyznam – wycedził przez zęby uszkodzony.

– Teraz będziesz mógł mi się zrewanżować – obiecał Stefan rozluźniając chwyt.

– Marzę o tym – warknął Totek rozcierając obolałe ramię.

– Może ci pomóc, Stefek – zaofiarował Antał swe usługi. Chwilowo czuł do niego coś w rodzaju wdzięczności.

– Nie wtrącaj się! – rzucił tamten przez ramię.

– Dobra – Totek po krótkim masażu odzyskał władzę w rękę i pałał żądzą rewanzu – po-  
każ teraz powoli, jak to się robi. Wypróbuję to najpierw na tobie, a potem zastosuję na Antol-  
skim.

– Uważaj – powiedział Antał, co miało oznaczać, że raczej nie pozwoli na sobie niczego  
stosować.

– To będzie coś lepszego – Stefan przystąpił do udzielania instrukcji – kończy się fatalnym  
upadkiem. Antałek jest do tego za ciężki. Załamałby się pod własnym ciężarem i musiałby  
chodzić w gipsie.

– Należy mu się jakaś pamiątka po mnie.

Totek okazał się dość pojętym uczniem. Już za trzecim razem uzyskał właściwą płynność  
i dynamikę ruchu. Olber, który markował atak, przetoczył się miękko i upadł na plecy.

– Jak na pierwszy raz zupełnie nieźle ci to poszło – pogratulował Totkowi.

– Antał, chcesz mnie popchnąć? – zaproponował łaskawie niedawnemu prześladowcy.

– Nie, nie, dziękuję – powiedział Antolski z respektem, ale zaraz dodał: – Następnym ra-  
zem wymyślę coś innego.

– Przepraszam, że wam przeszkodziłem, zapomniałem, że macie porachunki. Przecież  
mieliście się bić.

– Nic pilnego – mruknął Totek spoglądając na zegarek. – O rany, już po dzwonku! – wy-  
krzyknął nagle. Porywisty wiatr musiał ich ogłuszyć. Ruszyli szybkim krokiem.

– Założę się, że nastąpiło przedawnienie – Totek nie kierował tych słów do niedawnego  
przeciwnika, patrzył w przestrzeń, ale Antał skinął głową ze zrozumieniem. Wbiegli na scho-  
dy.

– Mogę z czystym sumieniem obiecać, że go nie popchnę – „przynajmniej z przodu” dodał  
w myśli Antał.

– Wiesz co – Totek tym razem zwrócił się do Antolskiego – tak naprawdę to nigdy poważ-  
nie nie myślałem, że jesteś za gruby. Masz po prostu dużą masę.

– Przydałoby się trochę zrzucić – odrzekł Antał kurtuazyjnie.

– Nie żałuj sobie, jeśli organizm potrzebuje – poradził mu Totek uprzejmie.

Drzwi były uchylone Ostrożnie wetknęli głowy i z ulgą stwierdzili, że polonistka jeszcze  
nie dotarła do klasy. Majestatycznie przekroczyli próg, jakby zjawili się tu nie na lekcję, ale  
na wizytację. Człowiek, nawet gdy jest spóźniony, powinien zachować godność osobistą.  
Powrót chłopaków został zauważony.

– Wracają troglodyci – Marta zwróciła się do Telki, z którą dzieliła ławkę.

– A nie mówiłam? Popatrz na Stefana, całe plecy ma utyłane w trawie.

Wyglądało to rzeczywiście zagadkowo. Przebieg zajścia na nic takiego nie wskazywał.  
Marta była w rozterce, coś jej się w tym wszystkim nie zgadzało.

– Pewnie po drodze zmienili zamiar i pobili go we dwóch. Im jest przecież wszystko jedno  
– skwitowała Telka z pogardą.

– Dziwne. Wygląda na to, że nie mają do siebie pretensji, odkurzają go przecież razem –  
powiedziała Marta przyciszonym głosem przyglądając się sielankowej scenie.

– Mają krótką pamięć, jak dzieciaki – westchnęła Telka z wyższością osoby całkowicie  
dojrzałej – nowa zabawa i wszystko idzie w zapomnienie.

Marta w gruncie rzeczy skłonna była przyznać rację koleżance, ale zirytowała ją tonacja wyższości, nieuzasadniona pewność siebie.

– Zgrywasz dorosłą, ale lalki zachowałeś.

Cios był dotkliwy, bo Telka zaczerwieniła się lekko, ale żeby nie wypaść z roli, powiedziała na pozór obojętnie:

– Tylko przez sentyment do dzieciństwa.

– Posyłaś im nowe kreacje.

– Chciałam wypróbować maszynę do szycia, to chyba zrozumiałe – głos drżał jej lekko. – Chyba nie myślisz, że bawię się jeszcze lalkami? – dodała urażonym tonem. Była kompletnie zaskoczona, bo Marta nie należała do osób złośliwych, co najwyżej pozwalała sobie na lekką ironię.

– Myślę, że przestałaś się już bawić, ale jeszcze nie zdążyłaś posprzątać zabawek – powiedziała Marta zimnym głosem.

– Dajcie spokój, dziewczyny! – Kaśka za ich plecami przysłuchiwała się rozmowie, gdy zaczęła ona przybierać niebezpieczny obrót, postanowiła się włączyć. – Co wam? Gorzej? O co wam chodzi? O jakieś tam lalki? – mówiła szeptem. – Nie bądźcie dziecinne!

– Masz rację, to dziecinne – Marta czuła się trochę winna. Nie lubiła nikomu wyrządzać przykrości i teraz nie bardzo wiedziała, dlaczego tak się stało.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Rozmowa z Krzychem dała mi dużo do myślenia. Wygląda na to, że ten człowiek wie, co mówi. Ale to przecież tylko teoria. Żywa dziewczyna reaguje w sposób trudny do przewidzenia. Na przykład Marta.

Zacząłem się od tego, że kiedy próbowałem sobie wyobrazić jakąś zupełnie teoretyczną dziewczynę, pojawiała się właśnie ona. Inne zmienne nie dawały się stosować. Może mam za małą pojemność wyobraźni w tych sprawach, ale tak już było. Zacząłem jej się przyglądać uważniej od pewnego czasu, żeby się dowiedzieć, co w niej widzę szczególnego. Na pierwszy rzut oka wygląda zupełnie normalnie. To znaczy pod względem urody nie mam żadnych zastrzeżeń, przeciwnie. Sposób, w jaki się porusza, też chyba jest nie bez znaczenia. Tylko trudno to nazwać. Jedno jest pewne: gdyby poruszała się inaczej, być może nie podobałaby mi się w tym stopniu. Bo niestety, podejrzewam, że Marta mi się podoba.

Ma dobry głos, kiedy się śmieje. Nie tylko, ale szczególnie wtedy. Taki w sam raz dla niej.

Niedawno przyglądałem się jej chyba trochę zbyt intensywnie. Wydawało mi się, że się do mnie uśmiechnęła. Na wszelki wypadek obejrzałem się, żeby mieć pewność, że chodzi o moją osobę. Kiedy się odwróciłem, już jej nie było. Przez trzy dni trzymałem się od niej z daleka, żeby nie obudzić podejrzeń.

W domu zakładam stopery i staram się jak najmniej odzywać. Matka jest zaniepokojona. Dwa razy dziennie każe mi mierzyć temperaturę i ciągle pyta, czy nie boli mnie gardło. Nawet poszła do wychowawczynie, żeby się dowiedzieć, czy nie szykuje się jakaś lufa na okres. Po wizycie w szkole trochę się uspokoiła, ale na krótko.

Zacząła mnie wypytywać o treningi z samoobrony – z czego my tam strzelamy itd. W ogóle nie dała mi dojść do słowa, i powiedziała, że jeśli o nią chodzi to wolałaby, żebym grał w ping-ponga albo jeszcze lepiej, w szachy. Udało mi się tylko powiedzieć, że uprawiam szlachetną sztukę samoobrony. Nie wiadomo, jakby się to skończyło. Na szczęście poparł mnie ojciec. Powiedział kategorycznie, że on popiera i że jego zdaniem samoobrona uczy wewnętrznej dyscypliny czy czegoś w tym rodzaju.

A matka na to, że co to za szlachetna sztuka dyscypliny, jeżeli dziecku mowę odjęło. Ojciec stwierdził, że dyscyplina jest właśnie wtedy, gdy młodzież nie odzywa się niepytana. Między innymi.



Oczywiście na tym się nie skończyło. Dopiero koleżanka z apteki uspokoiła mamę, powiedziała, że nic mi nie jest, że to po prostu dojrzewanie i że sama to miała przed rokiem. A matka znowu swoje: że moi bracia mówili dwa razy więcej. Zapomina, że w domu było dwa razy więcej ludzi, bo przecież żyła jeszcze babcia. Wystarczyło, że każdy powiedział kilka słów i już robiła się z tego kupa gadania.

Czuł, że coś go do niej przyciąga i zatrzymuje, dystans kilku kroków wydawał mu się odległością niemożliwą do pokonania. Gdyby nie miał wobec niej żadnych zamiarów, rozmowa nie sprawiałaby trudności. Zwykła rozmowa. Ale to nie mogła być przecież zwykła rozmowa. Nie chciał być zwykłym facetem, który mówi rzeczy, o jakich zaraz się zapomina. Krążył więc w jej pobliżu z wytrwałością drapieżnika. Chwilami wydawało mu się, że Marta coś zaczyna podejrzewać, wtedy na pewien czas wycofywał się z zasięgu jej wzroku, ale wkrótce pojawiał się znowu, cierpliwie i ostrożnie.

W jego zachowaniu trudno było zauważyć oznaki adoracji, raczej skupienie i namysł, jak u kogoś, kto jest na tropie tajemnicy.

Teraz też był w pobliżu. Stał oparty o ścianę wertując machinalnie książkę, w rzeczywistości łowił chciwie fragmenty rozmowy, którą prowadziły dziewczyny. Z uczuciem zażenowania uświadomił sobie, że po prostu podsłuchuje. Po krótkiej walce wewnętrznej ciekawość zwyciężyła poczucie wstydu. Tłumaczył sobie, że słyszy tę rozmowę mimo woli, a poza tym mógłby przecież zwyczajnie podejść – w gruncie rzeczy wiedział doskonale, że tego nie zrobi. W jego obecności rozmowa wyglądałaby na pewno inaczej, a przecież chciał wiedzieć... Co? Nie miał pewności, co to ma być. Liczył w duchu, że dowie się w końcu, jak ma postępować, że ten drobny grzech przybliży go do tej inności dziewczyn, z której podświadomie zdawał sobie sprawę.

Telka opowiadała z ożywieniem.

– W sobotę byłam u rodziny w Warszawie. Mieli bilety na „Konfrontacje”, a ponieważ ciotka nie mogła iść, bo miała do pogadania z moim ojcem, więc wuj zabrał mnie na „Tesse” Polańskiego. Wszystkie filmy od osiemnastu lat, ale bileterka nawet okiem nie mrugnęła. A za mną wchodził chłopak i od niego zażądała dowodu. Okazało się, że ma dziewiętnaście lat. Żebyście widziały jego minę!

– Nie chwaliłaś się, że chodziłaś na „Konfrontacje” – powiedziała z zazdrością Marta.

Stefan intensywnie wpatrywał się w numer strony, ale gdyby go ktoś zapytał, co to za numer, na pewno nie potrafiłby odpowiedzieć.

– Widziałam tylko ten jeden film. Następnego dnia rano wyjechaliśmy – odrzekła Telka.

– Opowiedz, stara – to Kaśka odezwała się proszalnym tonem, który przypominał dziecięce molestowanie o bajkę.

Telka krygowała się trochę, że nie wie, czy zdąży, a poza tym film jest artystyczny, więc sama fabuła to nie wszystko, ale w końcu dała się namówić.

– Kto gra w tym filmie? – chciała wiedzieć Kaśka.

– Nastazja Kinsky – to Marta wyręczyła narratorkę.

– Ona gra taką dziewczynę z marginesu, wiecie, ojciec pijak, kurna chata oraz kupa niedomytych dzieci w różnym wieku. I nagle okazuje się, że pochodzą z arystokracji – Telka mówiła z pewną emfazą żywo gestykulując.

– Dostają spadek? – zapytała Kaśka, która preferowała szybkie i korzystne dla bohaterki obroty losu.

– Wszystko, co mają, to widelec z herbem – Telka uciszyła ją ruchem dłoni. – Na tej podstawie okazuje się, że pochodzą z bardzo dobrej rodziny, tylko podupadłej i do tego z przekreślonym nazwiskiem.

– Jak to? – zdziwiła się Kaśka.

– Właśnie mówię, z przekręconym – zniecierpliwiła się narratorka. – Z tego powodu wcześniej nie mogli mieć takiego pochodzenia. Wysyłają też córkę, czyli Kinską, do krewnych z rodzinną wizytą przyjaźni.

– Jako ubogą krewną – wtrąciła Kaśka. Obie dziewczyny spojrzały na nią z wyrzutem.

– Nawet gorzej – Telka machnęła ręką. – Okazało się, że ci krewni, to badylarze, którzy kupili sobie dla szpanu nazwisko z herbem.

– Zdarza się – po raz kolejny włączyła się Kaśka. – Słyszałam o jednym... Zresztą, opowiem wam później – dodała pośpiesznie widząc przyganę w oczach koleżanek.

– Jak raz potrzebna im była siła robocza, więc dali dziewczynie robotę przy kurach.

Kaśka skrzywiła się i mruknęła:

– Specjalnie się nie wysilili.

– Ona nie narzeka, bo jest pracowita, a przy tym tam są niezłe warunki socjalne. Ale jest tam także przyszywany kuzyn, w gruncie rzeczy znany playboy i on, niestety, uwodzi nieświadomą dziewczynę. Wtedy ona odchodzi. Rozumiecie? Ze względu na skandal. Z niepożądaną ciążą.

– Odpuściła alimenty? – zainteresowała się Kaśka, która właśnie przypomniła sobie podobny przypadek w dalszej rodzinie.

– Kaśka, to się przecież dzieje w dziewiętnastym wieku – pośpieszyła z wyjaśnieniami Marta. – Dziewczyna odchodzi, bo ma zszarganą opinię jako kobieta upadła.

– Mimo wszystko to głupota, bo w grę wchodzi dziecko – Kaśka nie mogła pogodzić się z feudalnymi przesądami.

– Dziecko umarło, a ona nawet mu nie powiedziała, że jest w ciąży. Kaśka westchnęła z rezygnacją:

– Nie rozumiem tej kobiety.

– Żyjesz w innych czasach – odpowiedziała Marta z wyższością osoby wprowadzonej w tajniki dziewiętnastowiecznej obyczajowości.

– Po śmierci dziecka ona idzie do pracy w prywatnej mleczarni i tam poznaje syna pastora – ciągnęła Telka po krótkiej przerwie. – Wszystkie dziewczyny z tej mleczarni są w nim zadowolone, nie wiadomo, z jakiego powodu, bo na mnie facet nie robi wrażenia. Taki niemrawy blondynek.

Stefan poczuł się dotknięty lekceważeniem Telki dla, bądź co bądź, przedstawiciela męskiego rodzaju. Od biedy ten epitet można było odnieść także do niego.

– Ale Tessa też za nim szaleje – kontynuowała Telka.

– Może nie w twoim typie? Albo udzieliło jej się ze względu na konkurencję – zastanawiała się głośno Kaśka.

– Potem następują oświadczenia i ślub. W noc poślubną ona ma wyrzuty sumienia ze względu na swą przeszłość.

– Oczywiście powiedziała mu – stwierdziła raczej, niż zapytała Marta. Stefanowi wydawało się, że patrzy teraz na niego, więc przewrócił kolejną stronę i nawet przeczytał dwa wyrazy na początku pierwszego wersu. Brzmiały one: „rze widziany”.

– Powiedziała mu dopiero po ślubie.

– A on co na to? – chciała wiedzieć Kaśka.

– Zostawia ją bez środków do życia, a sam wybiera wolność w Brazylii.

– O co mu chodzi? Mógł się przecież nie żenić? – obruszyła się Kaśka.

Stefan przestał odczuwać solidarność z synem pastora, chociaż zazdrościł mu wyjazdu do Brazylii.

– Moim zdaniem on jej wyciął jeszcze lepszy numer niż ten playboy – zgodziła się Telka.

– Świętoszek – dorzuciła Kaśka – zmarnował dziewczynie życie – zawsze identyfikowała się z bohaterką filmu czy książki, stąd też brało się jej oburzenie.

– Następnie Tessa marnuje urodę odrabiając pańszczyznę przy burakach. Po latach zjawia się mąż i zaczyna jej szukać. Ona to niby to nie chce go znać, ale okazuje się w końcu, że ma do niego legalne uczucie.

– Po tym wszystkim? Ja tego nie rozumiem – zdziwiła się Kaśka, dla której sprawiedliwość i lojalność znaczyły więcej od zawilości uczuciowych.

– Mało tego. Ponieważ mąż przez lata nie dawał znaku życia, Tessa nie mając rozvodu zaczęła żyć z tym playboyem od nieślubnego dziecka na łapie zwierzęcia.

– Nie łapię, o co ci chodzi – wtrąciła Marta patrząc na koleżankę wielce podejrzliwie.

– Ani ja – przyznała Kaśka.

– Ach, to – Telka uśmiechnęła się. – Tak się mówi u mnie w domu. Kiedyś mój brat przyjechał z pytaniem, co to znaczy żyć na łapie zwierzęcia. Usłyszał po prostu sąsiadki, które opowiadały, że ktoś z kimś żyje na kocią łapę, i zanim wrócił do domu, trochę to wszystko pokręcił. Na czym to ja skończyłam?

– Tessa decyduje się na męża czy na kochanka? – zapytała Marta spoglądając na zegarek. Za chwilę powinien rozleć się dzwonek na lekcje.

– Najpierw morduje go w wynajętym mieszkaniu – oznajmiła z triumfem Telka. Patrzyła z satysfakcją na osłupienie dziewczyn.

– Męża? – zapytała Kaśka. Epoka wiktoriańska była dla niej prawdziwą zagadką.

– Playboya! – wykrzyknęła Telka.

Wzdrygnęły się, bo nagle ostro zabrzmiał dzwonek i przeciął opowieść o grzechu, miłości i zbrodni.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Powiedziałem Krzychowi, że do niego wpadnę wieczorem. I rzeczywiście wpadłem jak śliwka w kompot. Od progu zaczął robić dziwne miny i prowadził mnie przez korytarz do swego pokoju, jakby to był zaminowany kanał. Mówił schrypniętym szeptem i nie pozwolił włączyć magnetofonu. Zza ściany dobiegały podejrzane wrzaski. W oczach miał dzikie przeżalenie i co chwila mruczał pod nosem: „piekielne bliźniaki”. Mnie nie pozwalał w ogóle się odzywać ze względu na niebezpieczeństwo. Powiedział szeptem, że jedyny ratunek to wymknąć się niepostrzeżenie, ale nagle w progu stanęła matka Krzycha i zaproponowała, żeby na godzinę zajął się dziećmi, bo właśnie musi wyjść niespodziewanie. Wyglądała w zasadzie normalnie, jeśli nie liczyć tego, że głos drżał jej lekko, a ręce to nawet trochę bardziej.

Krzych rzucił się na podłogę jak Rejtan szarpiąc sweter na piersiach, ale pani Lewandowska uciekła. Złapał mnie za rękę i kazał obiecać, że go nie zostawię z potworami. „Piekiło to oni!” powiedział ze zgrozą.

Zacząłem go pocieszać, że trochę znam się na dzieciach, bo sam też byłem dzieckiem, a on tylko kręcił głową i rozglądał się niespokojnie, jakby szukał ratunku.

Zapytałem go, gdzie jest Dolar. Przypomniałem sobie, że dzieci lubią zwierzęta, mógłby się więc nimi zająć.

Krzych wydał z siebie jakiś upiorny odgłos i wyjaśnił, że piekielne stwory prawdopodobnie pogryzły psa, bo zapadł się pod ziemię.

Nagle w progu stanęły bliźnięta. Jedno na czterech łapach, drugie na dwóch. Nie byli do siebie specjalnie podobni, ale jak na dzieci wyglądali sympatycznie. Doszedłem do wniosku, że Krzych przesadza.

Bliźniaki przyglądały mi się uważnie.

– To pies? – zapytałem wskazując na czworonożnego, bo właśnie zaczął warczeć.

– Cezar – otrzymałem rezolutną odpowiedź – rasowy. Tu był jeszcze jeden pies, nawet długi, ale już się skończył.

Cezar wachlował się językiem jak prawdziwy pies.

– Skończył się – zapytałem, żeby podtrzymać rozmowę – a co mu się stało?

Nie doczekałem się jednak odpowiedzi. Wyciągnąłem rękę do Cezara, żeby go pogłaskać, czworonóg zbliżył się i, zanim Krzysztof wydał ostrzegawczy krzyk, wżarł się w łydke. Wrzasnąłem z bólu. Cezar odskoczył i przyglądał mi się spokojnie, bez złości.

– On gryzie – wyjaśnił uprzejmie rozmowny bliźniak.

– Mogłeś mi to wcześniej powiedzieć – wycedziłem przez zęby.

– Nie pytałeś, to sobie pomyślałem, że jest ci wszystko jedno.

W duchu musiałem mu przyznać rację. Zachowałem się nieostrożnie.

– Jak chcesz, to możesz go pogłaskać jeszcze raz, on to lubi.

Czworonóg kiwnął głową.

Tym razem byłem przeczniejszy. Cezar kłapnął szczęką w powietrze i wydawał się nieco zawiedziony.

– Powiedziałeś, że mogę go pogłaskać! Znowu chciał mnie dziabnąć! – miałem pretensję do podstępного bliźniaka.

– On nie lubi głaskania. On lubi gryźć, jak go się głaszcze – wyjaśnił dwunożny.

Wymieniliśmy z Krzychem porozumiewawcze spojrzenia. Dzieci okazały się niebezpieczne i piekielnie sprytnie, takiego przeciwnika nie można lekceważyć. Krzych wyglądał na kompletnie bezradnego, więc chcąc nie chcąc musiałem przejąć inicjatywę, póki jeszcze nie doznaliśmy poważniejszych obrażeń.

– Nie mam do was żalu, chłopaki – zwróciłem się do nich pojednawczo. Patrzyli na mnie w skupieniu z wyraźną nieufnością. – To moja wina, że dałem się ugryźć. Żaden z was przecież na coś takiego by się nie nabrał – tym razem zgodnie skinęli głowami. – Uważam, że jesteście w porządku, więc moglibyśmy się pobawić w Indian.

Odpowiedział mi przeraźliwy wrzask. Wyglądało na to, że pomysł się spodobał. Krzych natomiast doskoczył do mnie błady z przejęcia. Zaczął mnie tarmosić.

– Coś ty najlepszego narobił, idioto! Przecież oni nas oskalpują! – krzyczał szarpiąc na mnie odzież. Zdaje się, że pomysł zabawy w czerwonoskórych nie bardzo mu przypadł do gustu.

Tymczasem przedsiębiorcze bliźniaki pobiegły się uzbroić. Nie bez trudności udało mi się nakłonić Krzycha do przyjęcia mojego planu. Przygotowałem mocny sznur od bielizny.

Dzieci przybiegły i zaczęły domagać się białej broni, noży i siekier, wreszcie zgodziły się niechętnie na kij od szczotki i przepychacz do zlewu. Pogasiliśmy światła, wykręcając korki, a wcześniej szczelnie zaciągnęliśmy zasłony. Bliźniaki miały nacierać z przeciwległego końca mieszkania.

Wleźliśmy z Krzychem na szafę w korytarzu, i spokojnie czekaliśmy na dalszy rozwój wydarzeń. „Oddział czerwonoskórych” szedł waląc na oślep kijami. Na szczęście byliśmy bezpieczni. Czerwoni bracia przeszukali mieszkanie, nawet szafę, na której siedzieliśmy.

– Chytry Wąż myśleć, że Błada Twarz uciec – dobiegł nas z dołu złowrogi. szept.

– Spory Niedźwiedź wie, że oni tu być. Zamknąć drzwi na łańcuch.

Musiałem przyznać, że nowe wcielenie psa Cezara było równie przebiegłe i niebezpieczne.

– Chytry Wąż pójść w prawo, Spory Niedźwiedź w lewo. Złapać Bładą Twarz żywa albo umarła.

Mimo że była to tylko zabawa dreszcz przebiegł mi po plecach. Dotknąłem lekko Krzycha, odpowiedział mi uściskiem ręki co znaczyło, że jest przygotowany. Zeskoczyliśmy miękko nie robiąc więcej hałasu niż spadająca poduszka i bezszelestnie podpełzaliśmy do Chytręgo Węza. Bronił się dzielnie. Obezwładniłem go i zakneblowałem nie bez trudności. Mimo ciemności Krzych związał go szybko i sprawnie. Wrzuciliśmy jeńca do wanny i umknęliśmy na szafę, zanim przybył z odsieczą Spory Niedźwiedź. Nie chciałbym w tamtej chwili znaleźć się na końcu jego kija, był to zapewne najbardziej zajadły czerwonoskóry, jakiego zdarzyło mi się poznać bliżej.

Czekaliśmy cierpliwie, aż Spory Niedźwiedź opadnie z sił i straci pewność siebie. Trwało to dość długo. Wreszcie zdecydowaliśmy się na kolejny desant. Tym razem poszło gorzej. Spory Niedźwiedź nabił mi guza wielkości renklody i przegryził mi pasek od zegarka. Musiał jednak w końcu ulec w tej nierównej walce. Zwiąaliśmy ich do kupy tym samym postronkiem i poszliśmy do kuchni czcić zwycięstwo.

– Najgorsze, że trzeba ich będzie w końcu wypuścić – martwił się na zapas Krzych.

– Najważniejsze, że chwilowo są niegroźni – powiedziałem, żeby dodać sobie odwagi, bo też nie byłem wolny od obaw.

Trzymaliśmy ich w niewoli przez piętnaście minut, do powrotu matki Krzysztofa. Krzych powoli otwierał drzwi, żeby dać mi trochę czasu, a ja z duszą na ramieniu rozwiązywałem niebezpieczny pakunek. Jeńcy zachowywali się spokojnie, ale widać było po ich oczach, że nie mają zamiaru zakopać wojennego topora. Zaskoczyło mnie, gdy Chytry Wąż wyciągnął prawicę i oznajmił z godnością:

– Błada Twarz być wielki wojownik.

Bąłem się, że znów zostanę pokąsany, ale nie mogłem okazać wzdargy wodzowi. Groziło to utratą skalpu. Na szczęście Indianie okazali się ludźmi honoru. Nawet nas nie oskarżyli przed rodziną o terroryzm. Siedli w kącie w kucki tubylczym zwyczajem i zaczęli się narażać szeptem. Idąc za głosem instynktu wymknąłem się dyskretnie. Doszedłem do wniosku, że lepiej być dezerterem niż ofiarą dzikusów.

Antał dopadł Stefana w drodze do domu. Zboczył z trasy i w ogóle zachowywał się dość dziwnie. Wreszcie zagaił ostrożnie:

– Stefan, powiedz mi szczerze, ale wiesz... – nie dokończył jednak.

– O co chodzi? – zaniepokoił się Stefan.

– Jesteś w końcu, jak to się mówi, kolega. Jakby – wydawało mu się zapewne, że z „jakby” będzie to brzmiało mniej oficjalnie.

– Jakby jestem – przyznał Stefan ostrożnie.

Antał zatrzymał się nagle i wyrzucił z siebie:

– Popatrz na mnie!

Przyglądał mu się podejrzliwie. Antał rzeczywiście zachowywał się nietypowo.

– Co się stało? – sondował ostrożnie.

– Jeszcze nic – powiedział Antał ponuro.

– Coś cię gniecie, więc wyciśnij to wreszcie z siebie! O co chodzi? Antolski pociągnął nosem.

– Jesteś, no wiesz, tak mi się wydaje, obiektywny – mówił wprawiając ciało w wahadłowy ruch, co znamionowało u niego zakłopotanie. – No więc popatrz na mnie i powiedz szczerze, jak ja wyglądam – kiedy wymówił te słowa, uciekł oczami gdzieś w bok. Był wyraźnie zakłopotany.

Stefan podrapał się w brodę.

– Odwróć się bokiem – zakomenderował. – Teraz tyłem.

Antał posłusznie wykonywał obroty jak karny żołnierz.

– Normalnie. Nic szczególnego nie widzę – wydał ostrożną diagnozę po krótkim namyśle.

– Złe mnie zrozumiałeś – Antolski był niezadowolony z werdyktu.

Stefan przyjrzał mu się jeszcze raz.

– Normalnie wyglądasz. Wszystko w porządku. Nic szczególnego nie widzę. A co? Masz jakąś ukrytą chorobę?

– Jestem zdrowy – Antał stawał się niecierpliwy. – Ja cię pytam poważnie! – wykrzyknął z tajoną rozpaczą.

– Nie denerwuj się.

– Ja się ciebie zupełnie spokojnie pytam! – wrzasnął Antał.

– Nie drzyj się. Stoję przecież obok ciebie. – Stefan nabierał stopniowo przekonania, że ma do czynienia z początkującym wariatem. Ciągnął więc ostrożnie, żeby nie urazić chorego. – Gdybyś nie zaczął pytać, nigdy bym się nie domyślił. Teraz widzę, że masz coś dziwnego w oczach.

– W oczach to ja mam bardzo dobrze – warknął Antolski. – Dwa dni temu byłem u okuli-  
sty...

– Szkoda, że od razu nie poszedłeś do psychiatry – wtrącił Stefan. Wydawało mu się, że to był właśnie stosowny moment.

– Ja nie zwariowałem, słowo ci daję!

Stefan udawał, że mu wierzy.

– Mnie chodzi o mój ogólny wygląd jako faceta – wyjawiał wreszcie gnębiący go problem.

– Aha – Stefan ciągle jeszcze starał się zachować ostrożność – mam ogólnie powiedzieć, jak wyglądasz? – upewniał się.

– Przecież od początku ci to tłumaczę! – wykrzyknął Antolski wyglądając coraz gorzej, bo krew napłynęła mu do twarzy. Przypominał rozsierzonego pomidora wielkości średniego niedźwiedzia, ale tego przez kurtuazję Stefan wołał mu nie mówić.

– No więc tak... Ogólnie?... Po pierwsze chłopak – wiedział, że mówi rzeczy niezbyt od-  
krywcze, ale od czegoś trzeba było zacząć.

– To już wiem bez ciebie – Antał łypnął na niego z wyraźną irytacją.

– Mówię ogólnie, sam przecież chciałeś – zastrzegł się Stefan niewinnie.

– Dobra, nie przeszkadzaj sobie, mów dalej – czekał w napięciu, jakby spodziewał się usłyszeć coś niezwykłego.

– Blondyn. Wzrost wysoki. Masywny. Oczy niebieskie – obchodził go dokoła j oglądał od stóp do głów. – Znaków szczególnych nie widzę, nie słyszę... To chyba wszystko, co się da powiedzieć ogólnie.

– Nie wysiliłeś się zbytnio – Antolski był wyraźnie zawiedziony.

– Miało być ogólnie – Stefan wzruszył ramionami.

Antał wahał się chwilę, a potem z nagłą determinacją powiedział:

– Gruby jestem, nie?

W jego oczach czaiła się rozpacz i nadzieja, odwaga zmierzenia się z oczywistą prawdą i oczekiwanie na kłamstwo, które odrzuciłby po męsku, bez wahania.

– Gruby zawsze może schudnąć, a chudy utyć – stwierdził Stefan oględnie, a potem dodał:  
– mógłbyś trochę zrzucić.

Antał smutnie zwiesił głowę.

– Ale czy warto?

– Łatwiej cię będzie przepchać do matury – powiedział Stefan, bo nic lepszego nie przy-  
chodziło mu do głowy.

– Czy w taki wygląd warto inwestować? – Antolski mówił trochę do siebie.

– Nie masz specjalnego wyboru.

– Czy warto się poświęcać, ograniczać? Czy to ma w ogóle jakiś sens? – mnożył pełne rozterki pytania.

– Robert Redford to ty raczej nie jesteś – powiedział Stefan, który wreszcie zorientował się, o co chodzi w tej całej rozmowie.

– Wiem – przyznał Antał ponuro – ostatnio zaglądam do lustra... Ty, czy to normalne, żeby zaglądać do lustra? – zaniepokoił się nagle.

– Normalny objaw. Tak jak mutacja i tak dalej – uspokoił go Stefan.

– Też to miałeś?

– Już to mam za sobą. Tobie też przejdzie – wyjaśnił tonem człowieka znającego życie.

– Myślałem, że może coś jest ze mną nie tak, jak trzeba – zastanawiał się, a potem nagle dodał: – wolałbym jednak wyglądać jak Redford. No nie? – uśmiechnął się przy tym smętnie.

– Nie wiem, czy byłoby ci z tym do twarzy – pocieszał go Stefan. – Zresztą jesteś podobny do Hackmana.

– A jak on wygląda, ten Hackman? – w oczach Antolskiego pojawił się nagle błysk zainteresowania.

– To bardzo dobry aktor – powiedział Stefan poważnie. – Możesz mi wierzyć, że nie gorszy od Redforda.

Świadomość, że ktoś wygląda tak jak on i że do tego nie jest to byle kto, pokrzepiła Antolskiego. Czuł z tego powodu wdzięczność dla Stefana, ale nie potrafił wyrazić jej słowami.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Rozmowa z Antałem nasunęła mi pewien pomysł w związku z Martą. Postanowiłem do niej podejść i wygłosić następujący tekst: „Słuchaj, Marta, czy ja wyglądam na faceta, z którym poszłabyś dzisiaj do kina.”

Wymyśliłem to wieczorem, przed zaśnięciem. Wydawało mi się wtedy, że przed takim tekstem musi się ugiąć każda dziewczyna. Krótki i śmieszny.

Kiedy stanąłem przed nią, już nie miałem tej pewności. Najgorsze, że mina, którą specjalnie przygotowałem na tę okoliczność, nie sprawdziła się. Spojrzała na mnie z niepokojem i zanim cokolwiek zdążyłem powiedzieć, zapytała, czy rozboleł mnie brzuch. Zdałem sobie naraz sprawę, że człowiek podejrzany o gwałtowny ból brzucha nie proponuje nikomu pójścia do kina. Odpowiedziałem więc z zimną krwią, że owszem, co przyszło mi dość łatwo, bo czułem się rzeczywiście niedobrze, i po prostu odszedłem.

Następnego dnia przyszło mi do głowy, że jeszcze nie wszystko stracone, że mogę do niej podejść jeszcze raz i zapytać, czy już wyglądam na faceta, z którym poszłaby tego dnia do kina. Odczekałem do dużej przerwy, bo wtedy jest więcej czasu, potem przez długi czas polowałem na okazję, ale zawsze ktoś był w pobliżu. Kiedy już wreszcie mogłem podejść bez ryzyka, zdążyłem powiedzieć:

„Marta, czy...” i rozległ się dzwonek. Najważniejszej części wypowiedzi nie usłyszała. Zapytała, co mówiłem, ale po pierwsze nie lubię się powtarzać, a po drugie ten dzwonek to mógł być zły znak. Machnąłem więc ręką, że nic ważnego i że opowiem jej przy okazji.

Jak na mężczyznę przystało, postanowił pogodzić się z utratą szans. Chcąc zgasić w sobie poczucie kłębki trenował zapamiętane. Przez dwa dni w szkole był nadmiernie hałaśliwy, co wyglądało nieco zagadkowo. Marty unikał w sposób tak ostentacyjny, że zwróciło to jej uwagę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przyzwyczaiła się do jego obecności w zasięgu wzroku.

Gdy podeszła do niego niespodziewanie, wszystkie mające ją obezwładnić błyskotliwym dowcipem teksty wyleciały mu oczywiście z głowy.

– Stefan, zatrzymaj się, przecież nie będę za tobą biegła!

– Ja? – stanął jak wryty i rozglądał się z niedowierzaniem, aż wzbudziło to jej podejrzliwość.

– Pewnie, że ty. Co się tak rozglądasz? Ktoś cię szpieguje? – dopytywała się patrząc na niego nieufnie. – Zdaje się, że miałeś mi coś powiedzieć?

– Ja? – zapytał po raz wtóry. Wyglądał przy tym na osobnika, który ma kłopoty z kojarzeniem prostych rzeczy.

– Nie pamiętasz? – zdziwiła się dziewczyna. – Parę dni temu. Zrobiłeś przy tym taką minę, jakby w grę wchodziło czyjeś życie.

– Tak. To znaczy nie – plątał się wyraźnie – chciałem powiedzieć, że to nic ważnego, przynajmniej dla ciebie – dodał szybko.

Wydawała się lekko zawiedziona.

– Aha, to dobrze – powiedziała bez przekonania – bo już myślałam, że się coś stało.  
Zrobiła ruch, jakby chciała odejść.

– Zaczekaj chwilę, zaraz ci wszystko wyjaśnię! – zareagował trochę zbyt gorączkowo.  
Spojrzała na niego zaskoczona.

– Słucham.

– Sprawa była skomplikowana – zaczął czując, że grunt usuwa mi się spod nóg, jakby odpowiadał z lekcji, której nie zdążył przygotować.

– O jakiej sprawie mówisz? – zainteresowała się Marta.

– Właśnie o tej, o której ci jeszcze nie powiedziałem – udało mu się zachować zimną krew i zyskać na czasie, wyobraźnia podsuwała mu najróżniejsze pomysły.

– Więc jednak coś się stało. Tak myślałam – wyglądała przy tym na przejętą.

Stefan zapewnił ją, że owszem, mogło się stać, ale na szczęście wszystko się dobrze skończyło. Wydawało mu się, że szczęśliwe zakończenie zwalnia go od szczegółowych wyjaśnień.

Marta okazała się jednak dociekliwa. Przyciśnięty paroma pytaniami, wydusił wreszcie, że chodziło o kino, ale zaraz doszedł do wniosku, że kino jest zbyt błahą sprawą, żeby zwracać dziewczynie głowę, więc dodał szybko:

– Właściwie to chodziło nie tyle o kino, co o psa.

Skąd nagle wziął się ten pies, trudno dociec, może zdawało mu się, że czworonożne stworzenie ożywi akcję, a może czując, że znalazł się w tarapatkach wezwał na pomoc przysłowio-  
wego przyjaciela człowieka.

Dziewczyna zdziwiła się.

– Nie wiedziałam, że masz psa.

– To był pies sąsiada...

Sąsiad rzeczywiście miał psa, ale to nie tłumaczyło związku zwierzęcia ze sprawą, więc dodał:

– Ja się nim opiekowałem przez dwa dni...

Czasami wyprowadzał psa na spacer, miał więc pewne podstawy, aby go wynająć do opo-  
wiadanej historii. Ale gdzie tu dramat i komplikacje?

– Ten pies wpadł pod samochód – wyznał ze smutkiem.

Tym razem słowa wyprzedziły akcję mózgu. Marta spojrzała na niego ze zgrozą. Poczul się mordercą mimo woli.

– To znaczy wpadł pod stojący samochód. Zaparkowany na chodniku – odetchnął z ulgą, że udało mu się wreszcie znaleźć szczęśliwe wyjście z opresji.

– To bardzo dziwne – stwierdziła Marta z namysłem.

Stefan zdał sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec.

– Nie chciał wyjść spod tego samochodu... w końcu go wyciągnąłem – kontynuował z wy-  
siłkiem, historię, która stawała się coraz bardziej zawiła i nieprawdopodobna. Pies żywy był  
równie kłopotliwy jak pogrzebany. – Zwierzak dostał nerwicy, czy czegoś w tym rodzaju.

– Nie wiedziałam, że psy miewają nerwice. Myślisz, że psy mają coś wspólnego z psy-  
chiatrą? Bo ja sądziłam, że to dowcip – Marta wyraźnie nie dawała wiary.

– Łapy mu się trzęsły, o tak – wykonał pantomimę, która wyglądała bardzo sugestywnie –  
pierwszy raz w życiu widziałem coś podobnego.

– A jaki to ma związek z kinem? – zapytała niespodziewanie.

– Z kinem? – zdziwił się Stefan.

– Zdaje się, że mówiłeś coś o kinie. Byłby o tym zupełnie zapomniał.

– No właśnie – zastanowił się chwilę – ze względu na tego psa nie mogłem pójść do kina,  
no przecież nie mogłem zostawić go samego w tym stanie nerwów... Kupiłem bilet, więc my-  
ślałem, że może ty...

Marta uśmiechnęła się dziwnie.



– To ładnie z twojej strony, że o mnie pomyślałeś, ale dlaczego właśnie ja? – spojrzała mu w oczy. – Masz przecież kolegów.

– Oni już na tym byli.

– Aha – powiedziała zimnym tonem – i dopiero kiedy nikt nie chciał, pomyślałeś o mnie.

Stefan zamrużył oczami.

– Nie, nie! – zaprzeczył gwałtownie – od razu pomyślałem o tobie. Nawet ich nie pytałem!

– I bilet się zmarnował?

– Nawet dwa – powiedział machinalnie.

– A więc były aż dwa bilety! A dla kogo był ten drugi? Może dla psa? – pastwiła się nad nim z niewinnym uśmiechem.

Stefanowi ten uśmiech wcale nie wydawał się niewinny.

Z nagłą determinacją podniósł głowę i stwierdził ponuro:

– To nie był wcale film dla psów. To był naprawdę dobry film. W tych ciężkich czasach, kiedy trafi się coś dobrego, to bierze się na zapas.

– Oczywiście, oczywiście – zgodziła się Marta z podejrzaną skwapliwością – szkoda, że nie trzy, jeśli film był rzeczywiście dobry... Właśnie, co to za film?

– „Hair” – powiedział wskazując na włosy.

– Wielka szkoda, chętnie bym to jeszcze raz zobaczyła – w jej głosie nie było cienia złości.

Nabrał powietrza i powiedział ostrożnie:

– Moglibyśmy pójść...

– Wczoraj był ostatni seans. Już nie grają.

– Jak to?! Akurat dzisiaj! Grali, grali i już nie grają?! Niemożliwe! – włożył w te kilka słów tyle pasji, że Marta zakryła usta dłonią i pochyliła twarz, żeby ukryć rozbawienie. Czekala chwilę, ale Stefan nie wykazywał żadnej inicjatywy. Po gwałtownym wybuchu ogarnęła go rezygnacja.

– Ta historia z psem wygląda jeszcze dziwniej – nie mogła sobie odmówić tej drobnej złości.

– U rasowych psów to normalne – powiedział to ot, tak sobie. Było mu w zasadzie wszystko jedno.

– Słucham? – zainteresowała się Marta.

– Chciałem powiedzieć, że rasowe psy są nienormalne i że to jest u nich normalne – wyjaśnił skwapliwie, jeśli tego rodzaju produkt myślowy można w ogóle uznać za wyjaśnienie. Na szczęście Marta, powodowana litością, zapytała tylko o rasę psa.

– Wyżeł, taki z brodą, podobny do brodacza monachijskiego – tym razem był to wierny portret psa sąsiada.

– Duży? – spytała niewinnie.

– Kawał psa – westchnął Stefan.

– Rozumiem. Kawał z brodą – stwierdziła dziewczyna z ironią.

Popatrzył na nią oczami zbitego psa. Chciało mu się wyc. Nie był w stanie wykonać żadnego ruchu ani wydać jakiegokolwiek dźwięku na swoją obronę. Marta podeszła do niego tak blisko, że poczuł zapach jej włosów.

– Uściśnij ode mnie tę drżącą łapę – szepnęła.

Gdy odchodziła, nie miał nawet siły, żeby na nią spojrzeć.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Rozmowa pod psem. Tak to chyba można nazwać. Że też mi się ten wyżeł na myśl przybłąkał! Ona jest teraz przekonana, że ma do czynienia z beznadziejnym przypadkiem kretyna. Mam pewność, że przy następnej rozmowie, o ile do niej oczywiście dojdzie, w co szczerze

wątpię, zażąda ode mnie świadectwa zdrowia psychicznego. Każdy by to zrobił na jej miejscu, więc nie ma się czemu dziwić.

Jedynie tragiczna i bohaterska śmierć może mnie zrehabilitować w jej oczach. Bohaterom, szczególnie nieżyjącym, wybacza się wiele słabości. Na pociechę wyobraziłem sobie, że Marta zmienia o mnie zdanie na pogrzebie i potem do końca życia nie może sobie darować, że nie doceniła mojej osoby. Niestety, przy moim farcie nic takiego się nie zdarzy. Będę żył w hańbie...

A mógłbym przecież zginąć chwalebnie wynosząc siedmioro dzieci z płonącego domu albo uratować tonącą staruszkę, a potem umrzeć na zapalenie płuc... Z drugiej strony staruszka mogłaby nie przeżyć czegoś takiego i moje zejście śmiertelne poszłoby na marne. Przy moim pechu to bardzo prawdopodobne.

Zamiast rwać włosy z głowy, wyrwałem Krzychowi płytę z „Hair” na jeden wieczór. Miał mi za złe. Mówił, że nie dość, że bliźniaki chcą go oskalpować, i żyje w ciągłym strachu, to jeszcze ja go unikam i ograbiam z najlepszych nagrań.

Zanim zadzwonił, podsłuchiwał chwilę pod drzwiami, czy bliźniaki nie szykują jakiejś niespodzianki. Uznał, że nawet tak zdolne dzieci nie powinny się rozwijać jego kosztem.

Po chwili Krzych wytknął opuchniętą głowę. W jego podkrążonych oczach czaił się cichy obłęd. Pokazał coś na migi, zatrzasnął mu drzwi przed nosem, ale zaraz zjawił się z kurtką w ręce.

– Dobrze, że jesteś – mówił schrypniętym szeptem – oni coś uknuli. U mnie jest niebezpiecznie, musimy się zadekować u ciebie. Ty wiesz, że oni próbowali zaatakować mnie w nocy? Całe szczęście, że mój wierny pies, zanim uciekł jak ostatni tchórz, narobił hałasu. Dzisiaj przy śniadaniu przywiązali mnie za nogi do stołu – opowiadał gorączkowo zniżonym głosem. – Nabrałem pewności, że to nie są dzieci.

– Wyglądają normalnie.

– To diabły – powiedział Krzych całkiem poważnie. – Podobno dzisiaj wracają do piekła, chciałem powiedzieć do domu, ale ja w to nie wierzę. Dzisiaj w południe przez godzinę wyli, zupełnie jak wilki. Skóra mi cierpła. Wiesz, to mogą być małe wilkołaki.

Minęli plac Juranda i asfaltową ścieżką zeszli nad jezioro. Świeże powietrze działało na Krzysztofa kojąco.

U wylotu zadrzewionej alei majaczyły trzy postacie. Stefan trącił kolegę w bok.

– Zdaje się, że czeka nas mała konfrontacja – rzekł półgłosem. – Bynio Grzyb, a ci dwaj są, zdaje się, z Korpel.

– Trzech na dwóch – zastanawiał się Krzysztof. – Może lepiej będzie wycofać się na z góry upatrzone pozycje?

– Za późno, już nas zauważyli – stwierdził Stefan widząc, że trójka idących z naprzeciwka zwolniła i uformowała coś w rodzaju tyraliery. – Postaram się to jakoś załatwić – nie miał jeszcze gotowego planu działania.

Odległość między nimi zmniejszyła się na tyle, że Stefan widział wyraźnie, jak Bynio Grzyb zwiniętą pięścią uderza w dłoń, złowrogo i miarowo. Nawet wyjątkowy optymista nie mógłby tego uznać za symptom pokojowych zamiarów.

Stefan rozluźnił mięśnie i wyrównał oddech, szedł miękkim, sprężystym krokiem. Krzych robił wrażenie zdenerwowanego, co chwila potykał się na korzeniach, przy tym zbłądł nieco.

Stanęli w odległości kilku metrów od siebie. Krzych zdjął okulary i troskliwie schował je do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Przez chwilę nic się nie działo. Bynio Grzyb wyszczerzył nierówne zęby i wprawił ciało w lekki ruch wahadłowy. Krzysztof zerknął na kolegę. Stał spokojnie na lekko rozstawionych nogach, na jego twarzy malowało się skupienie.

Niespodziewanie Bynio skoczył do Stefana i lewą ręką złapał go za kłapę. Stefan kątem oka dostrzegł jego prawą pięść przygotowaną do ciosu. Dziki okrzyk Stefana zawibrował w powietrzu na ułamek sekundy paraliżując wszystkich obecnych. W tej samej sekundzie katem lewej ręki uderzył w szyję przeciwnika, wykonał błyskawiczny półobrót, chwycił trzymającą go dłoń, a drugą ręką uderzył skośnie z dołu w łokieć.

Bynio Grzyb, jego odwieczny wróg, w ciągu sekundy leżał wciśnięty twarzą w zmarznięte błoto, pojękując i z trudnością łapiąc oddech. Dopiero teraz Stefan zdał sobie sprawę, że bezładnie wykonał czynności według klasycznych reguł go-shin-jitsu-no-kata i że jego przeciwnik został obezwładniony.

Obstawa Bynia, dwa małpiszony z Korpel, które zdaniem Stefana nie zasługiwały na miano goryli, zatrzymały się w przyzwoitej odległości. Klęska wodza podziałała na nich paraliżująco. Agresja i strach zrównoważyły się i osadziły ich w miejscu. Wreszcie jeden z nich cofnął się o parę kroków przed następującym Krzychem, a drugi ruszył do ataku. Po sposobie poruszania się Stefan odgadł bez trudu, że zamierza go kopnąć, widać było, że czuje respekt przed przeciwnikiem i boi się podchodzić zbyt blisko. Cios był sygnalizowany i obrona nie sprawiła mu najmniejszych trudności; krzyżując ramiona wykonał zasłonę i uderzył stopą w pachwinę napastnika, małpolud padł jak ścięty kosą.

Wyglądało na to, że nie mają tu nic więcej do roboty. Pociągnął za sobą Krzycha i szybkim krokiem ruszyli w stronę Pasymskiej. W miarę jak oddalali się, rozbity oddział podnosił upadłego ducha wojowniczymi okrzykami. Stefan znał Bynia na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że jego odwaga potrzebuje nie tylko kilkusobowego wsparcia, ale i pewności zwycięstwa. A tę niespodziewany upadek musiał znacznie nadwątlić.

Żałował, że Marta nie mogła go widzieć w akcji. Gdyby była na miejscu Krzycha, nabrałaby może lepszego mniemania o jego osobie, przynajmniej pod względem fizycznej sprawności.

Gdy znaleźli się w domu, Stefan poczuł, że nie może opanować lekkiego drżenia. Obawa i zdenerwowanie dopadły go dopiero teraz, wraz z wyczerpaniem nieproporcjonalnym do wysiłku.

Krzych przyglądał mu się z respektem.

– Nie wiedziałem, że opanowałeś łamaną japońszczyznę.

Były to jego pierwsze słowa od dobrych paru minut. Powiedział to z przekąsem, widać było, że zaczyna wracać do formy.

– Kończę właśnie kurs samoobrony – starał się nadać swoim słowom obojętne brzmienie.

– Nie wspomniałeś ani słowa – popatrzył podejrzliwie na przyjaciela. – Zaczekaj... Teraz domyślam się, dlaczego trzy razy w tygodniu byłeś wyłączony – zastanawiał się głośno. – A ja myślałem... – nie dokończył. – Dlaczego mi nie powiedziałeś? Był jakiś specjalny powód?

– Bałem się, że zapeszę. Ile razy rozpowiadam szeroko o swoich planach, tyle razy kończy się na obiecujących początkach – wyjaśnił Stefan przerzucając płyty w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego na tę okazję. Zdecydował się na stary przebój instrumentalny pod tytułem „Kung-fu”. – Tak było z żeglarstwem, jeśli dobrze pamiętasz.

– Aha – przyznał Krzych. – Była jeszcze konna jazda.

– No właśnie, jak widzisz miałem powody.

– To nie twoja wina, że przenieśli tego konia na drugi koniec Szczytna. Twoje gadanie nie mogło mieć wpływu na przeniesienie służbowe.

– Zniechęciłem się wcześniej i to do znacznie mniejszej odległości... Mam na myśli dystans między koniem a podłożem – skrzywił się boleśnie przypominając sobie fatalny upadek, po którym przez dłuższy czas nie odróżniał góry od dołu.

– Nie jestem jednak stworzony do wszystkich upadków, choć pewne pozory mogą na to wskazywać – ciągnął smętnie. – Nie mówiąc już o tym, że jak podejrzewam, temu koniowi wcale nie zależało, żebym został jeźdźcem.

Krzych przyznał mu rację. Znał konia i wiedział, że nie jest to zwierzę stworzone do poddaństwa, zresztą starał się go rozumieć; nikt nie lubi, gdy ktoś mu siedzi na karku. Wierzcho-  
wiec ów zniechęcił już dwa pokolenia do uprawiania jeździectwa i Stefan nie był wyjątkiem.

Zza okna dobiegły ich jakieś pokrzykiwania. Bynio Grzyb zebrał swoją ekipę i zachęcał przeciwników do rewanżu roztaczając przed nimi mało ponętne perspektywy, podczas gdy wierne małpiszony czyściły go z błota.

– To stworzenie za oknem, które chce się ponownie dopuścić czynu ulicznego, to oczywiście Bynio-element – upewnił się Krzych, jako że w Szczytnie mieszkał dopiero od paru miesięcy i nie ze wszystkimi miał jeszcze przyjemność.

– Jak widzisz, łatwo go rozpoznać ze względu na sposób bicia – odpowiedział kalamburem Stefan, zerkając dyskretnie zza firanki.

– Zdaje się, że to jeszcze nie koniec naszych zmagają, chciałem powiedzieć, głównie twoich – nie lubił tego rodzaju przygód, był pacyfistą z przekonania.

– Wykluczyć tego nie można – powiedział Stefan zastanawiając się – ale o ile znam osobnika, będzie on raczej szukał spotkania z kimś innym.

– Nie jest mściwy? – ucieszył się Krzych. – Więc jednak ma on jakieś zalety?

– Problem polega na tym, że jest to osobnik mściwy – wyjaśnił Stefan – ale nie przywiązuje się specjalnie do określonej osoby, szczególnie gdy ta stwarza mu pewne trudności.

– Więc on nie jest ambitny? – zdziwił się Krzych.

– Chce się wybić na swój sposób – stwierdził Stefan lakonicznie. Wyjrzał przez okno. Wyglądało na to, że wrogowie zamierzają zrezygnować z oblężenia. Snuli się po podwórku niezdecydowani, od dłuższego czasu zaprzestali też wojowniczych okrzyków. Poczul ulgę, ale trwało to krótko, przypomniawszy mu się rozmowa z Martą.

– Rozmawiałem z nią wczoraj – powiedział niespodziewanie. Krzych spojrział na niego zaskoczony nagłą zmianą tematu, ale zaraz w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. – Spa-  
prałem sprawę – ciągnął samokrytycznie – wprowadzając do konwersacji fikcyjnego psa. Potem musiałem odwracać kota ogonem.

Krzych przełknął gładko zoologiczne zawilości.

– Wyszedłem na kompletnego idiotę – podsumował Stefan swoją rolę w tym spotkaniu.

– Postaraj się wrócić jak najprędzej – poradził mu Krzych ostrożnie.

– Nie wiem, czy jest jeszcze jakaś szansa. Miała zupełne prawo uznać mnie za beznadziejny przypadek. To bystra dziewczyna – stwierdził ze smutkiem.

– Tu leży pies pogrzebany.

– Nie wymieniaj przy mnie nazwy tego zwierzęcia! – zachnął się Stefan gwałtownie.

– Więc aż do tego stopnia – zmartwił się Krzych. – Próbowales powiedzieć coś błyskotliwego albo dowcipnego, tak jak ci radziłem?

– Ona ma chyba sadystyczne skłonności, więc musiała mieć niezły ubaw – wyznał ponu-  
rym tonem człowieka zagubionego. – Nie muszę chyba dodawać, że był to efekt niezamierzony.

Nie musiał tego dodawać rzeczywiście, widać to było po jego minie.

– Może za wiele od siebie wymagasz? – pocieszył go Krzych.

Odpowiedział spojrzeniem o dużej zawartości jadu.

– Jeśli jej nie obraziłeś ani nie zanudziłeś na śmierć, nie jesteś jeszcze stracony – stwierdził Krzysztof, tym razem poważnie.

Stefan po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że w tego rodzaju stwierdzeniu jest jednak trochę racji. Pośmiewisko odbyło się na jego własny koszt.

– Mam nadzieję, że nie mówisz tego przez wdzięczność za uratowanie ci życia na gościńcu – mruknął pod nosem.

– Postaram się wyrównać ten dług przy nadarzącej się okazji roześmiał się Krzysztof. – Uratuję cię przed utonięciem.

– Obejdzie się. Umiem pływać.

– Będiesz miał związane ręce i kamień u szyi. Chyba nie myślisz, że będę ci dłużny do końca życia, a taka okazja może się nie chcieć zdarzyć, trzeba jej dać szansę. W sprawie tej dziewczyny radzę ci to samo – powiedział czyszcząc okulary swetrem.

– Kamień do szyi i do wody? – zdziwił się Stefan, który tego rodzaju zakończenia nie brał dotąd pod uwagę. Los go wprawdzie nigdy nie rozpieszczał, ale pozostała mu jeszcze ciekawość tych paru nieszczęść, które niewątpliwie miały mu się przytrafić.

Krzych skrzywił się z niesmakiem.

– Najpierw musisz wyczerpać wszystkie możliwości. Przecież i tak co ma wisieć, nie utonie. Pierwszy cię popchnę, jeśli nabiorę przekonania, że nie masz czego szukać w życiu. Spróbuj jeszcze raz.

– Honor mi nie pozwala – powiedział Stefan z dumą.

– Przesadzasz – Krzych machnął ręką – nawet jeśli się zblamowałeś, a pewnie jesteś trochę przewrażliwiony, to jest to zupełnie niezła pozycja startowa. Pomyśl tylko – przekonywał go – dziewczyna niczego się po tobie nie spodziewa. Możesz ją zaskoczyć tylko na plus.

– Gdyby tak ktoś, kto mnie dobrze zna, wytłumaczył jej, że nie jestem wcale takim krety-nem, tylko że tak wyszło.

Krzych wzruszył ramionami.

– Myślisz, że ja miałbym ją przekonywać?

Spojrzał na niego z nadzieją, ale Krzysztof pokręcił stanowczo głową.

– Nawet gdyby udało mi się ją przekonać, nic z tego nie wymknie. Zastanów się. Przecież chodźcie do jednej klasy.

– To zupełnie co innego. To jest kontakt, można powiedzieć, służbowy – odparł Stefan i pogrążył się w niewesołych rozmyślaniach.

Nagle w drzwiach ukazała się głowa pana Olbera udekorowana uśmiechem. Krzysztof wykonał coś w rodzaju ukłonu poprzez wyciągnięcie szyi do przodu. Głowa mrugnęła do niego, a następnie przemówiła:

– Przy tej waszej muzyce złodzieje mogliby wynieść cały dobytek – w głosie nie było jednak pretensji. Następnie głowa chrząknęła, co miało oznaczać, że nie ma już nic więcej do powiedzenia, i zniknęła. Chłopcy wymienili porozumiewawcze grymasy, jak to jest we zwyczaju każdego wstępującego pokolenia.

Mrok za oknem pogłębił się. Krzych spojrzął na zegarek i powoli zaczął zbierać się do wyjścia. Stefan wyszedł razem z nim, odprowadzanie się, niekiedy nawet dwukrotne, należało do rytuału. Tego dnia przemawiały za nim dodatkowe względy bezpieczeństwa. Bynio Grzyb, który nie uczył się ani nie pracował, miał wiele wolnego czasu, który mógł spędzać w sobie tylko wiadomy sposób. Na szczęście Stefan nie natknął się na niego także w drodze powrotnej i mógł nareszcie odetchnąć z ulgą.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Zbliżały się święta i matka, jak zwykle, zapowiedziała, że w tym roku, to ona nic nie będzie robiła, bo po pierwsze drogo, po drugie niczego nie można dostać, po trzecie straszne kolejki, po czwarte ona nie ma już siły, po piąte nikt jej pracy nie docenia. Było też po szóste i po siódme, ale już nie pamiętam, jak brzmiało. Ojciec, jak zwykle, nic nie mówił, tylko przyniósł dwa duże karpie i wpuścił je do wanny. Potem przyniósł mrożonego mintaja i zapowiedział, że przerobi go na śledzia. Matka twierdziła stanowczo, że mintaj ani żadna inna ryba śledzia nie zastąpi. Na parę dni przed świętami udało się jednak zdobyć kilka śledzi i mintaja można było zamienić na rodzynki.

Wtedy okazało się, że ma przyjechać mój najstarszy brat, Andrzej, z rodziną i matka zaczęła rozpaczać, że nic nie ma na święta. Na szczęście nasz sąsiad, właściciel wyżła, którego

tak nieszczęśliwie użyłem w tamtej rozmowie z Martą, zjawił się któregoś dnia z zajęciem pod pachą i zaproponował, że odstąpi nam połowę upolowanej zdobyczy pod warunkiem, że podzielimy się z nim pasztetem. Tym sposobem, od przypadku do przypadku nagromadziło się sporo wiktuałów. To, czego mieliśmy w nadmiarze, wymienialiśmy u znajomych na coś innego.

Całe szczęście, że dziecko mojego brata jest całkiem miłą pojedynczą dziewczynką w wieku trzech lat. Krzych, który poznał dzieci od jak najgorszej strony i któremu na święta znów groziła plaga bliźniaków, twierdzi, że jest to stworzenie zupełnie wyjątkowe, a przede wszystkim całkiem nieszkodliwe. Raz zabrał ją nawet do domu, żeby pokazać rodzicom, jak wygląda prawdziwe dziecko.

Andrzej, który skończył anglistykę, przywiózł ze sobą bardzo ciekawą książkę o hipnozie i przetłumaczył nam na poczekaniu najważniejsze fragmenty. Krzych porobił sobie z tego notatki i zaczęliśmy eksperymentować. Po kilku próbach mieliśmy już interesujące rezultaty. Udało nam się namówić Andrzeja, żeby zostawił nam tę książkę na dwa tygodnie. Krzych znęcał się nad nią ze słownikiem, owocem tego były dziwne teksty, których nie sposób było zrozumieć. Nie zrażał się jednak niezajomością języka, z którym w szkole mamy do czynienia dopiero od paru miesięcy i upierał się, że odkrywca Troi poznawał nowe języki w jeszcze krótszym czasie.

Drugiego dnia świąt wszyscy domownicy byli napchani jak węże, które jedzą raz na parę tygodni, i niezdolni do ruchu, zalegli przed telewizorem. Matka, która chciała zapewne uratować przynajmniej najmłodszych przed zgubnymi skutkami świąt, wygoniła mnie z małą na spacer. Mieliśmy wrócić po godzinie, bo było dość mroźno, ale napatoczył się Krzych z Dolarem, któremu wcale się nie spieszyło wracać w łapy bliźniaków. Poszliśmy więc do Szczytionka, potem skręciliśmy w las, zrobiliśmy małą pętlę po sarnich tropach i tak niosąc małą na zmianę, gdy się zmęczyła i gawędząc, wróciliśmy do domu po czterech godzinach, akurat na obiad.

Matka powitała mnie w progu dziwnie blada, wyrwała dziecko z rąk i popędziła z nim do pokoju bez słowa. Zostałem natychmiast oskarżony o znęcanie się nad dziećmi i kompletny brak odpowiedzialności. Przystąpiono do ratowania Magdy, która była czerwona i uśmiechnięta oraz paplała bez przerwy opowiadając, co widzieliśmy w lesie.

Moji starzy, jak się okazało, gotowi już byli użyć szkoły milicyjnej, która ma siedzibę w naszym mieście, do szukania rzekomo zaginionej w tajemniczych okolicznościach wnuczki. Nie wykluczali porwania. Matka całą swoją pretensję do światowego terroryzmu skierowała przeciwko mojej osobie.

Wtedy Magda powiedziała, że ona nie chce, żeby wszyscy krzyczeli, tylko chce dostać herbatki i pójść ze mną na spacer. Matka rzuciła się na nią natychmiast z termometrem w ręku, przekonana, że dziecko zaczyna bredzić w gorączce, na szczęście okazało się, że przynajmniej Celsjusz jest po mojej stronie. Skończyło się na tym, że przez pewien czas nazywano mnie w domu Herodem. To dlatego, że chciałem się jakoś zrehabilitować i powiedziałem, że mogę małej zrobić japoński masaż shiatsu, który skutecznie leczy przeziębienia. Oczywiście matka zasłoniła wnuczkę własnym ciałem. Cała ta afera nie przeszkodziła jednak, żeby wysłać Heroda z dzieckiem na spacer już następnego dnia.

Krzych próbował hipnozy na bliźniakach i twierdził, że na pewno by mu się udało wprawić je w trans, gdyby nie to, że było ich dwóch.

Wieść o rozgromieniu Bynia Grzyba jakimś cudem dotarła do szkoły. Zdaje się, że jeden z korpelowców znał kogoś, kto znał Totka. Tak czy owak Antał z Totkiem przyszli do mnie z hołdowniczą delegacją. Chodziło im o korepetycje z samoobrony. Doradziłem im kurs, ale przekonali mnie, że właśnie chodzą do szkoły, w związku z czym nie mają zupełnie głowy do

nauki. Ciotka Antolskiego była woźną w podstawówce, dzięki czemu mieliśmy dostęp do sali gimnastycznej, za co rewanżowaliśmy się odśnieżaniem. Przyłączył się do nas Krzych.

Zgodziłem się, ponieważ kurs dla zaawansowanych miał się zacząć w MDK dopiero za dwa miesiące, miałem więc sporo czasu i równie dużo zmagazynowanej energii. Pady i przewroty, których im w pierwszym okresie nie oszczędzałem, jakoś ich tymczasem nie zniechęciły. Zaczęli robić wyraźne postępy.

Telka, która odczuwała gorączkową potrzebę zwierzenia się, dopadła Martę po lekcjach, osaczyła ją i poprowadziła krętą trasą klucząc zaułkami. Tego rodzaju marszruta powinna wystarczyć na szczerą rozmowę. Mogły co prawda pójść do „Mokki” i posiedzieć przy kawie, ale tam łatwo było natknąć się na kogoś z nauczycieli. W szkole nie wydano wprawdzie oficjalnego zakazu chodzenia do kawiarni, było to jednak źle widziane i to w sensie dosłownym. Nauczyciele spotykając uczniów w kawiarni odpowiadali na ukłony w specjalny, pełen rezerwy sposób, a w ich oczach można było wyczytać przyganę. Po takim spotkaniu można było mieć pewność, że następnego dnia na przykład historyk powie, niby to żartem: „Telman, widzę, ma sporo czasu i przesiaduje sobie tu i tam. Zobaczymy teraz, czy znalazła czas, żeby przygotować materiał”. Tu żarty się kończyły i zaczynała się walka o byt. Nie trzeba dodawać, że walkę tę zwykle wygrywał nauczyciel. Do „Mokki” chodzono tedy dość rzadko i jedynie po to, by zmanifestować niezależność i rzucić wyzwanie. Zachowywano się wówczas w nienaturalnie hałaśliwy sposób, aby ukryć napięcie i oczekiwanie. Nie była to oczywiście odpowiednia atmosfera do zwierzeń na tematy osobiste.

Ze sposobu zachowania się Telki, ze znaczących min i aluzji Marta mogła domyślić się bez trudu, że chodzi o jakiegoś reprezentanta płci przeciwnej. Podniecenie Telki wyzwoliło w niej irytację; sama przed sobą nie chciała się przyznać, że jej źródłem jest zwykła zawiść, więc za wszelką cenę starała się opanować to niskie uczucie.

– Powiedział, że jutro zjawi się po lekcjach i odprowadzi mnie do domu – wyznała wreszcie nie ukrywając satysfakcji. – Co o tym myślisz? – padło pytanie, które postawiło Martę w nieco kłopotliwej sytuacji.

Pomyślała, że widocznie chłopak ma sporo wolnego czasu i już to miała na końcu języka, ale uświadomiła sobie, że być może zabrzmiałoby to zbyt ironicznie, zamiast więc odpowiedzieć zapytała ostrożnie:

– Podoba ci się?

Telka wahała się. Powiedzieć, że się podoba, jakoś nie wypadało, choćby to nawet była prawda. Zjawił się nagle i już jej się podoba, przesada... Zaprzeczyć też jakoś nie uchodziło, bo w takim razie skąd to zainteresowanie. Powiedziała więc ostrożnie:

– W zasadzie to ja go nie znam.

– Ale chyba rzuciłaś na niego okiem? – padło pytanie zawierające sporą dozę ironii.

– Oczywiście – zgodziła się skwapliwie, ale zaraz potem dodała dość mglisty opis: – Ogólnie to on wygląda na faceta, który wie, czego chce.

– A czego on chce? – zapytała Marta spoglądając nieufnie na koleżankę.

– Tego mi jeszcze nie powiedział – przyznała czując, że traci pewność siebie. Ogólny opis zaczerpnęła z jakiegoś westernu. Dotąd wydawało się jej, że brzmi to zupełnie nieźle. – Za mało się pewnie znamy – wyjaśniła pospiesznie – poza tym on w ogóle niewiele mówi, jest taki bardziej męski. Nazywa się Kuba.

– Czyli Jakub – stwierdziła Marta. Telka zmarszczyła brwi.

– Nie jestem pewna, czy to nie od nazwiska. Może się przecież nazywać Jakubowski albo Jakubczyk. Myślisz, że to może być jakieś przezwisko? – zaniepokoiła się nagle, zdając sobie sprawę, jak mało wie o tym człowieku. Zamyśliła się na chwilę, a potem zapytała z nadzieją:

– Słuchaj, jak myślisz, czy to ma jakiś sens?

Marta wymijając rolnika, który dzierzył dumnie zdobyte jakimś cudem widły, straciła wątek. Telka musiała wyjaśniać, że chodzi o sens niejakiego Kuby, a ściślej o sens wymienionego w życiu Telki.

Marta poczuła, że ciąży na niej brzemień odpowiedzialności. Nie była w stanie decydować o losie dwojga ludzi na podstawie tak mglistych danych, zapytała więc, w jakich okolicznościach się poznali. Okazało się, że doszło do tego dzięki zbiegowi okoliczności; wracając z pralni Telka zderzyła się z nieznanym jej osobnikiem, który następnie okazał się Kubą.

– Czyli od pierwszego wejrzenia. Szybka jesteś – stwierdziła Marta.

– Od jakiego wejrzenia?! – oburzyła się Telka. Jako osoba potrącona nie poczuwała się do winy. – W ogóle go nie zauważyłam. Inaczej przecież byśmy się nie poznali.

Marta kazała sobie dokładnie opowiedzieć o przebiegu zdarzenia, a raczej zderzenia. Osobnik, o którym mowa zetknął się z Telką w sposób gwałtowny, choć nie zamierzony, następnie przeprosił ją, co świadczyło na jego korzyść, potem przyjrzał się jej uważniej i przeprosił ją jeszcze raz, co już mogło skłaniać do pewnych refleksji. Trzecie przeprosiny były już rodzajem hołdu i prawdopodobnie w mniejszym już stopniu były związane z samym wypadkiem.

– W końcu powiedział, że mnie odprowadzi – referowała Telka.

– Tak z mety, bez żadnych wstępów? – zdziwiła się jej powierniczka, której od początku przebieg tej znajomości wydawał się zbyt gwałtowny.

– Przekonał mnie, że to ze względu na wstrząs mózgu.

– Upadłaś na głowę? – pytanie było trochę dwuznaczne, mogło równie dobrze odnosić się do łatwowierności Telki, jak i konkretnej sytuacji.

– Skąd! Nawet się nie przewróciłam! – odpowiedziała Telka decydując się błyskawicznie na drugi wariant. – On się uparł, że nie pozwoli, żeby taka dziewczyna wracała sama ze wstrząsem mózgu.

– W takim razie on sam musiał uderzyć się w głowę. Powiedział naprawdę: „taka dziewczyna”? – zapytała i zabrzmiało to, nie wiedzieć czemu, trochę sceptycznie.

Telka uznała za stosowne skwitować te wątpliwości wzruszeniem ramion. Stanęły właśnie przed wystawą księgarni.

– To coś w rodzaju komplementu – Marta starała się teraz nieco złagodzić złośliwości – trochę niekonkretnego, ale coś w tym jest.

Telka tym razem wyglądała na zadowoloną.

– Opowiadał ci o sobie? – Marta tym razem uprzejmie starała się podtrzymać rozmowę, choć ciekawość, prawdę mówiąc, gnębiła ją w równym stopniu co wyrzuty sumienia z powodu uszczypliwości, na które sobie pozwoliła wbrew własnej woli.

– Raczej nie – odrzekła po chwili wahania Telka. – Mówił głównie o objawach wstrząsu mózgu. Makabra, możesz mi wierzyć!

– Może on ma jakiś uraz z dzieciństwa? Z tym mózgiem to jakaś mania – zaniepokoiła się Marta nie na żarty. Słyszała, że urazy czaszki mogą powodować trwałe zmiany w mózgu. Hipoteza ta wydała jej się bardzo prawdopodobna. Facet, który wpada na ludzi, może mieć jakieś zaburzenia zmysłu równowagi. Tymczasem wołała o tym wszystkim nie mówić, tym bardziej, że Telka wyznała niespodziewanie:

– Powiem ci prawdę. On wczoraj czekał na mnie przed szkołą.

– Przecież zwolnili nas w połowie ostatniej lekcji – zdziwiła się Marta.

– Wyszedłam ostatnia, okazało się, że zostawiłam książkę pod ławką i musiałam wrócić, a on przyszedł trochę wcześniej – objaśniała bez zająknięcia niezwykle zbieg okoliczności, dzięki któremu doszło do tego spotkania.

Marta uprzejmie skinęła głową na znak, że takie rzeczy się zdarzają i dodała:

– Teraz sobie przypominam, że się zupełnie nie spieszyłam.



– No wiesz, Marta, nie spodziewałam się tego po tobie – Telka czuła się dotknięta podejrzeniem, że mogłaby po prostu czekać na to spotkanie.

– Ja na twoim miejscu też byłabym ciekawa, czy przyjdzie – usprawiedliwiła się Marta, dzięki czemu rozmowa mogła toczyć się nadal.

– No więc czekał na mnie – ciągnęła zapomniawszy już o doznanej przykrości – zapytał, jak się czuję. Co o tym myślisz?

Być może Telce dało to sporo do myślenia, ale Marta nie mogła doszukać się punktu oparcia dla refleksji. Żeby kogoś osądzać, trzeba o nim coś wiedzieć, zapytała więc, jak wygląda ów osobnik.

– Raczej przystojny – powiedziała Telka, bo nie wypadało zachwycać się podbitym facetem, a z drugiej strony zdobyć należało przedstawić w korzystnym świetle.

– Trudno sobie wyobrazić to „raczej” – powiedziała Marta patrząc na koleżankę sceptycznie i tym sposobem zmusiła ją do bardziej drobiazgowego rysopisu.

– Średni wzrost, prawie wysoki, szczupły...

– Prawie chudy? – podchwyciła podstępnie Marta, a Telka nie dostrzegając pułapki zapytała naiwnie:

– Znasz go?

– Znam ciebie, to mi zupełnie wystarcza – odparowała Marta. – Powiedz lepiej, jakie miał oczy.

– Nosi okulary, ale jest mu w nich do twarzy. W każdym razie ciemne.

– Okulary?

– Nie, oczy. Przecież pytałaś... – i po chwili ciągnęła dalej: – Jak mówi, to macha rękami. A może jak przestaje mówić – wahała się przez chwilę. – Coś robi z rękami, to znaczy dużo gestykuluje.

– Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że odprowadzając cię przez cały czas machał ci rękami przed nosem? – zdumiała się Marta.

– Rozmawialiśmy – powiedziała Telka urażonym tonem i lekko wydeła wargi.

Po długich namowach podjęła wątek i Marta mogła sobie w miarę wiernie wyobrazić przebieg tej rozmowy. Okazało się, że Kuba mówił mniej, to znaczy nie mniej niż na pierwszym spotkaniu, ale mniej od Telki, co było bardzo prawdopodobne, bo mało kto mówił więcej od Telki. Pewną trudność sprawiało ustalenie, co zostało powiedziane przez Kubę.

Telka twierdziła, że o sobie niewiele wspominał, z czego wywnioskowała, że jest nadzwyczaj skromny. Pamiętała doskonale o czym sama mówiła, natomiast słowa Kubę, choć było ich niewiele, szybko zatarły się w pamięci. Z wysiłkiem przywołała jeden z wątków rozmowy...

– Opowiadał mi trochę o samochodach.

– To musiało być dla ciebie pasjonujące – powiedziała Marta bez entuzjazmu.

– Słuchałam tego raczej przez uprzejmość – odrzekła Telka, z czego można było wywnioskować, że raczej nie słuchała. Trudno było przypuścić, że wypadek uliczny wzbudził w niej nagle zainteresowanie motoryzacją.

Marta usłyszawszy o samochodach westchnęła z politowaniem.

– Łatwo się domyślić, co będzie dalej – powiedziała tonem osoby znającej życie – najpierw zderzenie, potem wstrząs mózgu i samochody... Kojarzysz? – a ponieważ Telka nie kojarzyła, nastąpiło wyjaśnienie: – Następnym tematem będą wypadki drogowe.

– Może masz rzeczywiście rację – przyznała Telka po dłuższym namyśle. Perspektywa rozmów na makabryczne tematy nie bardzo jej odpowiadała, nawet gdyby miała słuchać „raczej przez uprzejmość”. – Wiesz co? Kiedy on się pokaże przed szkołą, zwięź przez boisko. Nie powinien mnie zauważyć.

Marta nie chciała mieć jednak nic wspólnego z tą decyzją. Co innego wyrazić swoją opinię, a co innego mieć wpływ na czyjeś losy. Powiedziała więc poważnie:

– Nie rób tego, Telka. Możesz żałować do końca życia.  
Zabrzmiało to nieco patetycznie. Telka wzruszyła ramionami.  
– Nie rozumiem – powiedziała tonem pretensji – najpierw mnie zniechęcasz dość skutecznie, a potem...  
– Chodzi o to, że potem możesz mi tego nie darować – usprawiedliwiała się Marta. – Może to w gruncie rzeczy świetny facet, tylko nie dał się jeszcze poznać. A poza tym jest przecież raczej przystojny.  
Telka powiedziała głośno, że jeszcze się zastanowi, choć w duchu podjęła już decyzję.  
Gdy trwała ta rozmowa, Stefan siedział nad swoim dziennikiem i obgryzał długopis z taką pasją, jakby chodziło o kość. Ktoś, kto patrzyłby na to z boku, gotów pomyśleć, że młode pokolenie Polaków w dobie kryzysu żywi się tanimi długopisami.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Wymazałem ją ze swego życiorysu i jest mi z tym bardzo dobrze... Z tym „bardzo” to może trochę przesadziłem... Ale nawet przy założeniu, że nie jest mi dobrze, jakoś sobie daję radę. Kobiety, jak wiadomo, były przyczyną wielu nieszczęść, na przykład niejaka Helena Trojańska, która doprowadziła do ruiny zabytkowe miasto, albo Dalila, dziewczyna Samsona, która obcięła mu włosy. Nic dziwnego, że się facet załamał. Widziałem na własne oczy, jak wyglądają ludzie po takiej egzekucji.

Człowiek, który zapada na uczucie wygląda w gruncie rzeczy śmiesznie. Staje się dziwnie niemrawy, nie słyszy, co się do niego mówi i traci czas na jałowe rozmyślenia, zamiast robić coś pożytecznego. Doszedłem do wniosku, że to nie dla mnie. Nie jestem pewien, czy mężczyźni w ogóle się do tego nadają.

Krzych w zasadzie mnie poparł, choć twierdzi, że jest to dopuszczalne, co nie znaczy, że godne pochwały. Twierdzi też, że pod tym względem od początku niewiele się zmieniło i że postęp nie miał specjalnego wpływu na tę dziedzinę.

Zresztą moja sprawa nie wyglądała poważnie. Nie patrzę na nią i nic, nawet czasami zapominał, że na nią nie spoglądam. Spojrzę... i też nic z tego nie wynika. Widzę, że jest ładna, ale co z tego? To przecież jej sprawa. Któregoś dnia uśmiechnęła się do mnie ot tak, przelotnie. Też się uśmiechnąłem. Dlaczego nie, stać mnie na to. To zresztą chyba normalne, że się odwzajemnia uśmiech, tak jak się odpowiada na powitanie. Jestem wyraźnie na nią uodporniony i pewne rzeczy widzę ostrzej.

Na przykład Antał (kto by się spodziewał?) mizdzy się do Telki jak pawian. Niby to pilnuje, żeby jej drugie śniadanie nie dostało się w niepowołane ręce, a w gruncie rzeczy nadgryza ją oczami, patrzy na nią jak żaba na arbuz, jest przy niej przed konsumpcją i po konsumpcji, chociaż wszystkim opowiada, że chodzi mu wyłącznie o źródło pożywienia. A przecież wszyscy widzą, że chudnie dosłownie z dnia na dzień. Trochę co prawda zrzuca na treningach, ale gdzie podziewa się reszta?

Telka natomiast traktuje go jak oswojonego niedźwiedzia, czyli ma do niego tak zwany ludzki stosunek. Dokarmia i nawet nie odpędza, ale człowieka w nim zdaje się nie dostrzegać. Tak więc na przykładzie Antałka mogę obserwować nędzę źle ulokowanego uczucia. Ja na szczęście mam to już za sobą...

W domu spokój. Matka nie ma butów, kozaczki rozleciały jej się przy wsiadaniu do autobusu, dzięki temu problemy związane z moją skromną osobą zeszły na dalszy plan.

Buty wprawdzie bywają, ale podobno ludzie kupują, co popadnie. Męskie to męskie, dziecięce to dziecięce, fason ani rozmiar się nie liczy. Wymieniają je potem między sobą na takie, które nadają się do noszenia. Ekspedientki od dawna przestały pytać klientów o numerację. Rozmiar buta dopasowuje się we własnym zakresie. Tak jest ze wszystkim: kupuje się to, co jest, dowiaduje się, co kto ma, i wymienia na to, czego się potrzebuje.

U nas w szkole za sprawą Totka działa to już od dawna. Totek upierał się nawet, że to jego wynalazek i że powinien dostać za to jakąś nagrodę od społeczeństwa, najlepiej o dużej wartości, ale Krzych go uświadomił, że jest to pomysł starszy od pieniędzy i określa go mianem gospodarki towarowo-wymiennej. Totek był zdziwiony, że jego działalność jest aż tak „zacfana”. Doszedł wreszcie na tej podstawie do wniosku, że musi pochodzić z bardzo starego rodu i w związku z tym powinniśmy go tytułować co najmniej hrabią. Przez dwa czy trzy dni usiłował zużytkować swoje wysokie pochodzenie do celów praktycznych. „Hrabiemu nie dasz?!” krzyczał z oburzeniem, gdy trafiał mu się niechętny ofiarodawca. Przez dwa dni mu dawano, efekt zaskoczenia działał na ludzi paraliżująco, potem, gdy pochodzenie przestało przynosić zyski, Totek zniósł tę nierówność społeczną. Próbował grasować podając się za obywatela, ale tych jego fint i zmyłek ludzie mają wyraźnie dosyć.

Następnego dnia Totek, nieświadom, że został opisany i że wzmianka o jego działalności pojawi się być może w dziele przyszłego badacza doli młodzieży, podszedł do Antolskiego i, jak gdyby nigdy nic, zapytał go o Stefana. Stefan nie był mu zresztą do niczego potrzebny, równie dobrze mógłby spytać o kogokolwiek, kogo nie było w pobliżu. Chodziło po prostu o to, że Antał pożerał coś łapczywie, a na widok Totka schował rękę za plecami. Totek zachował się więc jak lis z bajki o kuku trzymającym ser w dziobie, Zmusił Antałka, żeby odpowiedział mu z pełnymi ustami.

– Poszedł na taras – odpowiedział Antolski niezbyt wyraźnie, za to z wyraźną złością.

– Gdzie tu masz taras? – zapytał machinalnie Totek zapuszczając żurawia, żeby zorientować się, co kolega trzyma w ręku.

– Poszedł na taras i wraca zaraz! – wrzasnął Antolski. Zwykle Totek wpuszczał go w ten sposób w maliny. Był to jak dotąd jego pierwszy udany rewanż.

– To stare – skrzywił się Totek. – Daj ugryźć.

Antał wykonał zapobiegawczy odskok i wsadził zęby w bułkę.

– Nie jadłem śniadania. Odchudzam się.

– To ma być odchudzanie! Oddaj bułkę! Powinieneś jeść tylko raz dziennie, jak cię nie przypilnuję, to znowu będziesz tłusty.

– Odwal się, dobra? – powiedział Antolski groźnie. Drażliwość po tuszy mu jeszcze została, a poza tym chodziło o bułkę.

Totek zatrzymał się w przyzwoitej odległości i patrzył na kolegę takim wzrokiem, że kolejny kęs nie chciał mu przejść przez gardło.

– Z serem – zauważył przymilnie.

– To pamiętka. Dostałem ją w prezencie – usprawiedliwiał się Antał patrząc na kanapkę ze smutkiem, apetyt mu ostatnio nie służył, ale zdarzało mu się przeżywać chwile gwałtownego głodu. Bułkę dostał od Telki i przywiązywał do niej pewną magiczną wartość, do której nie mógł się przyznać publicznie. Wyobrażał sobie właśnie, że z czasem nie tylko drugie śniadania ale i ich ofiarodawczyni będzie należała do niego, a tu zjawia się Totek i patrzy na niego jak ludożerca.

Totek natomiast nie czuł głodu, nie kierował się też żadnym wyższym uczuciem, interesował go sam proces przywłaszczania.

– Jedz, jedz – powiedział niby to ze smutkiem – ja sobie tylko popatrzę.

Wzrok Totka sprawił, że kanapka zaczęła przypominać w smaku gazetę przełożoną dętką rowerową. Totek miał widocznie jakieś zdolności hipnotyczne. Antał załamał się.

– Masz złe oko, jeszcze mi to zaszkodzi. Gryź, ale nie całą – wyciągnął rękę wyznaczając palcami granicę podziału.

Gdy zęby Totka zgrzytnęły na jego paznokciach, wrzasnął i wypuścił bułkę. Totek połknął zdobycz w zastraszającym tempie.

– Mogłeś mi odgryźć palec, szakalu – powiedział z goryczą patrząc ze złością na niewdzięcznika. Totek zapewnił go, że nic takiego nie groziło, bo on ma wrażliwy zgryz.

Antał pokiwał tylko głową.

– Ostatni raz cię dokarmiam, ty hieno. Gryziesz rękę, która cię karmi. Ostatni raz dałem się nabrać.

Totek nie przejął się specjalnie. Nie tylko ostatnim razem, ale i poprzednim też miał być ostatni raz. Otarł usta wierzchem dłoni, oblizał się i powiedział bezczelnie:

– Nie dziękuję, bo nadgryziona. Antał spojrział na niego z wyrzutem.

– Ostatnia? – zapytał Totek niezrażony.

– Ostatnia w życiu – otrzymał ponure i definitywne zapewnienie.

– Szkoda, zjadłoby się jeszcze. Antał posłał mu spojrzenie mające wyrażać bezbrzeżną pogardę. Człowiek rozmiarów Totka nie powinien pochłaniać takich ilości jedzenia, to wbrew naturze Antał miał poczucie, że w Totku to wszystko się marnuje bez żadnej logicznej przyczyny.

– Ostatnio biorę od Telki tylko po jednej – rzekł wyniośle. Czuł rodzaj dumy z własnej powściągliwości.

Totek oburzył się niespodziewanie:

– Jakim prawem, ja się pytam?! – wrzasnął. – Jak chcesz się odchudzać, to proszę bardzo, ale nie moim kosztem! – przez chwilę patrzył ze złością na zaskoczonego tym wybuchem kolegę, a potem dodał: – Łazisz za tą Telką, jak pies Pawłowa. Powiedziałem ci kiedyś, że będziesz jej jadł z ręki i to się sprawdza. Teraz widzę, że będziesz za nią łaził nawet wtedy, gdy skończą się bułki.

Antał wydał głuchy pomruk, co znaczyło, że ostatnie rezerwy jego cierpliwości zostały wyczerpane i przyjął postawę do ataku.

– Przecież żartuję, Antału – w nowej sytuacji Totek bez najmniejszych trudności przeszedł na ton pojednawczy. – Żarty są dobre na przemianę materii – dodał cofając się na wszelki wypadek. Wiedział, że od pewnego czasu Antał potrafił zrobić właściwy użytek ze swej siły i masy.

– Żebym ja cię nie przemienił, tymi rękami – mruknął niezbyt gramatycznie Antolski, ale opanował się. Przypominał sobie, że kodeks samoobrony każe unikać niepotrzebnych starć.

– Zły jesteś, bo głodny – stwierdził Totek z uśmiechem, ale w jego oczach pojawiły się niedobre błyski. – Założę się, że chcesz się wyładować... Mogę ci wskazać odpowiedni obiekt.

Antał poruszył się niespokojnie, słowa Totka obudziły w nim niedobre przecucie.

– Ty zawsze masz pod ręką jakiś głupi pomysł. Z podziwu wyjść nie mogę – pozorom lekceważenia w jego słowach towarzyszył głęboki i nieuzasadniony niepokój.

Totek uśmiechnął się krzywo i powiedział cedząc słowa:

– Mówię serio. Widziałem wczoraj Telkę z jakimś aparatem.

Twarz Antolskiego nie zmieniła wyrazu. Patrzył przez okno. Na gałęzi jarzębiny zauważył nastroszonego gawrona o metalicznie granatowych piórach.

– Co mnie Telka obchodzi – powiedział ledwie poruszając wargami. Gawron przesunął się na gałęzi i jeszcze bardziej nastroszył pióra. Wyglądał śmiesznie i smutnie.

– Czy ja mówię, że ona ciebie obchodzi? Ona obchodzi tego faceta, miałem okazję się przekonać. Pierwszy raz w życiu go widziałem, on tu nie mieszka.

– I co z tego – obruszył się Antał. – Po świecie chodzi cała kupa ludzi, którzy tu nie mieszkają. Mnie to nie przeszkadza.

– Bo nie widziałeś ich razem. Antolski spojrział w twarz kolegi siląc się na przenikliwość.

– Śledziłeś ich? Odbija ci Sherlockiem Holmesem?

Totek rozłożył ręce.

– Po prostu wlałem na nich, nadepnałem im na nogi, a oni nawet tego nie zauważyli.

Gałąź, na której siedział gawron, była teraz pusta. Antał patrzył na nią bezmyślnie, miarowo poruszając zuchwą.

Czuł, że wypełnia go bez reszty ssąca pustka.

– Ciebie to nie rusza? – głos Totka nie bez trudu przebił się do jego świadomości.

– Dlaczego ma mnie ruszać? Ich sprawa – powiedział powoli nieco schrypniętym głosem.

– Zjawia się jakiś obcy facet, wyjmuje ci dziewczynę, a ciebie to nie obchodzi. Dziwny jesteś – Totek dla lepszego efektu cedził słowa powoli.

– To nie moja dziewczyna. Może sobie robić, co jej się podoba – zamruczał Antał.

– A bułki? – padło krótkie pytanie.

Antał poruszył się niecierpliwie.

– Gdyby się do niej przyczepił nachalnie – rozmyślał głośno – to co innego. Można by... – nie skończył, bo Totek przerwał mu gwałtownie.

– Był do niej przyczepiony jak na butapren!

Czuł, że Antał jak ciężka maszyna pod wpływem jego słów zaczyna się poruszać, wolno i nieubłaganie nabierać impetu, parę drobnych zabiegów i zacznie działać pełną parą. Totek lubił intrygi, traktował je jako swego rodzaju hazard.

– A co ona na to? – zapytał Antał z wahaniem.

Totek prychnął i rozłożył ręce.

– Co miała robić, facet był widocznie sprytny, trudno się do niego przyczepić o coś oficjalnie – spojrzał bystro na swoją ofiarę, żeby się zorientować, czy taka odpowiedź nie nadwątliła zdecydowanej chęci działania. Nagle Antałkowi zaświtała nadzieja.

– Słuchaj – powiedział prawie z radością – to przecież mógł być jakiś znajomy czy inny kuzyn.

Totek przygryzł wargę. Znał się na ludziach i wiedział, że trudno mu będzie przekonać Antałka, który gotów był się wymknąć. Zdecydował się więc na hazardowe posunięcie.

– Mogę się założyć, że ten facet dzisiaj, a najdalej jutro przyjdzie po nią pod budę.

Bluff podziałał na Antolskiego piorunująco.

– Jak zwykle przesadzasz – wymamrotał bez przekonania.

– Zakład? – Totek nabrał pewności siebie czując, że partner słabnie. Intuicja podpowiadała mu, że w tej grze jest zwycięzca.

– O co? – zapytał Antolski patrząc na niego spode łba.

Totek złapał go za rękę.

– Jak przegram, zaniosę cię na barana do domu – ryzykował sporo, dźwiganie ciężarów nie należało do jego popisowych umiejętności, ale gotów był do wszelkich wyrzeczeń, byle tylko gra toczyła się dalej.

– Chętnie bym się na tobie przejechał za tę kanapkę – propozycja brzmiała dla Antała kusząco, poza tym dawała mu alibi na wszelki wypadek, gdyby ktoś zaczął podejrzewać, że kieruje się jakąś słabością do Telki. – Co będzie jak wygrasz? – zapytał starając się wyswobodzić rękę z mocnego uścisku.

– Głupstwo, tylko pogonisz faceta. Wystarczy, że go przestraszysz. No, przecinam! – dokonał legalizacji zakładu, zanim Antał zdążył wyrwać rękę.

– Nie ma głupich – zachnął się Antalek – chcesz mnie wpuścić w maliny – decyzja zdążyła już jednak zapuścić korzenie.

Totek mógł sobie pozwolić na kolejny bluff.

– Mogę cię zwolnić z zakładu, pod warunkiem, że zaniesiesz mnie do domu przez środek miasta.

Wiedział doskonale, że była to alternatywa nie do przyjęcia, raz że mieszkał na odległym krańcu miasta, a po drugie nieś kogoś na plecach przez śródmieście, choćby nawet niewielkiego miasta to i głupio, i nie wypada. Kawalek dla hecy to co innego, ale żeby aż parę kilometrów?

Antolski zgodnie z przewidywaniem zachnął się i nawet oburzył. Zrobił przy tym minę, która miała oznaczać, że co jak co, ale nabrać się nie da.

– Na przystankach możesz się zatrzymywać – rzucił Totek wspaniałomyślnie. Od kilku lat po mieście kursowały miejskie autobusy. Początkowo mieszkańcy nie wierzyli własnym oczom, bo jakże to, nigdy żadnych autobusów nie było, a tu nagle się pojawiły i jeżdżą wte i wewte, jakby nigdy nic.

– Będę się chwalił, że przejechałem się na tchórze – dodał Totek, na wszelki wypadek, gdyby mimo wszystko Antał zdecydował się na upokorzenie.

Antał postanowił natychmiast udowodnić, że nie zasługuje na to pogardliwe określenie i w tym celu zbliżył się do kolegi. Wyglądało na to, że chce tego dowieść własnymi rękami. Totek odskoczył na bezpieczną odległość.

– Nie powiedziałem przecież, że już teraz jesteś tchórzem – wyjaśnił pospiesznie – masz jeszcze trochę czasu.

– Idiotą też nie jestem – zamruczał Antał. – W każdym razie niósł cię nie będę – zapowiedział stanowczo. Doniesienie na temat Telki przygnębiło go, poczuł się bezradny i smutny jak gawron na gałęzi; teraz postawiony w sytuacji, która bez udziału jego woli zmuszała go do działania, czuł rodzaj ulgi. Niech się dzieje, co chce, byleby coś się działo.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Mimo że czasy są chude urządziliśmy w naszej budzie tak zwany tłusty czwartek. Od rana pojawiły się w klasach magnetofony, przyniesione przezornie przez niektórych z domu oraz kilkanaście rachitycznych paczków. Nauczyciele początkowo robili surowe miny, żeby nie dopuścić do kompletnego rozprzężenia, ale coś takiego wisiało w powietrzu, że większość lekcji zaczynała się niby to normalnie, a kończyła się na gadaniu, a nawet na muzyce. Wreszcie ktoś zgodził się zostać z nami w charakterze nadzorczy i odbyła się dyskoteka.

Muszę zaznaczyć, że taniec towarzyski nie stanowi mojej mocnej strony, nie przechodziłem nigdy żadnego kursu w tym zakresie. Na szczęście w dzisiejszych czasach uprawnienia nie są wymagane, obowiązuje wielka improwizacja. Chodzi o to, żeby trzymać się rytmu i nie zrobić przy tym nikomu krzywdy. Niektórym to się nawet udaje. Drga się solowo, więc nikt do nikogo nie ma pretensji, że nie umie tańczyć. Do niedawna jeszcze w tańcu obowiązywała niesłychana musztra, specjalne zwroty i obchwyty, które wymagały długiej nauki. Partner był odpowiedzialny za dziewczynę, z którą tańczy, i marne umiejętności w tej dziedzinie prowadziły często do towarzyskiego upadku.

U nas w szkole obowiązują w zasadzie drgawki połączone z tak zwanym gibaniem. Jeśli ktoś w dzieciństwie przechodził rytmikę, to od czasu do czasu odstawia coś w rodzaju krakowiaka w rytmie pop.

Osobiście rytm wyczuwam, ale pewne kłopoty sprawiała mi zawsze odpowiednio efektowna praca rąk i nóg. Tym razem szło mi trochę lepiej. Przystosowałem do nowych potrzeb parę zasłon i uderzeń, czyli atemi-waza, co wyglądało dość efektownie, a może mi się tylko wydaje. Tak czy owak wokół mnie zrobiło się nieco pustego miejsca. Tenkai, czyli obroty ciała też mi się przydały. Krzych, Antał i Totek poszli w moje ślady i w końcu niewiele brakowało, żeby doszło do nieszczęścia, bo Totek nie wyczuł dystansu i kopnął Antolskiego w pierś. Antał poczuł się osobiście dotknięty, co w pewnej mierze było prawdą, odpuścił muzykę i zaczął się koncentrować przed walką. Rzuciliśmy się na nich z Krzychem całą siłą porządkową i po krótkiej kotłowaniu doprowadziliśmy do rozejmu i wymiany ceremonialnych ukłonów.

Niewiele brakowało, a z powodu tych dwóch kretynów nastąpiłoby przedwczesne zakończenie tak udanej imprezy. Marta popatrzyła na mnie z taką pretensją, jakby to była moja wina. Przestałem wprawdzie wiązać jakieś nadzieje z jej osobą, ale zrobiło mi się głupio.

Chciałem nawet podejść i wytłumaczyć, jak było naprawdę, ale jakoś się nie złożyło. Prawdę mówiąc nie było wyraźnych powodów, żeby się przed nią właśnie usprawiedliwiać. Że na mnie spojrziała z niechęcią? Mogło mi się wydawać, człowiek jest czasami przewrażliwiony na punkcie własnej osoby. Zresztą moje tłumaczenia mogła również przyjąć z całkowitą niechęcią.

Jednym słowem bez najmniejszego powodu, w środku rozwiniętego ubawu, zrobiło mi się nagle markotnie. Przez parę minut sterczałem pod ścianą i z każdą chwilą czułem, że nagle wszystko wygląda, jakby nie miało żadnego sensu. Dziwiłem się sam sobie, że jeszcze przed chwilą wymachiwałem rękami i nogami oraz wprawiałem swoje ciało w jakiś dziwny ruch, bez żadnej widocznej przyczyny i celu. Poczulem nawet rodzaj wstydu, że mogłem coś takiego wyprawiać, nie mając żadnych tanecznych kwalifikacji.

Powlokłem się do domu nie żegnając się z nikim, żeby nie psuć nastroju. Dogonił mnie Krzych, który również miał już tego dosyć, ale w przeciwieństwie do mnie wyglądał na zadowolonego. Jego dobry humor też mnie drażnił i robiłem mu jakieś zgryźliwe uwagi. Na ulicy leżał brudny śnieg, który był dobrą dekoracją do mojego nastroju.

Minęło kilka tygodni, nastaly słoneczne dni wczesnej wiosny i brudny śnieg wsiąkł w rozmarzniętą ziemię.

Od czasu pamiętnej rozmowy na temat niejakiego Kuby Telka nie wracała do tej sprawy, a Marta w równie dyskretny sposób nie podejmowała przerwanych wątków, czekając cierpliwie, aż jej przyjaciółka wróci do niego sama, co niechybnie musiało nastąpić. Wreszcie Telka złamała się i w sposób nieco chaotyczny opowiedziała co następuje: owego dnia Kuba nie raczył się pokazać, także dnia następnego i przez wiele późniejszych nie dawał żadnego znaku życia, co było nieco dziwne zważywszy jego nagły afekt czy jak to tam nazwać i to jeszcze, że sprawiał wrażenie faceta, który wie, czego chce. Telka dopuszczała myśl, że mogło mu się nagle odechcieć, ale fakt, że ograniczył się jedynie do osobistego zniknięcia, uznała za wyjątkowo niestosowny.

Jeżeli już miał zamiar zniknąć z jej życia, to powinien to zrobić oficjalnie i jakimś stosownym wyjaśnieniem, bo w końcu ona wcale go do niczego nie zachęcała. I nagle, proszę to sobie wyobrazić, spotyka go całkiem niespodziewanie po kilku tygodniach, w zupełnie przypadkowych okolicznościach.

Oczywiście udaje, że go nie widzi, bo przecież inaczej nie wypada, jest w końcu kobietą, ale co gorsze on również udaje, że jej nie dostrzega, tylko się gapi na wystawę z zielonym groszkiem w puszkach. Ona nie wierzy, żeby interesował się akurat zielonym groszkiem, więc sprawa jest jasna, czyli zupełnie nie wiadomo, jak to wszystko rozumieć.

Marta również nie wiedziała, ale jej też wydało się to dziwne. Wyraziła przypuszczenie, że być może tego dnia, kiedy wyznaczyli sobie spotkanie, Telka zbyt długo grzebała się w szatni i chłopak, odczekawszy kawałek wieczności, który na czekanie przeznaczony, odszedł przekonany, że jest bez szans.

Telka przyznała, że wyszła parę minut po wszystkich, żeby nie robić zbiegowiska, bo wiadomo, że ludzie mają dłuższe języki, niż to miasto ma w najszerszym miejscu, ale w końcu jak ktoś decyduje się na spotkanie, co do którego nie wiadomo czy się na przykład nie okaże w jego życiu ważne, to powinien wiedzieć, że jest obowiązany odczekać co najmniej kwadrans.

Marta z czystym sumieniem przyznała jej całkowitą rację i przeszły w poszukiwaniu bardziej ustronnego miejsca niż korytarz szkolny na dużej pauzie, gdzie co chwila ktoś je potracał.

Telka była wyraźnie poruszona spotkaniem, w czasie którego nie tylko ona, co jest zrozumiałe, ale także i on udawał, że jej nie zna. W związku z tym wymagała duchowej pociechy i Marta jej takowej udzieliła. Chodziło również o wyjaśnienie tajemniczego zajścia. W grę mo-

gła wchodzić inna dziewczyna, co się przecież zdarza i każdy to zrozumie, ale w pobliżu Kuby ponad wszelką wątpliwość znajdowały się tylko puszek z groszkiem.

Przystąpiły więc do drobiazgowej rekonstrukcji. Marta przypomniała sobie, że krytycznego dnia Antolski rozmawiał na ulicy z jakimś nieznajomym, ale wyglądało na to, że się znają, bo poszli gdzieś razem, a poza tym nie zgadzał się rysopis, bo facet był niższy, bez okularów oraz w zielonej kurtce, nie mówiąc o tym, że Antał zapytany wprost powiedział, że żadnego Kuby nie zna.

Po namyśle Telka wyznała, że co do wzrostu to ona się mogła początkowo pomylić, w końcu co do centymetra faceta nie zmierzyła. Kurtka też nie mogła stanowić dowodu, zdarzają się przecież ludzie, którzy mają po dwa okrycia zimowe. Pozostawały do wyjaśnienia okulary...

Telka usiłowała wygrzebać z pamięci jakiś znaczący szczegół, niestety, wyglądało na to, że niejaki Kuba niczym specjalnym się nie wyróżniał, wreszcie przypomniała sobie o butach, były to rude zamszowe trzewiki przypominające nieco adidas. Kiedyś widziała takie i chciała sobie nawet kupić do łażenia na wycieczki, ponieważ wyglądały na wygodne, ale niestety nie było takich małych rozmiarów.

Marta słuchała tego początkowo obojętnie, ale potem zmarszczyła brwi i przygryzła wargę. W pewnej chwili machnęła ręką, powiedziała „poczekaj chwilę” i oddaliła się szybkim krokiem w niewiadomym celu.

Dla kogoś patrzącego z boku scena ta mogła wyglądać dziwnie. Antolski siedział rozwalony na ławce, jakby miał się z zamiarem opalać w pierwszych promieniach wiosennego słońca, ale wyraz twarzy, na której malowało się najwyższe napięcie, kolidował ze swobodną pozą. Naprzeciwko niego siedział Stefan i wpatrywał mu się intensywnie w oczy. Obok nich, opierając się o płot, stał Totek z rękami założonymi na piersiach i sceptycznym uśmiechem.

Stefan mówił monotonnym, ale dość stanowczym głosem:

– Rozluźnij się i zrelaksuj, nie myśl teraz o niczym. Masz być kompletnie pusty.

Antał bezgłośnie poruszał wargami, co upodabniało go do karpia.

– Pusty to on jest zawsze – zauważył Totek, który zaczynał wykazywać oznaki zniecierpliwienia.

Nastrój głębokiej koncentracji prysnął, dwa pełne wyrzutu spojrzenia skierowały się na Totka.

– Totek! Jaka była umowa? – warknął Stefan.

– Zróbmy dwie minuty przerwy, to uduszę tego drania i będzie spokój – zaproponował Antał.

Stefan przytrzymał w ławce obiekt doświadczalny, a świadkowi owego wydarzenia nakazał milczenie.

– Załóż sobie knebel albo zjeżdżaj – powiedział dosłownie.

– Dobra, już nie przeszkadzam. Nie dam się wyrzucić z tego cyrku – odrzekł świadek. Ciekawość wzięła w nim górę nad niecierpliwością.

– No to jeszcze raz od początku – zapowiedział Stefan wpijając spojrzenie w oczy ofiary paranaukowego doświadczenia.

Głos Antolskiego brzmiał beznamiętnie:

– Koncentruję się, relaksuję, nie myślę – po jego twarzy przebiegły krótkie skurcze, widocznie walczył z brakiem skłonności do relaksu. – Nie myślę, nie myślę, jestem próżny – powiedział na dowód tego, że nie myśli i zaraz się poprawił, bo jednak coś tam sobie myślał – nie, wypróżniony, zaraz, jak to się mówi, aha, pusty...

Następnie zaczął powoli liczyć monotonnym głosem. Przy trzydziestu dziewięciu powtórzył głośno, że nic nie myśli, a przy czterdziestu pięciu, że nic nie czuje. Oczy miał zamknięte. Dobijał do setki, gdy Stefan zapowiedział, że niedługo da mu znak, że ma zacząć patrzeć w jego lewe oko nie przerywając liczenia.



Niespodziewanie i bezszelestnie pojawiła się Marta. Przez chwilę przyglądała się tej dziwnej scenie.

– Co się tu dzie... – nie zdążyła dokończyć, bo Totek zamknął jej usta dłonią i wyjaśnił szeptem, że Stefan stosuje na Antolskim hipnozę.

Marta ugryzła go w rękę i wyrwała się. Ukąszenie nie spowodowało większych obrażeń, ale było dość dotkliwe. Totek odciągnął ją na bok i wyłożył szeptem:

– On twierdzi, że Antał ma zahamowania z historii. Będzie mu wmawiał, że umie materiał z drugiego okresu na pięć.

– Oni chyba powariowali! – zachnęła się Marta.

Domorosły hipnotyzer i jego zahamowany pacjent wytrzeszczali na siebie oczy nie zwracając uwagi, co się dzieje za ich plecami.

– Czy on rzeczywiście umie historię na pięć? – niedowierzała Marta. Totek skrzywił się.

– Podobno umie na cztery koma dwadzieścia pięć, tak mu wyszło z obliczeń, ale dostaje trzy koma piętnaście.

Marta przez chwilę sceptycznie przyglądała się seansowi hipnotycznemu. Antał w trakcie liczenia zapytał, czy może mrugać. Gdy przeszła druga setka, Stefan chciał wiedzieć, co jego pacjent czuje w tej chwili. Gdy Antolski stwierdził, że nie czuje nic specjalnego poza tym, że boli go już tyłek, Stefan załamał się.

– Jesteś beznadziejny – stwierdził krótko.

– Jestem beznadziejny – powtórzył Antał machinalnie, jako że jego własna wola była już w znacznym stopniu nadwątlona, liczył jeszcze przez chwilę dalej, wreszcie stwierdził, że zaczyna myśleć, w związku z czym dalsze siedzenie jest bez sensu.

– Dobrze, przerwijmy to – zgodził się Stefan – tu nie ma odpowiednich warunków.

– Myślisz, że nie nadaję się do zahipnotyzowania? – zaniepokoił się Antolski.

Zanim Stefan zdążył odpowiedzieć, odezwała się Marta:

– Chciałabym wam przerwać na chwilę ten zabobon.

Speszył się trochę, gdy tak nagle zdał sobie sprawę z jej obecności, ale nie dał tego po sobie poznać.

– To nie jest żaden zabobon, tylko metoda terapii psychicznej – odpowiedział z naciskiem lekko urażonym tonem. W ten sposób odpowiadają zwykle adepci nauki nieuznawanej przez społeczeństwo, a także wynalazcy, z których genialności mają zdać sobie sprawę dopiero przyszłe pokolenia.

Marta lekceważąco skinęła głową.

– Hipnoza pomaga przezwycięzać stresy – padł slogan zapamiętany z mozolnego przekładu angielskiej książki.

– Mam właśnie coś w rodzaju stresu – powiedziała Marta ironicznie. – Chciałabym pogadać z tobą chwilę na osobności.

Propozycja rozmowy w cztery oczy wywołała u niego gwałtowną gonitwę myśli. Na chwilę odżyły nadzieje, tak niedawno jeszcze definitywnie zarzucone, a wraz z nimi obawy.

– Czy my dwaj też możemy robić za osobność? – chciał wiedzieć Totek.

– Róbcie, tylko trochę dalej.

Odeszli ociągając się nieco i strojąc małpie, dwuznaczne miny. Patrząc na nich Stefan z trudem panował nad krwiożerczymi instynktami.

Marta pokręciła głową z dezaprobatą i westchnęła.

– Zdaje się, że masz wpływ na tych dwóch – powiedziała, gdy odeszli.

– Wychowują się sami, ja im w tym nie przeszkadzam – odpowiedział ostrożnie. – Od tego mają przełożenia rodzinne – dodał po chwili.

Stali w milczeniu nie patrząc na siebie. Kiedy człowiek chce powiedzieć coś naprawdę ważnego, to zaczyna przebierać w słowach i sformułowaniach, a przede wszystkim zastanawiać się w popłochu, co jest naprawdę ważne. Nic więc dziwnego, że zanim Stefan zdołał

doprowadzić swoje refleksje do porządku i znalazł dla nich odpowiednią formę, zaczęła mówić Marta.

– Mniej więcej dwa miesiące temu Antałek rozmawiał pod szkołą z jakimś nieznanym facetem w zielonej kurtce. Pamiętasz?

Stefan, zajęty własnymi myślami, sens tych słów pojął z pewnym opóźnieniem. Wreszcie zrozumiał, o co chodzi, ale nie widział tu związku z własną osobą, a poza tym niczego takiego sobie nie przypominał.

Marta starała mu się pomóc:

– Tego dnia Totek i Antał wygłupiali się w drodze do domu.

Gdyby było odwrotnie zapamiętałby ten dzień z pewnością.

– Totek zaniósł Antolskiego do domu na barana.

Teraz sobie przypomniał. Był to niezwykle wyczyn, mimo że Antolski sporo schudł ostatnio.

Marta ze swej strony nie wykazywała większego zainteresowania wartością sportową tego wydarzenia. Chciała, żeby Stefan przypomniał sobie, w jakich okolicznościach do tego doszło.

– Zdaje się, że chodziło o jakiś zakład – odrzekł po chwili namysłu. Tak, to na pewno był zakład. Wygłupy Totka wynikały często ze skłonności do hazardu. – Totek odrabiał przegraną, ale mnie przy tym nie było. Zdaje się, że zwolnili mnie na jakieś badania. Znam to z drugiej ręki.

Marta przygryzła wargę.

– Proszę cię, dowiedz się, co to był za chłopak, z którym Antał rozmawiał tego dnia.

– Tylko tyle? – w głosie Stefana można było wyczuć rozczarowanie.

Okazja do rozmowy z Antolskim nadarzyła się na kolejnej przerwie. Sam do niego podszedł i z obleśnym uśmiechem zapytał, jak było na osobności.

– Zgadnij, to cię zaniósł do domu na barana – odpowiedział Stefan panując nad sobą z trudnością, dwuznaczny uśmiech Antała obudził w nim dziką furję.

– Wymyśl coś innego.

— Wolisz jeździć na Totku? – zapytał przebiegle.

Antał machnął ręką.

– To był koń, który przegrał zakład – odrzekł.

– A o co się założyliście?

Antał spojrział na niego podejrzliwie. Na wszelki wypadek nie chwalił się tą historią przed Stefanem, w związku z tym kołatało się w nim niejasne poczucie winy. Poza tym uważał sprawę za przedawnioną i niechętnie do niej wracał.

– Nie mówiłem ci? – dość niezręcznie udawał zdziwienie. – No przecież ci mówiłem, jak było.

Spojrzał na Stefana trochę krzywo i natychmiast odwrócił wzrok, w przeciwieństwie do Totka był kłamcą niezgrabnym i nieudolnym.

Gdy Stefan zapytał go wprost o faceta, z którym rozmawiał tego dnia, odczuł rodzaj ulgi, że nie musi dalej mataczyć.

– Więc jednak wiesz – powiedział już innym tonem z nutą rezygnacji. – To po co się pytasz?

– Chcę to usłyszeć od ciebie. – Stefan był nieustępliwy.

– To taki chłopak – powiedział niezbyt wyraźnie wpatrując się z uwagą w podłogę. Był wściekły na siebie, że tłumaczy się przed kolegą. – Nie znam go właściwie. Podobno przyłaził do jakiejś dziewczyny...

Stefan patrzył na niego wyczekująco zimnym, nieprzyjemnym wzrokiem. Antał czuł się nieswojo i miał o to pretensję do samego siebie. Czuł, że narasta w nim jakiś bunt przeciwko

temu przesłuchaniu i że nie może on znaleźć ujścia. Czuł respekt wobec Stefana, ale nie chciał się do tego przyznać.

– No więc powiedziałem mu – ciągnął po chwili udając nonszalancję, którą zaobserwował na filmach gangsterskich – żeby sobie poszukał innego miejsca do stania, bo chodzi o zakład.

– A on oczywiście uśmiechnął się wyrozumiale i natychmiast sobie poszedł – na twarzy Stefana pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu, ale mógł to być grymas niechęci.

– To znaczy wytłumaczyłem mu, że jeśli przegram, to będę musiał targać kumpla na własnych plecach przez całe miasto – wyjaśnił Antał. – No i że z dwojga złego wolę już jego wynieść z tego placu... Ewentualnie... – w miarę opowiadania tracił pewność siebie. – Ale on chciał, żebym ja z nim odszedł trochę na bok... no i naciął się – starał się przybrać filuterną minę, ale wypadło to dość mizernie.

– Niezły obciach – warknął Stefan – zrobiłbyś karierę na wiejskich zabawach.

– On się nie poznał! – Antał był przekonany w tej chwili, że mówi świętą prawdę. – To był żart w zasadzie.

Stefan pokiwał głową z politowaniem.

– Mnie też byś nie rozśmieszył, gnojku – wycodził przez zęby.

W innych okolicznościach Antał przełknąłby gładko tę obelgę, ale Stefan włożył w nią taki bezmiar pogardy, że długo tłumiony bunt wybuchnął teraz ze zdwojoną mocą. Twarz Antolskiego przybrała gwałtownie odcień wojowniczej czerwieni.

– Odwał się, Olber! To nie twój interes! – dorzucił do tego kilka przekleństw.

Stefan nie drgnął nawet, tylko patrzył na niego z tym samym zimnym wyrazem pogardy.

– Zaraz ci wyjaśnię, że to jednak mój interes – zaczął mówić stłumionym głosem. – Trenowałem was przez parę miesięcy, ciebie i Totka... Pamiętasz jak się nazywa ta dyscyplina?... Pamiętasz trzecią zasadę? Przypomnę ci: „przez czynienie sobie dobra nawzajem dla dobra ogólnego”, a pierwsza zasada mówi, że aby zwyciężać, trzeba ustępować. Obie złamałeś. Miałaś być „ton”, a byłaś „uke”. Wiesz, co znaczy „uke”?

Antał nie mógł zaprzeczyć. Stefan jako domorosły trener poświęcał sporo uwagi ceremoniałowi i kodeksowi moralnemu walki obronnej. Na początku trochę to ich nawet śmieszyło, potem uznali to za część wtajemniczenia.

– Sam się skreśliłeś, Antał.

Gdy odwrócił się plecami, Antolski poczuł gwałtowną wściekłość i coś w rodzaju żalu. Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego co robi, złapał Olbera za kołnierz. Ten stracił na chwilę równowagę, ale zanim napastnik wykonał zamach lewą ręką, Stefan zrobił szybki półobrót unosząc przedramię. Na moment ich twarze znalazły się blisko siebie i wówczas Antał otrzymał krótki twardy cios w splot słoneczny. Ból przygiął go do ziemi. Zaplątana w kołnierz ręka została w górze, poczuł że silna, oburącz wykonana dźwignia zmusza go do głębokiego skłonu. Uświadomił sobie z żalem, że Stefan nie zdążył wprowadzić tej obrony do repertuaru.

Odejścia Olbera nawet nie zauważył. Przez pewien czas siedział na podłodze łapiąc powietrze. Niedawna wściekłość wyparowała z niego całkowicie. Rozejrzał się niespokojnie, czy nikt nie zauważył jego porażki i odetchnął z ulgą. „W randori, uke, czyli napastnik zawsze przegrywa”, pomyślał z pewnego rodzaju rozbawieniem.

Stefan sam był zdumiony gwałtownością własnego zachowania. Nie chodziło tu bynajmniej o fizyczne starcie, atak Antała wyzwolił w nim automatyczną reakcję, lecz o tak zwany całokształt sprawy. Tłumaczył sobie, że racja jest po jego stronie, że zrobił co do niego należało, ale że chodziło mu też o coś innego, czego nawet nie chciał przyznać przed samym sobą.

Po lekcjach dogonił Martę i upewniwszy się, że zmierza do domu, zaczął składać relację.

– Beznadziejna sprawa. Ten idiota Antolski przestraszył twojego znajomego. Kazał mu się wynosić. Doszło do bójki.

– To nie jest mój znajomy – sprostowała dziewczyna. – Ten chłopak przyszedł do Telki.

Patrzył na nią chwilę spod zmarszczonych brwi, potem roześmiał się cicho.

– Co cię tak śmieszy? – oburzyła się Marta. Jeśli udawała zgorszenie, to czyniła to bardzo sugestywnie.

– Coś mi się przypomniało, ale to nie ma związku z tą sprawą – skłamał bez zająknięcia. Czuł ulgę i rodzaj wdzięczności do losu.

Patrzyła na niego przez chwilę podejrzliwie, po jej twarzy przemknął jakiś dziwny refleks. Jeśli był w tym choć cień uśmiechu, to zdołała to zręcznie opanować. Skręcili w mniej uczęszczaną uliczkę, gdzie nie byli już narażeni na ciągłe wymijanie przechodniów.

– Domyśliłam się, że coś takiego wtedy zaszło... Sama nie wiem, jak nazwać to wasze zachowanie. Chamstwo to za łagodne słowo!

– Ja nie miałem z tym nic wspólnego – zastrzegł się Stefan.

– Całe szczęście – powiedziała Marta pod nosem, tak że nie mógł jej słyszeć.

– Co powiedziałaś? – zainteresował się Stefan.

– Nieważne – była zła na siebie za chwilę słabości. – Gratuluję przyjaciela – dodała złośliwie – nie wiedziałam, że zajmuje się rozbojem.

– Po pierwsze, to nie mój przyjaciel tylko normalny kolega, a po drugie... — zawahał się. Zrobiło mu się trochę żal Antała. Chciał coś powiedzieć o jego słabości do Telki, ale doszedł do wniosku, że dla Marty również nie może to być tajemnicą, dziewczyny są pod tym względem spostrzegawcze – trochę przesadzasz – zakończył bez przekonania. Marta syknęła niecierpliwie.

– Chłopak zdjął okulary. Widocznie obawiał się, że je stłucze w czasie tej spokojnej rozmowy – mówiła z pasją. – Przygotowałeś dobry materiał na gitowców ucząc ich tych chwytów i ciosów. Teraz zaczynają stosować to w praktyce.

Olber był zdumiony. Sądził, że nikt o tym nie wie, a już w szczególności dziewczyny z jego klasy. To miasto rzeczywiście jest bardzo małe, pomyślał.

– To był po prostu głupi żart. Totek podpuścił Antała zakładając się z nim. Antolski sam by tego nie wymyślił... Staralem się im wpoić jakieś zasady, możesz mi wierzyć – poczuwał się jednak do jakiejś odpowiedzialności, to przecież przez jakiś czas byli „jego ludzie”.

– Ładne mi zasady – skrzywiła się z dezaprobatą.

– Mają u mnie krechę. Nic o tym nie wiedziałem.

Milczeli chwilę.

– Miałem przy tej okazji drobne przejście z Antolskim. Przewiduję dłuższą przerwę we wzajemnych kontaktach, jeżeli cię to interesuje.

Marta uniosła brwi.

– Bałam się, że ich pobłogosławisz – powiedziała bez ironii, ale zaraz dodała z lekkim przekąsem:

– Tracisz przeze mnie przyjaciół.

Wzruszył ramionami.

– Chodzi ci o tych dwóch, którzy grasują pod szkołą? – padło retoryczne pytanie. – Żałuję, że się co do nich pomyliłem – stwierdził ponuro. – Szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej.

Od domu, w którym mieszkała dziewczyna, dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Nie zdając sobie z tego sprawy szli coraz wolniej.

– A co się stało z tym facetem? Z tym poszkodowanym, od Telki – zapytał, żeby oddalić moment pożegnania.

– Po prostu nie pokazał się więcej – odpowiedziała krótko. Stali przed bramą jej domu. Marta ukloniła się sąsiadce, która mijając ich przyglądała się badawczo spod zmrużonych powiek. Sąsiadka odkloniła się z rezerwą, a może nawet z niechęcią, należała bowiem do osób dociekliwych i przewidujących.

– Gdyby mu na Telce naprawdę zależało... – bąknął Stefan.

– Oczywiście, ty na jego miejscu... – w głosie Marty znów pojawiła się ironia.

- To nie wchodzi w grę, Telka mnie nie interesuje – zachnął się chłopak.
- To rozumiałe, że przy tylu męskich zajęciach nie masz czasu na dziewczyny.

Chciał coś powiedzieć, uznał to jednak za bezcelowe. Wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie. Jej ciepła i delikatna dłoń stanowiła jakby zaprzeczenie słów, które wypowiadała. A może w słowach też tkwiła jakaś sprzeczność? Nie był tego pewien. Odszedł kilka kroków i odwrócił się. Marta stała w progu. Ich spojrzenia zetknęły się na krótką chwilę. Dziewczyna uniosła rękę i uśmiechnęła się, nim zniknęła na schodach.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Zastanawiam się, czy mogło być gorzej i dochodzę do wniosku, że jakby mogło, to by już było. O Marcie prawie nie myślałem, dopóki nie stanęła przede mną i nie poprosiła mnie o tę rozmowę na osobności. Nagle, bez żadnych podstaw zacząłem sobie wyobrażać diabli wiedzą co. Potem, kiedy trochę ochłonałem, wydawało mi się, że taka niby drobna sprawa, to zupełnie dobry pretekst do nawiązania bliższych kontaktów. Przeszło mi to natychmiast w trakcie rozmowy z Antałem, nabrałem przekonania, że poszkodowany przyszedł do Marty, a głupi Antolski stał się ślepym narzędziem prześladowającego mnie pecha. Kiedy dowiedziałem się, że chodzi o Telkę, odczułem wyraźną ulgę. Z drugiej strony ciąży na mnie zarzut, że nieświadomie brałem udział w przygotowaniach do akcji terrorystycznej. Mam nadzieję, że Marta mi uwierzyła, chociaż robiła różne uszczypliwe uwagi.

Doznałem tylu mieszanych wrażeń w ciągu jednego dnia, że obecnie mam w głowie kompletny melanz i nie wiem, co robić.

Krzych radził mi kiedyś, żeby po prostu spróbować się z nią umówić. Pamiętając, że dobre rady stały się przyczyną wielu nieszczęść, przygotowuję się na najgorsze, w ten sposób uniknę przykrych niespodzianek. Biorę pod uwagę następującą możliwość: wybuch śmiechu przesyconego bezmierną pogardą, odmowę połączoną z politowaniem oraz zwykłą chłodną odmowę pod jakimś pretekstem. Nie mam więc, jak widać, specjalnych złudzeń, na moje szanse patrzę trzeźwo. Trzeba po prostu raz na zawsze skończyć. Od jutra będę mógł zacząć życie bez obciążeń, jako wolny człowiek.

Następnego dnia od samego rana przeżywał w wyobraźni różne rodzaje upokorzeń, które miały go niechybnie spotkać, i pod różnymi pretekstami przekładał moment rozmowy. Dopiero po lekcjach w szatni zdobył się na ten desperacki akt. Emocje związane z przewidywaną odmową miał już właściwie za sobą, przemówił więc głosem ponurym i beznadziejnym. – Co robisz dzisiaj po południu?

Z tonu głosu i wyrazu twarzy można było sądzić, że chodzi mu o jakiś szczególny rodzaj nieszczęścia. W oczach Marty, nim jeszcze dotarł do niej sens słów, pojawiło się zdumienie.

– Interesujesz się ostatnio moim życiem prywatnym? – zapytała, gdy nieco ochłoneła.

– Pytam dla formalności – odrzekł tym samym tonem. Komuś postronnemu mogłoby się wydawać, że chodzi mu o formalności związane z pogrzebem.

Marta przyglądała mu się badawczo trzymając w ręku płaszcz. Stał w bezruchu z kamiennym wyrazem twarzy. Wyglądał jak młody Indianin, który przechodzi właśnie bolesny obrzęd wtajemniczenia, oswojony z cierpieniem i przygotowany na wszystko.

– Tylko dla formalności? – zapytała Marta z uśmiechem, który wydałby mu się dziwny, gdyby go w ogóle zauważył.

– Wydawało mi się, że jeśli nie masz ciekawszych zajęć, to mogłabyś zmarnować trochę czasu spotykając się ze mną o czwartej – powiedziawszy to poczuł zadowolenie, że tak długie i zawile zdanie udało mu się wymówić bez zająknięcia. Jego rola była właściwie skończona. Zrobił swoje i może odejść. Na odpowiedź czekał bez emocji i kiedy usłyszał słowo „niestety”, skinął głową ze zrozumieniem. Wszystko odbyło się zgodnie z przewidywaniami.

– Tak właśnie myślałem – oznajmił z godnością. – Cieszę się, że ten smutny obowiązek mam już za sobą – wydawało mu się, że uprawia czarny humor w najlepszym stylu.

– To ja mam obowiązki! – odparowała Marta zastanawiając się, skąd u tego chłopaka manery godne przedsiębiorcy pogrzebowego. – Obiecałam pomóc matce w sprzątaniu.

Stefan z powagą pokiwał głową na znak, że każdy pretekst jest dobry.

– Rozumiem – powiedział po krótkim namyśle. – Cenię delikatność uczuć, ale nie musisz się przede mną tłumaczyć. Byłem na to przygotowany.

Wydawało mu się, że zachował godność i nawet odczuwał z tego powodu coś w rodzaju satysfakcji.

– Przygotowałeś się niedostatecznie – roześmiała się dziewczyna – będę wolna przed szóstą.

– Co przed szóstą? – spytał niezbyt przytomnie, a potem patrzył na nią z niedowierzaniem, a jego twarz przestała wyrażać wystudiowaną obojętność.

Marta wyglądała na rozbawioną jego zaskoczeniem.

– Jeśli się nie przejęczyłaś... – zaczął ostrożnie, ale nie pozwoliła mu skończyć.

– Przyjdź, to się przekonasz na własne oczy. Wiesz, gdzie mieszkam – powiedziała po prostu. – Przecież miałaś ochotę się ze mną spotkać – dodała z lekkim zniecierpliwieniem.

Wszystko byłoby oczywiste, gdyby nie te wątpliwości.

– Jeśli uważasz, że to bez sensu, to zapomnijmy o tej rozmowie – złożył wielkoduszne oświadczenie.

– Czy ty musisz wszystko komplikować? – odparła na to, ale nie czekała na odpowiedź. – Za piętnaście szósta. Nie spóźnij się – rzuciła przez ramię i odeszła jakby nic się nie stało.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Obciąłem paznokcie, żeby jak to się mówi, nie przeszkadzały w chodzeniu. Przy samej skórze – nie ma wtedy co ogryzać. W ten sposób się odzwyczajam.

Za oknem jest pogodnie, ale na pewno zacznie padać. Pożyczyłem więc od ojca parasol. Bez jego wiedzy. Na szczęście ojciec też nie wie nic o deszczu, niebo jest bezchmurne. Ten parasol jest w zasadzie automatyczny. To znaczy, że zamyka się sam w najmniej spodziewanych okolicznościach. Muszę uważać na ten sprzęt, bo inaczej nieszczęście gotowe. O deszczu zaczynam myśleć z sentymentem – mam już pewną wprawę w narzekaniu na pogodę, w innych tematach mogę się nie sprawdzić.

Krzych doradzał mi kiedyś tak zwany luz wewnętrzny i ostrzegał, żeby nie forsować za szybkiego tempa w chodzeniu, bo to może wyrobić w dziewczynie niekorzystny odruch warunkowy. Przypomniał nawet moją zmyśloną historię. Według niego tamta dziewczyna musiała reagować na mój widok bólem nóg...

Zaczynają się sprawdzać moje przewidywania co do pogody. Znad jeziora wylazła chmura, wygląda całkiem obiecująco. Zerwał się też lekki wiatr.

Mam jeszcze sporo czasu, ale pójdę sobie powoli. Przed wyjściem dobrze byłoby odpukać, a tu ani kawałka łysego drewna...

Przypomniało mi się, że szuflada w moim biurku nie jest polakierowana od środka. Przy wyciąganiu zacięła się i wszystko wysypało się na podłogę. Zbieranie trwało dosyć długo, ale przy okazji znalazłem parę drobiazgów, których od dawna poszukiwałem bezskutecznie.

Mam jednak trochę szczęścia – udało mi się odpukać w niemalowane.

Po ilości decybeli przedostających się na klatkę schodową wywnioskował, że Krzych jest w domu sam. Jego rodzice jeździli zwykle w niedzielę do Olsztyna, gdzie mieszkali jeszcze do niedawna. Krzych towarzyszył im rzadko. Stosował różne fortele, żeby zostać w domu i zażywać samotności.

Dzwonek zaterkotał bezdźwięcznie i Stefan nie czekając na zaproszenie nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. W progu powitał go Dolar warcząc śmiesznie w przyjaznej tonacji i tarosząc sznurowadła. Stefan pogłodził go po gładkiej lśniącej sierści i pozwolił wypróbować na własnej skórze ostrość szczenięcych zębów. Dopiero po otrzymaniu należytej porcji pieszczoł Dolar pozwolił mu wejść do pokoju swego pana.

– Jesteś? – zapytał zupełnie niepotrzebnie po przekroczeniu progu.

– Nie ma mnie, ale włącz mimo wszystko, jeśli ci to nie przeszkadza.

Krzych nie wyglądał na zaskoczonego niespodziewanym pojawieniem się przyjaciela. Siedział na swojej pryczy obłożony książkami.

– Jestem nieobecny duchem, zagłuszam w sobie braki z historii! – udało mu się przekrzywić utwór muzyczny, którego rytm osiągał właśnie apogeum.

Stefan zawahał się.

– To może ja wpadnę później. Ryj głęboko! – pozdrowił go zgodnie z ustalonym rytuałem.

Krzych wydobył się spod książ i wyłączył magnetofon.

– Zaczekaj – powiedział przeciągając się. – Nie zostawiaj mnie na pastwę wiedzy. Mam już we łbie z piętnaście dat, mój mózg po otwarciu wyglądałby jak książka telefoniczna.

Stefan zrzucił kurtkę i usadowił się na pryczy. Siadając wziął do ręki jakąś książkę i zaczął przerzucać ją machinalnie.

– Jak zwykle wchłaniasz przy muzyce – stwierdził z odrobiną zazdrości, gdy gospodarz ponownie włączył magnetofon. W domu Olberów nie tolerowano takiego połączenia przyjemnego z pożytecznym.

– Ma to swoje dobre strony, wiedza wchodzi do głowy rytmicznie – przyznał Krzych. – Gorzej natomiast z odtwarzaniem.

– Nie odpowiadasz śpiewająco? – zdziwił się Stefan bezmyślnie wpatrując się w otwartą książkę.

– Może gdybym mógł to zatańczyć...

W zachowaniu kolegi Krzysztof zauważył coś niepokojącego pod pozorami nonszalancji. Zdażył go trochę poznać.

– Słuchaj, skąd wzięłeś taką głupią minę? – zapytał życzliwie.

Stefan ocknął się z krótkiego zamyślenia i odpowiedział z pewnym roztargnieniem:

– Zawsze taką miałem, to moja normalna mina.

– Widocznie słabo cię znam z widzenia – rzekł Krzych poprawiając okulary.

Stefan dalej wertował książkę, z czego nie było oczywiście najmniejszego pożytku. Krzych odczekał cierpliwie dłuższą chwilę i wreszcie postanowił ułatwić koledze nawiązanie kontaktu.

– Zdaje się, że masz jakąś sprawę. Stefan odłożył książkę, która była mu potrzebna jak psu klucz od konserw i potarł dłonią czoło, następnie w sposób pokrętny przyznał, że coś w tym rodzaju, ale że jest to sprawa głupia i niewarta roztrząsania z różnych względów, po czym zaprzeczył jakoby istniała jakakolwiek sprawa, co upewniło Krzycha w mniemaniu wręcz przeciwnym, wreszcie naburmuszył się i zamilkł.

– Aha – powiedział Krzych.

Stefan spodziewał się, że to „aha” będzie początkiem indagowania, ale nic takiego nie nastąpiło. Miał przed sobą człowieka nie tylko przenikliwego, ale i cierpliwego.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – poruszył się niespokojnie. Krzych rzeczywiście nie spuszczał go z oka.

– Jak? – padło niewinne z pozorów pytanie.

Chciał powiedzieć, że wyczekująco, ale rozmyślił się. Uznał, że ta rozmowa w ogóle nie ma najmniejszego sensu. Krzych uśmiechnął się, jakby odgadł jego myśli.

– Przewrażliwiony, źle mu z oczu patrzy, społecznie się nie udziela – wyliczał na palcach.

– Miał napisać felieton do naszego organu i co? – przypomniał mu o podjętym zobowiązaniu.

W szkole działały dwie konkurencyjne gazetki i Krzych był szefem jednej z nich. Głównym, jak dotąd, nurtem działania obu pism było wzajemne zwalczanie się. Stefan początkowo nie przejawiał zainteresowania dziennikarstwem, aż wreszcie zgodził się napisać krótki felieton. Nie zdążył go jednak przedstawić naczelnemu, bo jedyny egzemplarz dzieła wpadł w ręce dyrekcji i został nie tyle skonfiskowany, co zatrzymany do wyjaśnienia. Prawie o tym zapomniał.

– Napisałem, ale mi dyrekcja zdjęła... za błędy ortograficzne – wyjaśnił Stefan koledze.

– Dlaczego mi nie pokazałeś?

– Nie zdążyłem. Przymierzałem tekst do tablicy, aby zobaczyć, jak to wygląda, byłby to przecież mój debiut, i wtedy dyrekcja pojawiła się niespodziewanie i zainteresowała.

– Więc twierdzisz, że zdjęła ci za błędy ortograficzne? – Krzych podrapał się za uchem.

– Interpunkcja i tak dalej... Jakbym napisał bezbłędnie, to by się czepiali, że przepisałem ze słownika ortograficznego – stwierdził ponuro pokrzywdzony autor.

Krzych zbył tę uwagę machnięciem ręki i zainteresował się treścią artykułu.

– Chodziło mi o sprawiedliwość – stwierdził z goryczą niedoszły debiutant. Wyjaśnił pokrótce, że felieton traktował o równym podziale stopni. Autor miał na myśli czwórki dla trójkowych, dostęp do piątek dla najniżej ocenianych i tak dalej. Ta piękna idea nie znalazła w oczach dyrekcji pełnego uznania, choć wywołała coś w rodzaju rozbawienia. Drugi wątek felietonu stanowiło wyrażanie indywidualności poprzez wygląd. Naczelnny okazał żywe zainteresowanie tą tematyką i zażądał bliższych wyjaśnień.

– Chodziło mi o to, że jak ktoś się czuje Japończykiem, to żeby mógł chodzić do szkoły w kimonie.

Krzych zastrzegł się, że co prawda nie ma nic przeciwko Japończykom, ale nie wydaje mu się, żeby istniały w szkole takie tendencje. Jeden z kolegów chwalił się co prawda tatarskim pochodzeniem, ale nosił się z upodobaniem w stylu jeans.

– Jeśli chcesz zrobić ze szkoły drugą Japonię, to może najpierw sprawdzimy, jak to u nich wygląda, bo zdaje mi się, że tam jest straszny cug do nauki i możemy na tej reformie wyjść nie najlepiej – zakończył wywód.

Stefan wyjaśnił nieco urażonym tonem, że nie chodzi mu o przenoszenie szkolnych zwyczajów z Dalekiego Wschodu i o reformę nauczania, tylko o przenośnię. Japończyk posłużył mu za przykład, może nie najlepiej wybrany, skrajny, ale wyrazisty. W gruncie rzeczy chodzi o prześladowania.

Tu Krzych ponownie zgłosił jakieś wątpliwości, bo nie słyszał, żeby kogoś w tej szkole prześladowano z powodu pochodzenia takiego czy innego, a samurajski przodek mógłby wręcz stanowić powód do dumy.

– Widzę, że nie jesteś w stanie pojąć tej metafory – zniecierpliwił się Stefan. – Brak wyglądu jest częstym zarzutem stosowanym zarówno wobec zapuszczonych jak i wygolonych – chodziło mu o mazurskie odmiany różnych hipów i punków, którzy wyrażali swój bunt wobec świata odpowiednim regulowaniem długości owłosienia. Dorosli okazali przy tej okazji kompletny brak konsekwencji, nie tolerując ani długowłosa, ani dobrowolnej łysiny. – Działa odgórna tendencja, żeby ich średniaczyć i uprzeciętniać, więc wyraziłem pogląd – zakończył autor felietonu.

Krzych wspominał, że Japończycy zaczesywali włosy w koczek, wykazując tym brak zrozumienia głównej idei artykułu. Nie chodziło przecież o fryzury, tylko o swobodne wyrażanie indywidualności.

– I zdjęli, powiadasz? – zasepił się wydawca.

– Dyrekcja powiedziała, że pogląd przyjmuje do wiadomości jako ciekawy, ale że z drugiej strony propaguje błędy ortograficzne i stosuje niedozwoloną interpunkcję.

Temat był w zasadzie wyczerpany. Minutą ciszy uczcili utratę materiału. Nawet Dolar zachowywał się przez chwilę z godnością. Wreszcie Stefan przypomniał sobie, że zjawił się w



zupełnie innej sprawie. Zdecydował się w końcu powiedzieć to na głos, ale zaraz dodał, że jest to sprawa osobista i nieoficjalna.

– Przeszedłeś do mnie incognito? – zdziwił się gospodarz, który znał łacinę w zakresie słownika wyrazów obcych.

Stefan przyznał, że jest we własnej sprawie personalnie, ale nie chodzi mu nawet o poradę czy konsultację, nic z tych rzeczy.

Krzych stwierdził natomiast, że nie dowiedział się o co rzeczywiście chodzi, ale i bez tego się domyśla, bo łatwo zgadnąć.

– Znowu jakaś dziewczyna – powiedział to tak, jakby chodziło o coś oczywistego, wprawiając Olbera w osłupienie. Stefan pamiętał dotychczasowy przebieg rozmowy i dałby głowę, że nie zdradził się najmniejszą aluzją.

– Skąd wiesz? – zapytał z rodzajem zabobonnego lęku. W tej chwili skłonny był uznać, że jego przyjaciel dysponuje ponadzmysłowymi zdolnościami.

– Skąd wiem?... Bo kręcisz, jakbyś chciał pożyczyć pięćset złotych – odpowiedział po prostu.

– Może chcę – mruknął Stefan bez przekonania. Przygnębiła go łatwość, z jaką został rozszyfrowany. W głębi duszy uważał się za człowieka skomplikowanego, a kto wie czy nie tajemniczego. Nikt nie lubi, gdy ktoś wie o nim więcej niż on sam o sobie.

– Przecież wiesz, że nie mam forsy, tak samo jak ja wiem, że nie o forszę ci chodzi.

Nie było sensu zaprzeczać. Stefan przyznał niechętnie, że sprawa łączy się z dziewczyną. Opowiedział, jak idąc za radą Krzycha zaproponował jej wspólny wieczór. Potem zamilkł.

– I co dalej? – padło pomocnicze pytanie.

– Właściwie nie ma o czym mówić – zapowiedział, nim przystąpił do szczegółowego referowania. – Byłem z nią w kinie.

Krzych skinął głową z aprobatą.

– Cudem udało mi się kupić bilety w ostatnim rzędzie. Wszystkie miejsca były już zajęte.

Z powodu ostatniego rzędu Krzych pochwalił go za dalekowzroczność. Stefan słysząc tę uwagę spojrzął na niego spode łba, zastanawiając się, czy ma mu przegryźć gardło, czy tylko udusić. Opanował się jednak i z nutą rezygnacji powiedział:

– To miały być miejsca obok siebie. Kupiłem kolejne bilety.

Krzych wykonał nieokreślony ruch dłonią, który miał oznaczać, że jest to dla niego oczywiste. Tym razem domyślność kolegi wywołała na twarzy Stefana dziwny uśmiech.

– Jak przyszło do zajmowania miejsc, to się okazało, że pomiędzy nami wypada przejście. Tak ze dwa metry... Śmieszne, co? – rzucił cierpko, widząc, że jego przyjaciel z trudem stara się opanować wybuch śmiechu.

– A ona co na to? – zapytał, gdy już nieco ochłonął. Przemknęło mu przez myśl, że nad Olberem rzeczywiście ciąży jakieś fatum.

– Ona też się śmiała – odpowiedział niechętnie.

– To była komedia? – zapytał Krzych niewinnie.

– Daj spokój z tym cholernym filmem! Byłem tak wściekły, że nie widziałem, co się dzieje na ekranie! – długo tłumione emocje wybuchnęły teraz ze zdwojoną siłą. Przez dłuższy czas mamrotał pod nosem jakieś przekleństwa, a potem pogrążył się w rozpamiętywaniu porażki.

Gdy Krzych zapytał, co było dalej, spojrzął na niego niezbyt przytomnie.

– Koniec! Nie wyczuwasz tego?! – wykrzyknął.

Krzych robił wrażenie, jakby nie wyczuwał, więc pospieszył z dodatkowym wyjaśnieniem:

– Nie można przecież wymagać od dziewczyny, żeby chciała spotykać się z facetem, który nie potrafi nawet kupić dwóch głupich biletów do kina!

Krzych przyznał z powagą, że nie można. Dystans zabija nienarodzone uczucie. To pewne. Nie wydawało mu się jednak, żeby ta historia przekreślała wszystkie szanse.

Stefan zaśmiał się ponuro, z wyższością człowieka, którego los został już przesądzony.

– Inaczej byś mówił, gdybyś był na moim miejscu... W połowie filmu w odpowiednim momencie miałem ją wziąć za rękę – opowiadał już bez żenady o swoich planach. – Przygotowałem sobie nawet chusteczkę na wypadek, gdyby mi się dłoń spociła, bo w kinie bywa przecież gorąco i coś takiego może się zdarzyć... Wszystko przewidziałem, tylko nie to.

Krzych spojrział na niego z respektem i dał temu wyraz pełnym podziwu gwizdnięciem.

– Przyszedłeś na film z własnym scenariuszem, rozumiem... Ale co by było, gdyby ona w tym tak zwanym odpowiednim momencie cofnęła rękę?

– Wszystko przewidywałem – podkreślił z dumą. – Miało być tak: siedzę i nic – usadowił się w odpowiedniej pozycji i całą scenę odtwarzał mimicznie.

– Nic? – zdziwił się Krzych, który nabrał już lepszego mniemania o przedsiębiorczości kolegi.

Ten zastrzegł się, że owo „nic” miało dotyczyć jedynie pierwszego, przedwstępnego etapu. Potem miał on w sposób niedostrzegalny skrócić dystans i czekać na odpowiedni moment.

– I teraz tak – wyjaśniał techniczne szczegóły przedsięwzięcia – jeśli ona nie cofa, to biorę ją za rękę i trzymam wyczuwając dalsze zamiary. Nie wyrywa, więc sytuacja jest jasna.

– Nie wypuszczasz jej z ręki?

– Wypuszczam, jeśli wyrywa, ale jeśli wcześniej nie cofała, to chyba później nie będzie wyrywała? Chyba mam rację? – upewniał się Stefan. Był przekonany, że jego plan miał mocne podstawy logiczne i w dużym zakresie uwzględniał psychologię kobiety.

– Starannie opracowane, prawie jak napad na bank – stwierdził Krzych po dłuższym namyśle. Był to z jego strony szczery komplement, doceniał bowiem wkład pracy umysłowej w tę życiową sytuację.

– Niestety, musiałbym mieć rękę dłuższą od nogi – powiedział Stefan trzeźwo oceniając własne możliwości.

– Nie wiem, czy wtedy udałoby ci się namówić na kino jakąkolwiek dziewczynę – pocieszył go przyjaciel. – Kiedy miała miejsce ta cała heca? – zapytał po chwili. Gdy dowiedział się, że poprzedniego dnia, uznał, że nic poważnego nie zaszło. Odległość mogła dziewczynę nieco zrazić, ale wszystko było jego zdaniem do naprawienia. Stefan pozostawał jednak niepokieszony i zapowiedział, że skłonny jest całkowicie zrezygnować z kobiet i poświęcić życie na zwalczanie innych przeciwności losu.

Krzych pytał go o szczegóły tego pechowego wieczoru, ale otrzymywał bardzo ogólne i wymijające odpowiedzi.

– Zrozumiałe, że w kinie trudno było rozmawiać, ale przecież wychodziliście razem. Odprowadziłeś ją chyba do domu?

Stefan kiwnął głową niechętnie i nic nie odpowiedział.

– I co było po drodze?

– Było po wszystkim.

– Nie odezwaliście się do siebie ani słowem? – nie chciał uwierzyć Krzysztof.

Okazało się, że dziewczyna owszem, coś tam mówiła, ale Olber nic z tego nie zapamiętał, a nawet jej nie słuchał, bo pogrążył się rzekomo w niewesołych rozmyślaniach.

– O czym miałem z nią mówić? – wzruszył ramionami Stefan.

– Nie przyszedłeś chyba do mnie, żebym ci przygotował dialogi do jakiegoś nowego scenariusza – powiedział Krzych złośliwie. Poszkodowany uczuciowo zaczął go już irytować. Stefan wyczuł instynktownie tę zmianę nastroju i postanowił wreszcie zdobyć się na szczerość.

– Nie o to chodzi... Myślę, że brakuje mi podstaw teoretycznych. Czasem wyobrażam sobie, tak na próbę, że z nią rozmawiam i wtedy idzie mi nieźle.

W oczach Krzycha pojawiło się zainteresowanie.

– Jestem... – ciągnął Stefan z wahaniem – błyskotliwy to może za dużo... interesujący... – skromność kazała mu odrzucić te przymiotniki – no w każdym razie nie taki beznadziejny jak przy bezpośredniej konfrontacji. Co ty na to?

Krzych robił wrażenie zatroskanego.

– Nie jest dobrze... Nie jest dobrze – mruzczał pod nosem jak lekarz, który zetknął się z trudnym przypadkiem choroby. – Zahamowania inteligencji i to mówienie do siebie...

– Myślisz, że jestem chory psychicznie? – zupełnie serio zaniepokoił się Olber. – Rzeczywiście nie czuję się najlepiej – wsłuchiwał się we własny organizm. – Może to schizofrenia?

Krzych nie udzielił mu wyraźnej odpowiedzi. Rozłożył ręce, co mogło oznaczać bezradność.

– A może mój przypadek jest uleczalny? – zapytał Stefan z nadzieją. Nie słyszał dotąd o chorobach dziedzicznych we własnej rodzinie.

– O ile mi wiadomo, tego się nie leczy – odpowiedział Krzych z wahaniem.

Zniósł to po męsku. Od dawna oswajał się z myślą o przedwczesnej śmierci.

– Czy to ma jakąś nazwę medyczną? – zapytał lekko schrypniętym głosem.

– Powiem ci szczerze, co ja o tym sędzę – zdecydował się Krzych.

– Mów, tylko nie kręć – zażądał Stefan stanowczym tonem. Jako prawdziwy mężczyzna chciał znać całą prawdę.

– Moim zdaniem masz objawy uczuciowo-erotyczne w stosunku do wymienionej.

– Co masz konkretnie na myśli? – sens dotarł do niego z pewnym opóźnieniem.

– Miłość czy jak to tam się nazywa – rzucił Krzych niechętnie. Słowo to z trudnością przeszło mu przez gardło jako zużyte i pozbawione wartości naukowej. Odpowiedziało mu spojrzenie pełne niedowierzania, ale i niekontrolowanego popłochu.

– ... Niiieeee – zaprzeczył Stefan.

– Chciałeś prawdy – odrzekł obojętnym tonem, jakby chodziło o wykonanie ekspertyzy na zlecenie, a nie o sprawę tak eteryczną.

– Przecież jako osobiście zaangażowany wiedziałbym o tym pierwszy! – Stefan bronił się z podejrzaną zaciekleścią.

Krzych siedział z niezmiennym wyrazem twarzy i przyglądał mu się spokojnie, jak ktoś, kto zbiera materiał naukowy.

– U mnie jest to kwestia ambicji i ogólnego braku nawyku do dziewczyn! – wydawało mu się, że taka teoria brzmi nader przekonująco, ale Krzych tylko pokiwał głową obojętnie, jakby go to utwierdziło we własnym mniemaniu.

– Ja chcę to zwalczyć w sobie! To wszystko! – wykrzyknął Stefan desperacko.

– W takim razie, co do niej czujesz? – padło niespodziewane pytanie.

– Do... – wahał się, jakiego określenia użyć, by uniknąć podejrzeń, że jest uczuciowo zaangażowany – do wymienionej?... Chyba nic – powiedział bez przekonania.

– Czyli masz sprawę z głowy – niespodziewanie wycofał się Krzysztof. Spojrzał na niego podejrzliwie.

– Więc co mam robić? – był wyraźnie zaskoczony reakcją kolegi.

– Nic. Po prostu nic – padła krótka odpowiedź.

Stał przez chwilę niezdecydowany.

– Idę się przewietrzyć do lasu. Pójdiesz ze mną? – zaproponował po krótkim namyśle.

– Nie dam rady, jutro szykuje mi się odpytka z całości materiału – powiedział Krzych wskazując na rozłożone książki.

Miał własną metodę uczenia się. Wiedza zawarta w podręczniku służyła mu zwykle za punkt wyjścia do samodzielnego szperania w różnych dostępnych mu źródłach, dzięki czemu unikał czytania w kółko tego samego tekstu, co uważał za niezwykle nudne i bezcelowe. Dawało to w sumie niezłe rezultaty, choć gdy brakowało mu różnych opracowań tego samego

tematu, ograniczał się do jednorazowej lektury i zdarzało się niekiedy, że miewał z tego powodu kłopoty.

– No to cześć – powiedział Stefan przestępując z nogi na nogę. Rozmowa pozostawiła w nim pewien niedosyt. – Może wpadnę do ciebie jutro.

Przy drzwiach dołączył się do nich Dolar ze smyczą w pysku i nadzieją w orzechowych oczach.

– Pożycz Dolara, oddam ci go wieczorem w nienaruszonym stanie.

– Bardzo dobrze – zgodził się natychmiast Krzych. – Będę miał z głowy długi spacer. Ale w lesie lepiej go nie spuszczać. Jest głupi jak but, a do tego samobieżny, więc może się zgubić.

Pies wcale nie był taki głupi, bo natychmiast zorientował się, że kwestia spaceru została rozstrzygnięta na jego korzyść. Dał temu wyraz radosnym poszczekiwaniami.

Po drodze Stefan wpadł do domu zmienić buty. W oczach matki, gdy zobaczyła go z psem na smyczy, pojawiły się dziwne błyski, ale uspokoiła się, kiedy wyjaśnił, że pies ma już właściciela.

Poszli szosą olsztyńską, bo nad jeziorem było pełno błota. Dolar dreptał posłusznie przy nodze Stefana, od czasu do czasu spoglądając na niego z wdzięcznością. Człowiek, który chodzi z psem na spacer, zasługuje na pewne względy. Minęli przejazd kolejowy i skręcili w leśną drogę. Pies sunął teraz z pyskiem przy ziemi, pochłonięty węszeniem jak zajmującą lekturą. Rozmiękła ziemia podgrzana pierwszymi promieniami słońca wydzielala silny zapach. Woń zbutwiałych liści mieszała się z żywiczną świeżością, jakby jednego dnia spotkały się dwie pory roku. Dolar opóźniał tempo marszu studiując zapamiętałe ciekawsze tropy, wyciągał się wówczas jak struna naprężając smycz i niemal przyklejał się nosem do ziemi. Niekiedy drżał lekko z emocji, gdy udało mu się zwiertzyć ślady racic dzika lub jelenia. Drobniejszą zwierzynę wystawiał unosząc lewą łapę.

Po dwóch godzinach dotarli do głazu, który służył jako drogowskaz. Stefan wyjął kanapkę z mielonym kotletem i podzielił się nią z jamnikiem. Na świeżym powietrzu szybko poczuli ssący głód. Dolar po zjedzeniu swojej porcji spoglądał na chłopca w napięciu i oblizywał się dając do zrozumienia, że kawałek kotleta traktuje jako przekąskę. Stefan wypomnił mu, że podzielił się z nim obiadem, ale Dolar tym razem udawał, że nie rozumie. Dał za wygraną dopiero po obwąchaniu pustego chlebaka.

Wracali duktem, który prowadził przez las równoległe do szosy. Dolar dreptał na swoich krótkich łapkach nie wykazując zupełnie zmęczenia, jakby chciał udowodnić, że pies męczy się tylko w domu. Gdy mijali młodnik, zarył nagle czterema łapami i żadną miarą nie dawał się odciągnąć. Poszczekiwał nerwowo zwracając pysk w stronę zarośli, warczał i skomlał na przemian. W zaroślach coś się poruszyło i nastrój podniecenia udzielił się chłopakowi.

Zdecydował się zostawić psa przy drodze. Przywiązał smycz do gałęzi mimo protestów Dolara i ostrożnie zaczął przedzierać się przez gęstwinę malin, która oddzielała młodnik od drogi.

Nagle stanął jak wryty. U jego stóp siedział duży jastrząb. Niewielka polanka pokryta była piórami i pierzem. Ptak uniósł jedno skrzydło szykując się do lotu, ale drugie ścieliło się bezradnie po ziemi, wojowniczo rozchylił mocny, zakrzywiony dziób. Stefan stał w bezruchu. Ochłonął już z pierwszego wrażenia. Chłodno oceniał sytuację. Jastrzębie spotykał tu ostatnio rzadko, przez długi czas tępiono je bezlitośnie i ten pospolity drapieżnik przestał się wreszcie pojawiać. Zdarzały się myszołowy, kanie, błotniaki, powróciły na Mazury kruki, ale gołębiarza w niskim, charakterystycznym dla niego koszącym locie widział ostatnio parę lat temu.

Na pierwszy rzut oka widać było, że ptak był niezdolny do lotu. Jego rozpiętość skrzydeł wynosiła sporo ponad metr, była to więc zapewne samica. Tylko niewielka część piór zaścielających polankę należała do niej, ale zdobycz zniknęła. Stefan domyślił się, że stoczyła walkę z jakimś drapieżnikiem, najprawdopodobniej ze zdziczałym wiejskim kundlem, który za-

skoczył ją przy śniadaniu. Od czasu do czasu ptak podpierał się zdrowym skrzydłem, prawdopodobnie miał więc uszkodzoną także i łapę. Stefan pomyślał ze smutkiem, że przyroda podpisała na tego pięknego ptaka wyrok śmierci. Przynieść ją do domu i kurować? To niepodobieństwo. Wyobraził sobie reakcję matki. Hodował już kawkę, miał oswojoną srokę, którą wydostał z kocich pazurów, ale na drapieznika w domu się nie zgodzą. A jednak coś go zatrzymało w miejscu, nie mógł tak po prostu odejść. Coś trzeba było zrobić. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł: poza piwnicą był przecież w domu obszerny strych, na który mało kto zaglądał. Matka wieszala tam czasem pranie, ale przeważnie wyręczała się w tym celu Stefanem.

– Spokojnie, mała. Jak dobrze pójdzie, to jeszcze polatasz.

W żółtych ślepiach tliło się przerażenie. Podchodził do niej ostrożnie spoglądając z respektem na ostry zakrzywiony dziób. Ptak cofnął się i przygotował do odparcia ataku. Chłopak włożył rękę do chlebaka i wysunął ją do przodu, przewidując, że rękawiczka może stanowić zbyt słabą osłonę. Jastrzębica prawie równocześnie uderzyła skrzydłem i dziobem. Stefan błyskawicznym ruchem wolnej ręki przycisnął ją do ziemi. Przez chwilę miotała się bezradnie uderzając dziobem na oślep. Okraczył ptaka ostrożnie. Chore skrzydło udało mu się złożyć prawie bez trudu, widocznie ból zmusił ją do jego cofnięcia, ale drugie, zdrowe uderzało w bezsilnej furii. Przytrzymując jastrzębicę kolanami sięgnął po chusteczkę i zawiązał ją na oczach ptaka, tak jak robią to sokolnicy. Po paru sekundach jastrzębica uspokoiła się na tyle, że Stefanowi udało się złożyć także zdrowe skrzydło. Kiedy wstał z ziemi trzymając jastrzębicę pod pachą, pot zalewał mu oczy. Miał jeszcze przed sobą dwie godziny marszu. Zapomniał zupełnie o Dolarze i byłby go zostawił przywiązanego do drzewa, gdyby zrozpaczony pies nie narobił rabanu.

Szarpany przez psa i jastrzębia spiesznym krokiem ruszył w powrotną drogę. Zrezygnował jednak z marszu przez las i skręcił do szosy. Pod palcami czuł szybkie uderzenia ptasiego serca. Dolar, początkowo nastawiony wojowniczo, zjeżony i rozszczekany, pogodził się w końcu z towarzystwem drapieznika. Tylko od czasu do czasu spoglądał na niego niepewnie.

Mijały go samochody. Dwa z nich zwolniły, widział zaciekawione twarze. Okazały ogon jastrzębicy, wystający spod pachy, budził powszechne zainteresowanie. Zastanawiał się gorączkowo, jak przemycić ptaka na strych w sposób niezauważony. W pewnej chwili usłyszał za plecami charakterystyczny warkot silnika. Stara, dwudziestoletnia simca dyrektora Soliwody wyprzedziła go, ale przed zakrętem zjechała na pobocze. Dyrektor Soliwoda był starym znajomym ojca, jeszcze z czasów szkolnych.

Wysiadł z samochodu i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Wracasz z polowania? Mogę cię podrzucić do Szczytna.

– Bardzo dziękuję... Tylko że pies ma brudne łapy.

– Nie przejmuj się, coś mu tam rozłożymy na tylnym siedzeniu. Jeśli obiecasz, że ten ptak mnie nie zadziobie – powiedział wskazując na jastrzębia – to możesz wsiadać.

Dolar ożywił się na widok samochodu, był bowiem zwolennikiem motoryzacji, szczególnie teraz, gdy jego krótkie łapy przedreptały około dziesięciu kilometrów.

– Chyba nie złapałeś tego jastrzębia w powietrzu? – zapytał Soliwoda uruchamiając silnik. Wysłuzona staruszka wystartowała jak samochód rajdowy. Ptak, dotąd spokojny, podjął nową próbę wydostania się na wolność. Stefan opowiedział krótko, w jaki sposób wszedł w posiadanie jastrzębia.

– Myślisz, że matka zgodzi się na takiego lokatora? – spojrzał sceptycznie na zakrzywiony dziób.

– Myślę, że się nie zgodzi. Mam zamiar ulokować go na strychu. Myślę, że na to też się nie zgodzi – dodał z wahaniem. – Mam zamiar zrobić to w tajemnicy, dlatego mam do pana prośbę... – zerknął niepewnie na kierowcę.

– W porządku, ja nic nie widziałem – rzekł Soliwoda domyślnie i Stefan odetchnął z ulgą.

Wśliznął się do domu niepostrzeżenie, ściągnął z wieszaka klucz od strychu i gdy już był na progu, drzwi zaskrzypiały niemiłosiernie.

– To ty, Stefan? – rozległ się z kuchni głos matki.

– Zaraz wracam – krzyknął przez szparę w drzwiach – odprowadzę tylko psa do Krzycha!

Na górze panował półmrok, poruszał się po omacku. Z trudem otworzył kłódkę. Postawił jastrzębia na przewróconym do góry dnem koszu, zdjawszy mu uprzednio chusteczkę. Ptak rozłożył skrzydła i zatoczył się niezdarnie. Ukryty za nogą Stefana Dolar warczał barytonem. Wycofali się ostrożnie.

Po kilkunastu minutach wrócił tu z Krzysztofom. Przez kilka minut patrzyli zafascynowani na wciśniętego w kąć jastrzębia, który na ich wejście zareagował jedynie rozchyleniem dzioba.

– Pomożesz mi go opatrzyć? – zapytał Stefan. – Sam nie dam sobie rady.

Gdy zeszli do mieszkania i zakomunikował matce, że ma zamiar zrobić porządek na strychu, na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Prosiła go o to wprawdzie już kilkakrotnie, ale ta nagła gotowość wydała się jej podejrzana.

– Może przy okazji wygrzebiemy coś ciekawego – pospieszył mu z pomocą Krzysztof.

– Porządek na strychu? Oczywiście, że możecie – wykrztusiła wreszcie z niedowierzaniem. – Chętnie bym wam pomogła, ale właśnie przygotowuję obiad na jutro.

– Poradzimy sobie sami! – krzyknęli chórem.

Krzętałi się po mieszkaniu przygotowując wiadra i szczotki, dyskretnie upychając po kieszeniach środki opatrunkowe. Zamknęli się na strychu i przystąpili do skomplikowanej operacji. Złamanie łapy wyglądało fatalnie, postanowili więc założyć łupki, ale kości skrzydła były nienaruszone. Ptak stracił w walce dużo nośnych piór, ucierpiały także ścięgna na skrzydle. Stefan wyciął łupki z przeciętego patyka, wymościł je watą i zacisnął mocnym bułgarskim plastrem pozostawiając dopływ powietrza. Rany przemyli spirytusem, także własne, bo każdy z nich otrzymał po kilka mocnych uderzeń dziobem. Po wykonaniu wszystkich tych czynności cała trójka była kompletnie wyczerpana. Jastrząb zaszył się w kącie i zmarł w bezruchu, chłopcy siedzieli na skrzyni i podziwiali swoje dzieło.

Pierwszy odezwał się Krzysztof.

– Myślisz, że on z tego wyjdzie? – zapytał.

– To ona. Samice jastrzębi są większe od samców... Kiedyś poskładałem poharataną srokę, myślę, że i tym razem się uda. To silny ptak.

– Jest wspaniała.

– W lesie nie miałyby szans. Nie potrafiłaby zdobyć pożywienia i szybko stałaby się ofiarą psa albo lisa.

– Trzeba ją jakoś nazwać – powiedział Krzych.

Po dłuższej naradzie zdecydowali się na dźwięczne imię Mirza. Po godzinie strych był uprzątnięty, przy czym kierowano się głównie wygodą jastrzębia. W starej miednicy wymoszczono mu coś w rodzaju gniazda, róg jeleni przymocowany do ściany miał mu w przyszłości zastępować gałąź. Stefan ustawił w kącie naczynie z wodą i posiekane wołowe mięso, które wykrał matce spod ręki. Ptak nie zwrócił najmniejszej uwagi na pożywienie.

– Trzeba ją teraz zostawić w spokoju – zdecydował po namyśle.

Na schodach poczuli zapach pieczonego ciasta. Na stole czekały na nich bułeczki z kapustą, specjalność pani Olberowej. W ciągu kilku minut pochłonęli kopiastrą micę.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Mirza jest piękna. Jest dzika i dumna. Wiem, że nie uda mi się oswoić dorosłego drapieznika, ale chciałbym ją uratować. Będę szczęśliwy, jeżeli któregoś dnia wzbije się w powietrze. Martwię się o nią. Dzisiaj rano zajrzałem na strych. Nie ruszyła mięsa. Chyba piła, bo

woda zniknęła, ale mogła też przewrócić miseczkę przypadkiem. Kiedy wszedłem, wcisnęła się w kąt i rozcapierzyła zdrowe skrzydło. Jest nieufna i boi się mnie, ale przecież upłynął dopiero jeden dzień. Postanowiłem nie rozstawać się z kluczem od strychu.

Krzych też wygląda na przejętego losem Mirzy, wypytywał mnie o nią i zmartwił się, że nie je. Wiem, że musi upłynąć parę dni, zanim ptak oswoi się z nową sytuacją. Staram się niepokoić ją jak najrzadziej, chociaż korci mnie, żeby tam zajrzeć.

Okazało się, że nazwaliśmy ją męskim imieniem. Krzych sprawdził to w słowniku. Mirza to po persku syn księcia. Nazywano tak wodzów tatarskich. Nie zgodziłem się jednak na zmianę imienia. Mirza pasuje jak ulał do mojej jastrzębicy.

Przez nią zapomniałem na chwilę o tej przygodzie z Martą i o tym, co powiedział Krzych. Wiem, że powinienem dzisiaj do niej podejść. To byłoby normalne, ale jakoś się nie złożyło.

Gdy wszedł do pokoju, Krzych studiował zapamiętałe atlas ptaków.

– A, to ty – powiedział podnosząc wzrok znad książki.

– Nie.

– Czyżbyś się zmienił nie do poznania? – zdziwił się i nie czekając na odpowiedź zaczął się rozwodzić nad zwyczajami jastrzębi. Zapytał o Mirzę, wysłuchał z uwagą krótkiej relacji wtrącając kilka fachowych uwag. Wyglądało na to, że w ciągu paru godzin zajął się poważnie ornitologią. Gdy wyczerpali ptasi temat, Stefan powiedział:

– Przemyślałem sprawę... Chyba nie miałeś racji.

– Nie miałem racji? – zmarszczył czoło, widać było, że nie wie, o czym mowa.

– Mówię o tych objawach – wyjaśnił Stefan.

Krzych przyglądał mu się z uwagą znad okularów. Wyglądał przez chwilę jak belfer, który ma przed sobą ucznia mówiącego nie na temat.

– Jeśli nawet masz rację, w co wątpię – ciągnął Stefan nie zrażając się – to w bardzo małym stopniu. U mnie to musi być zupełnie niegroźne.

Dopiero teraz w oczach Krzysztofa pojawił się błysk zrozumienia.

– Ja z tym mogę żyć zupełnie normalnie – kontynuował Stefan. – W ogóle o niej nie myślę, chyba że w wolnych chwilach, wiesz, z nudów...

Krzych starał się nadać swojej twarzy neutralny wyraz.

– Widzisz? Nie pomyślałeś zupełnie, że to się mogło u mnie wziąć na przykład z nudów – stwierdził z triumfem.

Krzych dał znak, że rzeczywiście nie pomyślał o tym.

– Poza tym dzisiaj się sprawdziłem – dodał Stefan.

– Jak mam to rozumieć? – padło uzasadnione pytanie.

– Wyobraź sobie – odpowiedział usiłując nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie – że przez całą godzinę patrzyłem na nią... Normalnie... I nic.

– Całą godzinę? – w jego głosie brzmiało niedowierzenie.

– Lekcyjną. Na biologii – sprecyzował Stefan.

– Czy ona wiedziała, że na nią patrzysz? – wyglądało na to, że wzbudził żywe zainteresowanie przyjaciela.

– Raz na mnie spojrzała – relacjonował Stefan – krótko, a ja patrzę sobie dalej obojętnie, rejestruję: włosy ma, głowę, oczy.

– I tak dalej – przerwał mu Krzysztof – domyślam się, że nic jej nie brakuje.

– Potem jeszcze raz na mnie spojrzała – kontynuował nie zrażając się uwagą przyjaciela – jakby trochę dłużej.

– A ty nadal obojętnie? – domyślił się Krzych, przez cały czas patrząc na niego podejrzliwie.

Skinał głową.

– Właśnie. Wreszcie popatrzyła na mnie uważniej, a potem przygryzła wargę... O tak mniej więcej...

Miał teraz okazję docenić zdolności mimiczne kolegi.

– A ty nadal przyglądałeś się jej obojętnie? – tym razem w głosie Krzysztofa pojawiła się nuta sceptycyzmu.

Stefan zawahał się.

– Niezupełnie... – przyznał niechętnie. – Tak mi się dziwnie zrobiło bez najmniejszego powodu. Jakby gorąco. Zresztą to zaraz przeszło... Co o tym myślisz? – zwrócił się do przyjaciela.

Krzych wolno pokiwał głową i wydał wargi.

– Niestety, miałem rację – powiedział powoli. – Jest niedobrze, jest nawet gorzej, niż przypuszczałem.

– Stary! – żywo zaprotestował Stefan niemal podrywając się z miejsca. – To tylko jeden moment na czterdzieści pięć minut! Wypada poniżej jednego procenta. Prawie nic! – gorączkowo szukał ratunku w statystyce.

Krzych machnął niecierpliwie ręką.

– Zostaw tę księgowość i puknij się w baniak! – pokiwał głową z politowaniem. – Patrzysz na dziewczynę przez całą lekcję, a jak ona tylko spojrzy na ciebie, robi ci się gorąco! I ty chcesz mi wmówić, że to jest normalne.

Stefan skurczył się. Przez chwilę gorączkowo porządkował myśli.

– To był eksperyment – powiedział wreszcie niezbyt wyraźnie i bez przekonania. – Chciałem zobaczyć, co ja w niej widzę. Potem to przemyśleć i się odzwycząić...

Wyglądał żałośnie. Krzych westchnął.

– Spróbuję cię z tego wyciągnąć – powiedział po namyśle.

– Jak? – w oczach Stefana pojawiło się ożywienie. Patrzył na kolegę z nadzieją i respektem.

– Sugestią – stwierdził z mocą. – Sugestia i hipnoza dają zupełnie dobre rezultaty przy odwyku.

Stefan miał wątpliwości, czy tego rodzaju przypadłość można zakwalifikować jako nawyk, ale Krzych zbył go machnięciem ręki.

– Siadaj w pozycji pełny relaks, a ja poszukam czegoś do pisania.

Stefan wzruszył ramionami z rezygnacją i rozwalił się na pryczy opierając nogi na półce regału. Krzych miotał się po pokoju przerzucając serty rupieci w poszukiwaniu długopisu.

– To będzie rodzaj testu – wyjaśnił sadowiąc się na krześle.

Pacjentowi było wszystko jedno.

– Masz jej zdjęcie? – zapytał, a spojrzenie kolegi wystarczyło mu za odpowiedź. – Obejdziemy się bez niego. Sporządzimy jej rysopis pamięciowy – zaczął pospiesznie rysować jakieś rubryki, a Stefan przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Mam nadzieję – zamruczał Krzych – że zanim cię zaślepiło, zdążyłeś zauważyć, jak ona wygląda...

Wzruszył ramionami na tę uwagę. Krzych z satysfakcją spoglądał na spreparowaną kartkę.

– Dobra – powiedział zacierając ręce – zaczynamy od głowy – widać było, że jest w swoim żywiole. – Włosy – rzucił wpatrując się w kartkę.

– Są włosy – zameldował Stefan spoglądając w sufit. Na chwilę zawładnęła nim melancholia.

Krzych skierował na niego znad okularów karcące spojrzenie.

– Gdyby w naszej budzie była łysa dziewczyna, wszyscy by ją znali doskonale, przynajmniej z widzenia – pastwił się nad leżącym.

Stefan patrzył na niego niezbyt przytomnie.

– Podaj kolor – rzucił Krzych wzdychając.



– No, jasne – odpowiedział Stefan.

Krzysztof znał Martę z widzenia i coś mu się w tym opisie nie zgadzało.

– Blondynka? – zapytał marszcząc czoło.

– Nie, nie – sprostował Stefan – takie szare. Szatynka – zdecydował się wreszcie.

Krzych skrzywił się jak niechętny egzaminator, gdy uczeń usiłuje nieudolnie odgadnąć właściwą odpowiedź na pytanie.

– Oczy – rzucił, beznamiętnie notując coś na kartce.

– Zielone... To znaczy szare – poprawił się natychmiast.

Krzych odłożył długopis i przyjrzał się koledze uważnie.

– Jedno zielone, drugie szare? Jak mam to rozumieć? – przemknęło mu przez myśl, że Stefan nie tylko popadł w tarapaty uczuciowe, ale do tego zwariował.

– Zwariowałaś? – odezwał się Stefan jak echo. – Pod światło to raczej zielone, ale normalnie szare.

Tym razem był zadowolony z odpowiedzi. Nabazgrał coś szybko na kartce. Stefan wyciągnął szyję, żeby to odczytać, ale zaliczył tylko tak zwaną „blachę”.

– Nawet pod światło jej się przyjrzał – mruknął Krzych uśmiechając się pod nosem. Nos dziewczyny natomiast okazał się prosty w wersji Stefana. Ta odpowiedź Krzychowi jednak nie wystarczyła. Interesował go rozmiar tego organu. Stefan zdecydował się określić nos dziewczyny jako mały. W związku z czołem miał trochę wątpliwości, Marta nosiła grzywkę.

– Czyli niskie – zdecydował za niego Krzych. Mruczał coś pod nosem wpisując dane antropologiczne. – Wzrost średni?

– Dość wysoka.

– Znakomicie! – ucieszył się niespodziewanie Krzych. – Jej wagi pewnie nie znasz, mów więc na oko.

– Ona jest szczupła... Delikatna – dodał nieco ciszej. Chciał dodać coś jeszcze, ale Krzych przerwał mu dość obcesowo.

– Dobra, dobra... Przejdźmy do nóg ale mów konkretnie.

– Masz na myśli numer buta? – zdziwił się Stefan.

– Chyba że nosi dwunastkę. Interesuje mnie ogólny wygląd nóg, odtąd dotąd – odmierzył odległość od biodra do ziemi.

– Nogi ma długie, szczupłe – odpowiedział cichym głosem i zamyślił się.

– Tułów – warknął Krzych potrząsając go za ramię.

– Co tułów? – zamrugał szybko oczami.

– Ogólnie i bez wstawiania koloru – pogroził mu ankieter.

– No to... normalny – odrzekł z wahaniem. Miał wrażenie, że te zwykłe oschłe słowa nie są w stanie opisać niezwykłego zjawiska, jakim jest ładna i zgrabna dziewczyna. Z tego powodu ogarnął go smutek.

– No to dane już mamy – Krzych z satysfakcją przyglądał się wypełnionym rubrykom. – Teraz zajmij się czymś przez chwilę, a ja podsumuję wyniki i wyciągnę właściwe wnioski – wetknął mu do ręki piłkę tenisową. – Możesz się pobawić tym, to chwilę potrwa.

Stefan posłusznie przyjął piłeczkę i natychmiast zaczął ją odbijać o ścianę łapiąc na przemian lewą i prawą ręką. Po kilku sekundach osiągnął miarowy rytm. Ręce poruszały się bez wysiłku w leniwym tempie. Czynność ta podziałała na niego uspokajająco, tkwił w niej jakiś załazek harmonii: punkt, w którym piłka stykała się ze ścianą, i obie dłonie tworzyły wierzchołki równoramiennej trójkąta.

– Jeszcze chwila – rzucił Krzych pochylony nad kartką.

Stefan od kilkudziesięciu sekund odbijał piłkę jak w transie.

– A teraz posłuchaj uważnie – odezwał się Krzych wstając.

Piłka dalej postukiwała miarowo w ścianę.

– Wymieniona osobniczka – ciągnął Krzysztof – odznacza się następującymi cechami zewnętrznymi: włosy wyblakłe, nieokreślony kolor oczu...

Uderzenia piłki następowały teraz w dłuższych odstępach.

– ... przedwcześnie rozwinięta – kontynuował ankieter – czoło niskie, znaczne dysproporcje w budowie ciała, biorąc pod uwagę stosunek nóg do tułowia...

– Co to jest?! – wrzasnął Stefan. Piłka zamarła nagle w jego dłoni.

– To prawda, która cię uzdrowi – odpowiedział Krzych cofając się o krok.

– Co to jest?! – powtórzył tym samym tonem miażdżąc piłkę w rękę.

– To jest twój obiekt uczuciowy opisany w sposób bezstronny – powiedział Krzych wysuwając kartkę. Stefan zbił jego rękę kantem dłoni. Świstek papieru opadł na podłogę.

– A chcesz w michę? – zaproponował Stefan cichym głosem. Rzucona celnie piłka uderzyła w sam środek kartki.

– Chcę tylko twojego dobra... – odpowiedział Krzych schylając się ostrożnie. – Dobra, dobra... – dorzucił pospiesznie drąc papier. – Nic z tego nie rozumiałeś – powiedział z wyrzutem.

– Wszystko zrozumiałem, mam dobry słuch! – warknął niewdzięcznik układając dłoń do ciosu.

– Miałem zamiar sugestią zniechęcić cię do obiektu uczuciowego – starając się zachować spokój, co w obliczu desperata nie było łatwe, Krzysztof wyjaśniał teoretyczne założenia eksperymentu.

– Żebym ja z ciebie nie zrobił obiektu latającego! Żebym ja cię nie zniechęcił! – w tym stanie ducha Stefan nie przejawiał żadnego respektu dla nauki. Wyglądało na to, że groźba jest poważna, bo wykonał przymiarkę do paru niebezpiecznych uderzeń i Krzych musiał wykorzystać znajomość zasłon.

– Wiem, że w tym stanie jesteś groźny dla zdrowia – starał się odwrócić jego uwagę. Stefan gotował się do ataku. – Ostatni raz w życiu pomagam tonącemu.

– Tobie samemu woda zalała mózg – odciął się Stefan. Opuścił jednak ręce z rezygnacją.

– Widzę, że jesteś stracony – powiedział Krzysztof kiwając głową ze smutkiem.

– Bronię prawdy – odpowiedział Stefan z godnością.

– W porządku, samuraju prawdy – odrzekł Krzysztof z przekąsem. – Przyznaję, że ta twoja dziewczyna jest ładna i foremna. To chciałeś usłyszeć?

– To nie jest wcale moja dziewczyna – zamruczał Stefan marszcząc brwi. – Ale i tak powinieś zjeść ten papier – dorzucił ponurym głosem.

– Z papierem są trudności – odrzekł Krzych starannie składając strzępki. – Oddam to na makulaturę... – przez chwilę patrzył na przyjaciela kręcąc głową z niedowierzaniem. – Popatrz, popatrz, jaki się drażliwy zrobił, a przyszedł do mnie po poradę. Dobre rady usłyszysz ode mnie w punktach na własnym pogrzebie – powiedział złowieszczym tonem. – Będzie to brzmiało mniej więcej tak – namyślał się chwilę jak improwizujący mówca, który szuka natchnienia – ... Niżej wymieniony, a raczej niżej położony – perorował wspomagając słowa teatralnymi gestami – znalazł się w tym nieodwracalnym położeniu z powodu odchylenia psychicznego w kierunku dziewczyny...

– Nie wysilaj się – Stefan przerwał nagle ten potok wymowy.

– Nie chcesz posłuchać? – Krzych wytrzeszczył oczy i uniół brwi, co miało oznaczać kompletne zdumienie. – Może to twoja ostatnia okazja za życia. Zastanów się, masz szansę poznać całą prawdę o sobie.

Z wyrazu twarzy Stefana wywnioskował, że nawet cała prawda nie interesuje kolegi.

– Idę – stwierdził Stefan krótko.

– Cała przyjemność po mojej stronie – Krzysztof popchnął go lekko w stronę drzwi. Po drodze wetknął mu do ręki jakąś książkę. – Masz, poczytaj sobie. Za trzy dni chcę to mieć z powrotem.

Stefan nie spojrział na okładkę. Wziął książkę i wyszedł w milczeniu.

Krzych wrócił do pokoju, zebrał z biurka strzępki papieru i wrzucił je do kosza. Przez chwilę patrzył przez okno za odchodzącym. Stefan nie odwracając się podniósł zaciśniętą rękę. Krzych kiwnął głową, choć tamten nie mógł tego widzieć. Uśmiechnął się pod nosem i westchnął.

Stefan minął drzwi swojego mieszkania i udał się na strych. Wszedł bezszelestnie do pogrążonego w półmroku pomieszczenia i przysiadł na skrzyni. Mirza poruszyła się niespokojnie. Jego oczy powoli oswajały się z ciemnością. Zauważył, że woda ponownie zniknęła, ale pożywienie pozostało nienaruszone.

Wieczorem wyrzucając śmieci z własnej inicjatywy, co roztkliwiło matkę, wymknął się na strych jeszcze raz. Przyniósł świeżą wodę i trochę mięsa. Mirza przybrała wojowniczą postawę, ale tym razem nie uciekła do kąta. Coś go uderzyło w jej sposobie poruszania się, dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że ptak zaczął używać opatrzonej łapy, od czasu do czasu opierał ją o podłogę na ułamek sekundy i powodowany bólem podnosił szybko. Stefan roześmiał się bezgłośnie. Na wyleczenie było jeszcze za wcześnie, ale rokowania wyglądały teraz nie najgorzej.

Wszedł do domu z rozjaśnioną twarzą. Matka spojrzała na niego i zamyśliła się. Zachowanie syna wzbudziło w niej liczne podejrzenia. Poprzedniego dnia posprzątał strych, teraz znowu przez nikogo nie nagabywany wyniósł śmiecie, a do tego uśmiecha się bez najmniejszego powodu. Pełna najgorszych przeczuć drżącymi rękami ujęła słoik typu twist, palce ześliznęły się po mokrej powierzchni i rozległ się brzęk tłuczonego szkła. „Szkło bije się na szczęście” pomyślała odpędzając od siebie złe myśli. Z pokoju wyjrzał ojciec z gazetą w rękę. Nic nie powiedział, ale przyglądał się ze złośliwą satysfakcją, jak w pośpiechu zgarnia okruszki. Wraz ze Stefanem miał na sumieniu większość stłuczek. Matka podejrzewała ich nawet o sabotaż.

– Może ci pomóc, kochanie – odezwał się wreszcie głosem pełnym fałszywej słodyczy.

Matka spojrzała na niego spod oka, więc pospiesznie zniknął za drzwiami.

– Słyszałeś? – mrugnął do Stefana. Chłopak skinął głową obojętnie.

– Jej się to nigdy nie zdarza – powiedział z przekąsem i zachichotał, a potem, lekko urażony, że syn nie podziela jego dwuznacznej satysfakcji, ostentacyjnie zagłębił się w gazecie.

O wpół do dziesiątej Stefan był już w łóżku. Przez pół godziny czytał książkę pożyczoną od Krzycha, a potem zasnął głęboko, niemal natychmiast po zgaszeniu światła.

Matka krzątała się po kuchni sporządzając weki z zakupionej na targu cielęciny. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że zabraknie jej słoików. Obliczyła je starannie, ale jeden się stłukł. Zapukała do łazienki.

– Kazik! – starała się przekrzyknąć szum wody – musisz pójść do piwnicy, potrzebny mi jest słoik!

– Słoiki są na strychu – odpowiedział pan Olber wyjmując z ust szczoteczkę do zębów.

– Wszystko jedno – nalegała pani Olberowa.

– Właśnie myję głowę! – wpadł na szczęśliwy pomysł w ostatniej chwili. Wetknął błyskawicznie głowę pod strumień wody i zaczął na oślep wychłapywać szampon. Pani Olberowa zasłabłaby z wrażenia widząc, że jej mąż zużył taką ilość cennego płynu, która wystarczyłaby do umycia rodziny orangutanów.

– Trudno, pójde sama – odpowiedziała z rezygnacją, a jej mąż mrugnął filuternie do swego odbicia w lustrze. Uznał, że jest człowiekiem niezwykle przebiegłym.

– Nie mogę znaleźć klucza! – dobiegł go po chwili głos żony.

– Przecież wisi na wieszaku! Zawsze tam jest! – krzyknął przez drzwi wycierając głowę szorstkim ręcznikiem. Nie po to mył głowę, żeby latać na strych.

Pani Olberowa przypomniała sobie, że ostatnią osobą, która przebywała na strychu, był Stefan. Kieszenie kurtki były jednak puste. Na palcach wsunęła się do pokoju syna. Usłyszała

miarowy oddech człowieka głęboko pogrążonego we śnie. Na chwilę ogarnęła ją matczyzna tkliwość. „To przecież jeszcze dziecko” pomyślała omijając nogi wystające z przykrótkiego łóżka, a wygląda już prawie jak dorosły”. Zdziwiła się, gdy nie znalazła kluczy także w spodniach. Zdecydowała się zapalić małą lampkę, chłopak nie powinien się obudzić. Gdy zabłyśło światło, przewrócił się na bok, a matce wydało się, że pod poduszką usłyszała metaliczne szczeknięcie. Kluczy nie było także w biurku, czyżby więc spał z nimi pod głową? Jej ręka natrafiła najpierw na jakąś książkę, potem coś zabrzęczało. A więc jednak miał je pod poduszką. Dziwne... Odruchowo rzuciła okiem na tytuł i wydała cichy okrzyk. Nie gasząc światła, pełna najgorszych przeczuc, popędziła na strych.

Słyszac trzaśnięcie drzwi pan Olber odetchnął z ulgą. Odczuwał teraz jednak lekkie wyrzuty sumienia, więc stał podłogę w łazience, zakręcił szampon i tubkę, a następnie zabrał się do mycia wanny. Wtem rozległo się walenie w drzwi.

– Otwórz natychmiast! – to krzyczała żona.

– Zaraz wychodzę – postanowił dać sobie czas do namysłu.

– Szybciej! – w jej głosie wyczuł narastającą niecierpliwość, spuścił więc wodę i wyjrzał ostrożnie.

– Co się stało?

Pani Olberowa była blada i nie mogła opanować drżenia rąk.

– Tam jest coś strasznego! – popychała go w stronę drzwi.

– Gdzie!? Oszalałaś, gdzie ty mnie ciagniesz? Nie widzisz, że mam mokrą głowę – oponował pan Olber.

– Idź tam natychmiast i zobacz na własne oczy! – powiedziała to głosem nie znoszącym sprzeciwu.

– Przecież mogę się przeziębic i umrzeć! – zaprotestował gwałtownie czując chłodny powiew na klatce schodowej. – Nie zapominaj, że mam żonę i dziecko na utrzymaniu. Powiedz najpierw, co się stało?

Opowiedziała chaotycznie i z przejęciem o niesamowitej przygodzie. Kiedy otworzyła drzwi na strychu, coś nagle rzuciło się na nią. Nie wiedziała, co to jest, ale było to niewątpliwie coś strasznego. Coś jakby duch.

Pan Olber nie wierzył oczywiście w duchy, ale znał ich zwyczaje. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że jeszcze nie ma jedenastej.

– Wierysz w duchy? – rzucił po męsku z nutą pogardy.

– Tam coś było! – upierała się kobieta.

– E, pewnie mysz. Nigdzie nie pójde, niedawno miałem grypę – zdecydował po namyśle.

– Bądź raz mężczyzną! – krzyknęła pani Olberowa, ale jej mąż jakoś się nie kwapił. Może nie chciał być mężczyzną, a może uważał, że jest nim w wystarczającym stopniu. Żona skierowała na niego wzrok starając się zawrzeć w spojrzeniu śmiertelną dawkę pogardy. Pan Olber tylko ziewnął na znak, że jest na takie spojrzenia uodporniony.

– Jutro się sprawdzi – rzekł sennym głosem. – Daj klucz i nie zawracaj sobie tym głowy. Widocznie mózg rozgrzał ci się przy gotowaniu tych weków i masz przywidzenia.

– Nie położę się, dopóki nie będę miała słoika – zapowiedziała pani Olberowa zakładając ręce na piersiach. – A do tego klucz został na strychu – dodała mściwie.

Pan Olber westchnął używając do tego celu ogromną dawkę powietrza i mruczac coś pod nosem udał się na strych. Chłód otrzeźwił go. Na wszelki wypadek szedł po schodach na palcach. Duchy wykluczył. Jak powszechnie wiadomo duchów nie ma, a po drugie straszą po północy. Może to jakiś przestępca? Miał nadzieję, że do tego czasu ukradł już coś niezbyt wartościowego i zdążył uciec. Nie dlatego, żeby odczuwał lęk przed złodziejem, o nie. Po prostu człowiek w szlafroku nie najlepiej się czuje w roli pogromcy przestępców, może się nawet narazić na śmieszność. Zresztą najpewniej było to przywidzenie albo przeciąg.

Na wszelki wypadek otworzył drzwi bardzo ostrożnie. Na strychu panowała kompletna cisza. Myśląc coś niezbyt pochlebnego o kobietach w ogóle, a o swojej żonie w szczególności, przekreślił kontakt; światło zabłysło na moment i zgasło, ale to wystarczyło, żeby zobaczył coś, co wprawiło go w osłupienie. Pan Olber natychmiast zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami, oczywiście na wszelki wypadek. Powoli zebrał myśli. Myślą pierwszą było wrócić do domu i udać, że nic się nie wątpliwie, żona miała rację, coś tam było i widziało. No, ale przecież nie wypada. Nie, to nie byle co. Widział przecież na własne oczy żółte ślepie, które błysnęły złowrogo jak u bazyliuszka. Zebrał się w sobie i jeszcze raz otworzył drzwi zachowując daleko posuniętą ostrożność. To coś rzuciło się już na jego żonę. On sam gotów był wprawdzie stawić czoła o wiele groźniejszym stworzeniom, ale nie w szlafroku.

Gdy światło żarówki zaalało pomieszczenie, poczuł się nieco pewniej. Tym razem wystarczył mu jeden rzut oka, żeby zorientować się, że jest to sprawka Stefana.

Żona czekała na niego na schodach. Odczuwała wyrzuty sumienia, że pozwoliła pójść mężowi samemu, ale usprawiedliwiała się przed sobą, że musi być przecież ktoś, kto w razie czego wezwie pomoc.

Pan Olber miał zastanawiające spokojny wyraz twarzy i nonszalancko pobrzękiwał kluczami. Minał ją bez słowa.

– Co to było? – zapytała drżącym głosem zatrzasnąjąc zasuwę, a nawet łańcuch, czego zwykle nie robiła.

– Ptak – padła krótka odpowiedź.

– Jaki ptak? O czym ty mówisz? – była przekonana, że się przesłyszała.

– Nie znam się na ptakach – odpowiedział spokojnie pan Olber. – To mogła być sowa albo orzeł. Na pewno nie kura.

– Orzeł na strychu? – zdumiała się żona i zamarła w bezruchu z rozchylonymi ustami. Nagle zaświtała jej w głowie jakaś myśl. Spojrzeli na siebie wymownie i bez słowa udali się do pokoju syna.

Stefan śnił właśnie, że jest z Martą w łódce. Tafla jeziora była cicha i gładka. Dziewczyna pocałowała go w usta i patrząc z miłością i oddaniem powiedziała niespodziewanie grubym głosem: „Wstawaj natychmiast!” Wstał posłusznie, łódka zachwiała się i poczuł, że wpada do wody. „Co to ma znaczyć?!” krzyknęła Marta z łódki barytonem, w którym rozpoznał głos ojca i nim dotknął stopami dna, zobaczył nad sobą twarze rodziców.

Mrugał oczami powoli wracając do przytomności.

– Stefan, masz nam natychmiast wyjaśnić, co ten ptak tam robi! – powiedziała matka.

– Spokojnie – przerwał jej ojciec. – Na strychu jest ptak niewiadomego pochodzenia. Chcę wiedzieć, co to znaczy!

– To jest jastrząb – powiedział Stefan przecierając oczy.

– Widzisz, dobre sobie – ojciec zwrócił się do matki – on mówi, że to jest jastrząb. Dobrze, że nie orzeł.

Matce było wszystko jedno.

– Nie chcę słyszeć o żadnym jastrzębiu, dosyć już było nieszczęść w tym domu! – zaprotestowała stanowczo matka. – Miejsce jastrzębia jest w lesie albo w ogrodzie zoologicznym!

– Spokojnie – wtrącił ojciec. – Matka ma rację. To niedopuszczalne. Sroka, to jeszcze rozumiem, ale żeby jastrząb, do tego bez uzgodnienia z rodzicami, to jest kompletny brak dyscypliny.

– Po tej sroce pół roku szukałam obrączki – przypomniała sobie matka. – A ten twój jastrząb mało mi nie wydziobał oczu.

– To niemożliwe, ona jest ranna, ledwo się rusza – zaprotestował Stefan.

– Przecież nie powiedziałam, że mi wydziobał, ale zrobi to na pewno – spuściła jednak oczy.

– A teraz melduj, jak to było – rzucił ojciec.

Stefan opowiedział historię nie szczędząc detali. Twarz matki jakby nieco zmiękła.

– Miałem jej pozwolić umrzeć? – zapytał wreszcie.

Na dźwięk żeńskiego zaimka matka drgnęła gwałtownie.

– Komu? – jej głos zadźwięczał ostro.

– To samica – wyjaśnił Stefan. – Pewnie będzie miała młode.

Matka spojrzała bezradnie na ojca. Wyobraziła sobie trójkę puchatych, kompletnie bezbronych piskląt.

– Żeby mi to było ostatni raz! – powiedział stanowczo pan Olber, jakby znajdowanie rannych jastrzębi zdarzało się w tym domu nagminnie.

– To znaczy, że ona może zostać? – w głosie Stefana ozwała się nadzieja.

– Tego nie powiedziałem – powiedział ojciec spoglądając ukradkiem na matkę.

– Żebyście wiedzieli, że w życiu na strych nie pójde, dopóki to straszycie tam będzie! – matka okrasiała to twierdzenie nadzwyczaj groźną miną.

W oczach Stefana pojawił się błysk triumfu.

– Jastrzęb wróci do lasu natychmiast, jak tylko będzie mógł latać – zapowiedział ojciec stanowczo.

– Oczywiście – zgodził się Stefan, choć w głębi duszy był już pierwszym w Szczytnie sokolnikiem.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Tym razem mi się udało. Mirza została uznana oficjalnie, wprowadzie tylko na okres rekonwalescencji, ale to się jeszcze okaże. Czas pracuje na naszą korzyść. Zapomniałbym o najważniejszym – moja szponiasta ptaszyna po raz pierwszy zjadła posiłek, co jest niezawodną oznaką wracania do zdrowia. Oczywiście na mój widok nadal robi groźną minę, ale już chyba tylko dla zasady.

Matka zrzędzi swoim zwyczajem. Uważa, że gdybym spotkał chorego niedźwiedzia albo wilka, to też bym go przywłókł do domu. Twierdzi, że jastrzęb na pewno spowoduje jakieś nieszczęście, porwie dziecko lub zadziobie jakąś sąsiadkę. Ojciec natomiast uważa, że jastrzęb może się przydać ze względu na myszy oraz jako przygotowanie do jakiejś opłacalnej hodowli, na przykład brojlerów albo lisów. Kiedy powiedziałem mu, że gołębiarza można ułożyć do polowania, zamyslił się głęboko. Pewnie wspominał świąteczny pasztet z zająca.

Ojciec siedział w pokoju pogrążony w lekturze prasy. Matka, która przygotowywała kolację, spoglądała na niego od czasu do czasu z wyraźną niechęcią.

– Odłożyłbyś nareszcie tę gazetę – odezwała się wreszcie zaczepnym tonem. – Nie ma kiedy dwóch słów z tobą zamienić. Jak nie gazeta, to dziennik.

Na słowo dziennik pan Olber drgnął, odłożył gazetę i spojrzął na zegarek.

– E, mamy jeszcze trochę czasu. Następnie spokojnie wrócił do lektury

– O, właśnie tak wygląda rozmowa z tobą – powiedziała matka oskarżycielskim tonem zwracając ostrze noża, którym przed chwilą kroїła chleb, w kierunku męża. – W ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię, nic cię nie interesuje, nic cię nie obchodzi.

Zamiast odpowiedzi usłyszała szelest gazety, przyjęła więc postawę wyczekującą, co nie znaczy wcale, że wyglądała na osobę, która ma zamiar cierpliwie czekać.

Instynkt podpowiedział panu Olberowi, że trzeba coś powiedzieć. Z trudem usiłował sobie przypomnieć, o czym przed chwilą mówiła żona.

– Nie słucham? – rzekł niepewnie. Wydawało mu się, że to powinno wystarczyć. Na wszelki wypadek dodał jeszcze:

– Więc naprawdę uważasz, że ja nie słucham... Zaraz – i najspokojniej wrócił do lektury interesującego artykułu na temat skupu żywca.

– No właśnie, tak to wygląda – wyglądała teraz jak prokurator przekonany o winie podejrzanego. – Gdybym zaczęła wołać o pomoc, też nie podniósłbyś nosa znad tych papierzysek!

Pan Olber ocknął się słysząc podniesiony głos. Wzmianka o wołaniu o pomoc skojarzyła mu się z niedawno przeczytaną relacją sądową.

– Ostatnio rzeczywiście zdarzają się napady – odpowiedział uprzejmie wskazując trzymaną w ręku gazetę. Pełne wzgardy spojrzenie żony uświadomiło mu, że lepiej ten temat zostawić w spokoju, dodał więc ugodowo: – Na człowieka przypada obecnie za dużo informacji, trzeba wybierać tylko najważniejsze.

Żona zajęła się krojeniem wędliny, więc z ulgą pogрузzył się w lekturze.

– Możesz mówić, mnie to nie przeszkadza – dorzucił zupełnie bez potrzeby.

– Jak do ściany! – jęknęła pani Olberowa. – Kryzys i kryzys, a nawet nie zauważyłeś, że masz kryzys w domu.

– W domu człowiek powinien mieć spokój – odpowiedział sentencjonalnie, podnosząc gazetę i potrząsając nią jak tarczą.

Pani Olberowa rzuciła się z nożem na serwolatkę i pocięła ją na równe plastry.

– Czytaj, czytaj – rzuciła zjadliwie. – Twój syn też czyta – dodała ze złością.

Nie widział w tym nic złego.

– Niech czyta, niech się uczy – odpowiedział jak przystało na światłego ojca. – W szkole mu wszystkiego nie powiedzą.

Pani Olberowa odłożyła nóż trochę za gwałtownie.

– A czy ty wiesz przynajmniej, co on czyta? – zapytała dramatycznym głosem.

Pan Olber tym razem okazał ożywienie.

– Co takiego? Przyniósł coś nowego? Może rzeczywiście powinienem się zainteresować... – jeśli to coś ciekawego, sam również powinien przeczytać.

– On czyta seksuologię! – dla większego efektu odczekała dłuższą chwilę, zanim zdecydowała się odpowiedzieć.

– A już myślałem, że... – nie ukrywał rozczarowania. – Pewnie to mają w lekturze – stwierdził najspokojniej w świecie przenosząc wzrok na gazetę.

– Kazik! Ty jesteś zupełnie oderwany od rodziny – podsumowała ze zgrozą. – Zastanów się, co ty mówisz!

Pan Olber zastanowił się posłusznie i doszedł do wniosku, że nie powiedział niczego niewłaściwego.

– O co ci chodzi? – zapytał wzruszając ramionami. – Przecież to ty mówisz przez cały czas.

Wyjęła mu gazetę z ręki i z powagą popatrzyła mu w oczy.

– Powinieneś zainteresować się własnym synem – spojrzała na drzwi i zniżyła głos do szeptu – zanim coś z niego wyrośnie.

Pan Olber wytrzymał wzrok żony. Uważał, że wykazuje zainteresowanie w wystarczającym stopniu.

– Dzisiaj czyta seksuologię, jutro zacznie palić narkotyki – sama się przestraszyła tego proctwa i spojrzała na męża trochę spłoszona.

– W domu nie pali. Poczulbym – stwierdził spokojnie pan Olber i odebrał gazetę. Miał bowiem dobry węch, a po drugie nie dokończył lektury. – Poza tym trenuje – dodał dla świętego spokoju. Spojrzenie żony przebiło gazetę i ugodziło w pana Olbera zmuszając go do podniesienia głowy.

– O co ci chodzi właściwie? – zapytał z rezygnacją.

– O to, żebyś poświęcił trochę czasu na wychowanie. Stefek potrzebuje męskiej ręki.

– Żebyś tego nie żałowała – w jego głosie pojawiła się niespodziewanie groźba. – Sama tego chciałaś! – gotów był wykonać hurtem wszystkie niezbędne czynności wychowawcze. – Gdzie on jest? – zapytał tocząc groźnie okiem.

– Co ty chcesz zrobić? – zaniepokoiła się nie na żarty. Mąż nie odpowiedział, ponieważ sam jeszcze nie bardzo wiedział, co zamierza. Oddalił się stanowczym, energicznym krokiem. Przed drzwiami pokoju syna złość opadła. Naciskając klamkę chrząknął z zakłopotaniem. Stefan siedział nad książką. Stał przez chwilę niezdecydowany, wreszcie zdecydował się usiąść.

Chłopak spojrzał na niego zdziwiony. W spojrzeniu zawarte było pytanie. Ojciec rzadko zachodził na pogawędkę.

– Nic, nic, nie przeszkadzaj sobie – powiedział zbierając myśli. – Widzę, że czytasz – stwierdził z namaszczeniem. – Czytaj, czytaj...

Stefan jednak nie patrzył na książkę.

– Można zobaczyć? – zwrócił się do niego ojciec.

Stefan spojrzał na wyciągniętą rękę, potem na ojca, a potem jeszcze raz na rękę. Wyglądało na to, że ojciec czegoś od niego chce... Wreszcie zreflektował się.

– Aha, książka... Proszę – podał ją z wahaniem. – Szukasz czegoś do czytania, tato?

Ojciec trzymał ją w ręku tak ostrożnie, jakby to była co najmniej mina przeciwczołgowa. Wolnym ruchem włożył okulary i otworzył na stronie tytułowej.

– Aha, aha – w jego głosie można było wyczuć pewną ulgę. – Hłasko? – upewnił się, jakby nie wierzył własnym oczom. – Opowiadania?

Chłopak nieśmiało wzruszył ramionami, tytuł i nazwisko autora ojciec miał przecież przed nosem.

– Słyszałem – powiedział pan Olber, żeby zachować autorytet rodzicielski. Było to zresztą zgodne z prawdą, nazwisko pisarza obilo mu się o uszy. – No tak – dodał jeszcze i powoli podniósł się z miejsca.

– Już jest kolacja? – zapytał chłopak dla podtrzymania tej wątej konwersacji.

– Co, głodny jesteś? – ojciec ocknął się z zamyślenia. – Zawołam cię, jak będzie gotowa.

Opuścił pokój ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Stefan podrapał się w głowę, a potem machnął ręką i zaczął szukać miejsca, w którym przerwał lekturę.

Pan Olber idąc do kuchni odzyskał pewność siebie. Żonę, która czyhała na niego w progu, minął już jako człowiek stanowczy i do pewnego stopnia surowy. Jako nie kwestionowana głowa rodziny. Zasiadł dostojnie, a nawet się trochę rozparł w krześle. Żona patrzyła na niego wyczekująco, ale i z respektem.

– No i co? – spytała niecierpliwie z odrobiną niepokoju.

Nie spieszył się wcale z zaspokojeniem kobiecej ciekawości. Ściągnął z talerza plasterki serwołatki i włożył go do ust, następnie przeżuł powoli. Wyjadanie z talerzy było w zasadzie zakazane, ale tym razem mógł sobie pozwolić na drobną niesubordynację. Żona udawała, że nie zwróciła na to uwagi.

– Rozmawiałem z nim. Sprawdziłem, co czyta – powiedział w końcu obojętnym tonem.

– No i co? – spytała ponownie pani Olberowa, której taka odpowiedź wcale nie zadowoliła.

– Czyta: Hłasko – opowiadania – rzekł sięgając po następny kawałek wędliny, ale tym razem został złapany za rękę. – Wczoraj czytał seksuologię – powiedziała żona z naciskiem.

– Jesteś pewna?

– Jestem. Sama widziałam.

Westchnął z rezygnacją. Że też człowiek nie może mieć chwili spokoju we własnym domu. Wstał trochę zbyt gwałtownie.

– Dobrze – rzekł tonem człowieka zdecydowanego na wszystko. – Idę do niego. Chciałaś, żebym porozmawiał, to porozmawiam!

Miał nadzieję, że żona rozmyśli się widząc jego determinację, ale pani Olberowa zniosła to z kamienną twarzą. Nie widząc odwrotu udał się ponownie do pokój a syna.

– Już kolacja? – zapytał chłopiec widząc ojca w progu.



– Jeszcze chwila – powiedział pan Olber i usadowił się na niewygodnym łóżku.

Dziwne zachowanie się ojca zmusiło Stefana do refleksji. Coś się za tym niewątpliwie kryło.

– To jeszcze raz ja – ojciec odezwał się po dłuższej chwili. – Widzisz – ciągnął z namysłem – jesteś już prawie dorosły...

Stefan poruszył się niespokojnie słysząc ten nietypowy wstęp.

– To znaczy, jesteś jeszcze niezupełnie dorosły, chociaż już nie jesteś dzieckiem – poprawił się pan Olber. Ukradkiem zerknął na syna. Stefan spoglądał na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Powiem po prostu, jak mężczyzna do... – tu się zawahał. – Jak to się mówi, prawda... Więc nie będę owijał w bawełnę – rzekł ojciec i zamilkł na dłuższą chwilę. Rozglądał się po pokoju, jakby znalazł się tu po raz pierwszy w życiu. – Widzę, że utrzymujesz porządek. To dobrze. Zamiłowanie do porządku przyda ci się... w życiu – miał zamiar powiedzieć „w wojsku”, ale doszedł do wniosku, że w tej sytuacji użycie sił zbrojnych byłoby trochę nie na miejscu.

– Bo wiesz... – tu zakaszłał. „No tak” pomyślał „na pewno przebiełem się na strychu. Co za pomysł, żeby człowieka z mokrą głową narażać na przeciąg”. – No więc tak – powiedział przykładając dłoń do czoła. – Matka... – ciągnął powoli – to znaczy, twoja matka – dodał, jakby mogło tu chodzić o większą liczbę matek niewiadomego pochodzenia – powiedziała, że czytasz seksuologię.

Zapadła chwila kłopotliwej ciszy.

– Już przeczytałem – odpowiedział Stefan cichym, ale wyraźnym głosem.

Pan Olber nie spodziewał się wprawdzie takiej odpowiedzi, ale przyjął ją z wyraźną ulgą. To całkiem rozwiązywało problem. Nie musiał już podejmować zawiłych decyzji pedagogicznych. Zabronić przecież nie można, lepiej żeby chłopak dowiedział się z książki niż od jakiegoś łobuza, a z drugiej strony zachęcać nie wypada, trzeba coś powiedzieć, a nie bardzo wiadomo co.

– Przeczytałeś całą? – upewnił się ojciec.

– Mhm – mruknął chłopak. – Wczoraj oddałem książkę.

Obaj starannie unikali wymiany spojrzeń.

– No tak – odezwał się wreszcie ojciec. – Tak myślałem... No więc... kolacja gotowa... Głodny jesteś? – poprzedni temat uznał za całkowicie wyczerpany.

– Nie bardzo – padła szczerza odpowiedź.

– Ale kolacja to kolacja – stwierdził ojciec na zakończenie i opuścił pokój. Po drodze przeszedł metamorfozę i stanął przed żoną jako człowiek stanowczy.

– Możesz być spokojna – stwierdził autorytatywnie.

Okazało się, że pani Olberowa jako matka i żona nie zazna spokoju, dopóki się wszystkiego nie dowie.

– Co on ci powiedział? Przyznał się? Może mu zabroniłeś? – pytała gorączkowo.

– Krótko i po męsku – odpowiedział mąż bębniąc palcami po stole. – Tak i tak, bez owijania w bawełnę.

Brzmiało to tak stanowczo i surowo, że w matce obudziły się pedagogiczne skrupuły.

– Nie powinieneś mu przecież, tak po prostu tego zabraniać, trzeba było taktownie...

Pokiwał głową na znak, że wie co sądzić o takich radach.

– ... że w jego wieku i tak dalej... Parsknął pogardliwie nie przestając bębnić palcami po stole.

– Że ty nie potrafisz nawet takiej rzeczy po ludzku załatwić! – pokręciła głowę z dezaprobatą.

– Niczego mu nie zabraniałem – mruknął pan Olber czując, że narasta w nim uzasadnione zniecierpliwienie.

– On może stracić do nas zaufanie – zaniepokoiła się jako żona i matka.

– Jakie tam zaufanie! – obruszył się ojciec. – Przeczytał i już nawet zdążył oddać! – rąbnął pięścią w stół, aż zadźwięczały talerze. Nie dość, że najprawdopodobniej przebieł się na strychu, to jeszcze musi wysłuchiwać jakichś tam dyrdymałów.

– Jezus Maria! – jęknęła żona. – Wszystko przeczytał? – zapytała pełnym troski głosem.

– Powiedział, że wszystko.

Pani Olberowa obracała w rękę ścierkę.

– I bardzo dobrze! Mamy spokój! – stwierdził z mocą mając nadzieję, że to już koniec dyskusji.

– Oczywiście, ciebie tylko własny spokój obchodzi! – zręcznie nawiązała żona. – A to, że dzieciak się rozwija, ulega wpływom...

Przestał słuchać, ponieważ dalszy ciąg zdążył już poznać w ciągu trzydziestu lat zgodnego pożycia małżeńskiego. Pograżył się więc w marzeniach o rozkoszach stanu wolnego.

– Powinieneś nim pokierować... – głos żony przebił się do jego świadomości. – Zastanowiłeś się na przykład, dlaczego on czyta takie rzeczy?

Wymowna mina świadczyła, że nie uznał tego za stosowne.

– Naprawdę nie domyślasz się? – zdziwiła się żona. Ignorancja mężczyzn w tak oczywistych sprawach doprowadzała ją niemal do rozpacz.

Mąż nie wykazywał najmniejszego zainteresowania.

– Na pewno jest jakaś dziewczyna – powiedziała przyciszonym głosem.

Pan Olber uśmiechnął się do jakiegoś wspomnienia.

– Ja w jego wieku... – nie dane mu było jednak skończyć.

– Kazik, na miłość boską!

– Dobrze już, dobrze – zrezygnował niechętnie z kontynuowania wspomnień.

– Zaglądam któregoś dnia do pokoju, a on siedzi i patrzy w ścianę – matka zaczęła sobie przypominać fakty, które jej zdaniem mogły mieć znaczenie. – Całymi dniami potrafi się nie odzywać. Myślisz, że to normalne?

– Może powtarzał materiał – uspokajał ją ojciec. – Ja w jego wieku...

– Tylko nie zaczynaj znowu! – zachnęła się.

– Chłopak ma dużo zajęć, trenuje, czyta, ostatnio przesiaduje u tego jastrzębia – bronił go nieśmiało.

– Kiedyś wróci stamtąd bez oka. Wspomnisz moje słowa. A poza tym jestem przekonana, że zaczynają się dziewczyny. Wychowałam dwóch synów i mówię ci, że matka rzadko się myli w takich sprawach.

Pan Olber wydał jakiś nieartykułowany pomruk, trudno było na tej podstawie wnosić, co sądzi o intuicji matek. Spojrzał natomiast łakomie na zastawiony stół. Kolacja była skromna, ale apetyczna, pomyślał więc o żonie z należyty szacunkiem.

– Siadamy do stołu. Zawołaj go – zaordynowała napełniając szklanki herbatą.

– Stefan! Kolacja! – wykrzyknął pan Olber gromkim głosem.

– Nawet się nie ruszysz z miejsca – zgaśniła go żona. – Krzyknąć mogłam sama.

– Aha – zgodził się obojętnie. – Włączę telewizor, już się dziennik zaczął.

– Czy raz w miesiącu nie możemy zjeść kolacji jak ludzie? Bez telewizora?

Jej głos zatrzymał go w pół drogi.

– Oglądasz w kółko tę telewizję i nawet nie zauważyłeś, jak ludzie jedzą kolację – dodała z wyrzutem, uznała bowiem, że całość rodziny mogą ocalić jedynie wspólne posiłki.

– A widziałas, co oni jedzą na tych filmach? – odciął się bez zastanowienia, zły, że grozi mu izolacja od wieści ze świata. – Widziałas, co mają na stole? A my? Popatrz sama? – oskarżycielskim gestem wskazał serwolatkę, twaróg i dżem oraz kawałek pasztetowej.

Oczy żony stały się okrągłe i szkliste.

– To ja dwie godziny stałam, żeby dostać trzeci gatunek – w jej głosie nie było już buntu ani oburzenia, tylko żal wszystkich kobiet do całego męskiego rodzaju, który nie potrafi nie tylko docenić, ale nawet zauważyć ogromu poświęceń.

– Masz rację, Zosiu – przyznał ze skruchą – raz w miesiącu można sobie darować... Siadaj, Stefek – rzucił do syna, który pojawił się w progu.

– Włączę pudło, już się dziennik zaczął – powiedział chłopiec podchodząc do telewizora.

– Nie, zostaw!

Stanowczy głos ojca osadził go w miejscu. Na twarzy matki zauważył dziwny uśmiech.

– Czy coś się stało? – zapytał ostrożnie. Miał nadzieję, że dziwne zachowanie rodziców nie ma związku z niedawną rozmową z ojcem.

– Co się miało stać? – powiedział ojciec swobodnym tonem. – To chyba normalne, że siedzimy i jemy kolację jak ludzie, prawda?

– No tak, ale... – zaczął chłopak bez przekonania, bo jakoś nie mógł sobie przypomnieć takiego zwyczaju z rodzinnego domu. Twarz matki była jednak nieprzenikniona. Zapadła cisza. Pożywienie z trudnością przechodziło mu przez gardło. Ojciec też stracił apetyt.

– Jedz, jedz – podsunął synowi półmisek z pasztetową. – Opowiedz, co tam u ciebie słychać – powiedział to takim tonem, jakby nie widział go od miesięcy.

Matka również przestała jeść.

– W szkole? – starał się upewnić Stefan przyglądając się podejrzliwie rodzicom.

– W szkole i w ogóle. Nie samą szkołą człowiek żyje – mrugnął do żony.

– Słowo daję, że nie mam żadnych sęków! – starał się nadać swojej twarzy wyraz niewinności.

– Stefan, co to za słownictwo! – skarciła go matka.

– Możecie pójść i dowiedzieć się, naprawdę.

– Co ty taki nerwowy się zrobiłeś? – uspokajał go ojciec. – Nie musimy iść do szkoły. Mamy przecież do ciebie zaufanie, prawda Zosiu?

– Dopóki się nie zawiedziemy – powiedziała matka starając się zachować ostrożność, ale wypadło to złowroźnie.

– Mamo, naprawdę nie mam niczego na sumieniu – odezwał się tonem łagodnej perswazji.

– Synku, nam możesz przecież powiedzieć prawdę, my wszystko zrozumiemy – matka pochyliła się w jego stronę i położyła mu dłoń na ramieniu. – W końcu jesteśmy twoimi rodzicami, ja i ojciec.

Co do tego ostatniego nie miał najmniejszych wątpliwości, ale naprawdę nie domyślał się, o co im chodzi. Matka starała się okrężną drogą dotrzeć do właściwego tematu, ale ojciec zniecierpliwił się i wypalił wprost:

– Chodzi o tę dziewczynę.

– O jaką dziewczynę? – Stefan szybko mrugnął powiekami.

– Matka mówi, że masz jakąś dziewczynę – wyjaśnił pan Olber.

– Ja nic takiego nie powiedziałam! – zaparła się matka, ale spuściła oczy.

– Mamo, słowo daję – w tych kilku słowach zawarł wzgardę dla nieuzasadnionych podejrzeń.

– Czy ja coś takiego mówiłam? – zapytała nie patrząc na męża.

– Słuchaj, Zośka! – zdenerwował się pan Olber. – W gazecie tego na pewno nie było. Nie ma o czym mówić, nie musisz się tłumaczyć, Stefek. Ja w twoim wieku...

Nie skończył, ponieważ żona interweniowała po raz kolejny i Stefan nigdy w życiu nie dowiedział się, co też się ojcu zdarzyło, gdy był w jego wieku.

– Zresztą, to były inne czasy – machnął ręką odganiając wspomnienia i nagle się zniecierpliwił. Wiedział wprawdzie nie od dzisiaj, że kobiety są zmienne i potrafił nawet zaśpiewać po włosku parę taktów z „Rigoletta”: „La donna é mobile (qual piuma al vento)”, ale przewrotność własnej żony zirytowała go tym razem wyjątkowo. Machnął więc ręką powtórnie,

tym razem znacznie energiczniej i powiedział: – E, nie ma w ogóle o czym mówić! Stefek, włącz telewizor! – rzucił mściwie.

Matka własną piersią zasłoniła odbiornik.

– Nie włączaj! – krzyknęła dramatycznym głosem. – Właśnie że jest o czym mówić! – przemówiła z pasją. – Chłopak powinien mieć czas przede wszystkim na naukę!

– Tak?! – spytał pan Olber podniesionym głosem. – W takim razie sam włączę – i zaczął gramolić się zza stołu.

– Mamo, ja się przecież nie mogę uczyć przez dwadzieścia godzin na dobę – odezwał się niepotrzebnie Stefan.

– O! – wykrzyknęła matka ze zgorzeniem. – Teraz zobaczysz, do czego doprowadziłeś!

Pan Olber chciał zobaczyć, co w telewizji i wcale nie uważał, żeby do czegokolwiek doprowadził.

– Stefek, wyjdź z pokoju, muszę porozmawiać z twoim ojcem – przemówiła nieco pompatycznie.

– Mamo, kiedy naprawdę nie ma o czym mówić – starał się rozładować napięcie, ponieważ czuł, że jest przyczyną całego zajścia, choć nie poczuwał się do winy.

– Jest o czym mówić – powiedziała matka z naciskiem – tu chodzi o twoje dobro!

Usłyszawszy, że chodzi o jego dobro, zamilkł natychmiast, wiedział bowiem, że przy tego rodzaju okazji może go spotkać coś nieprzyjemnego.

– Kazik, przemów mu do rozumu, zanim będzie za późno – zaapelowała do męża, który usiłował od tyłu zakraść się do telewizora.

– Ja już swoje powiedziałem – stwierdził ojciec zmęczonym głosem. – Jak się uczy, to niech się uczy, wtrącał się nie będę, chyba że zajdzie konieczność.

Matka uznała, że właśnie zaszła konieczność, na co ojciec odpowiedział dość ogólnie, że ma jeszcze autorytet w tym domu.

– Dyscypliny uczyłem go od małego. Jak w wojsku – powiedział twardym głosem, ale zaraz dodał: – Kiedy chce przepustkę, to ją dostanie, bo mu się należy!

Tyrada na temat wojska pomieszała matce szyki.

– A ty znowu z tym wojskiem! – zaprotestowała gwałtownie. – Chłopak ma dopiero szesnaście lat, to jeszcze dzieciak, czy ty tego nie widzisz?

– Dzieciak, ale już prawie dorosły – bez wahania pogodził sprzeczności.

– Stefek, proszę cię, wyjdź na chwilę!

– Zostań synu! Ja mam ostatnie słowo w tym domu – przemówił jako głowa rodu ojciec.

– Ach, więc to tak! – zakipiała oburzeniem matka. – Więc ja już nie mam nic do powiedzenia!

– O, nie! – uniósł się pan Olber. – Możesz mówić, ale przy świadku.

Zażądała wyjaśnienia, dlaczego rozmowa ma się odbyć przy świadku, więc ojciec wyjaśnił, że chce mieć świadka na to, że jej pozwala mówić.

Stefan słuchał tego kompletnie oszołomiony. Bezprzedmiotowa scysja osiągała właśnie szczyt absurdu.

Matka zgodziła się na obecność osób trzecich, pod warunkiem, że nie będzie to dziecko.

– To jest mój syn. Jest nawet do mnie podobny – odparował z dumą pan Olber.

Na to jego żona, że i owszem, ale na szczęście ma jej charakter. Więc ojciec, że kobiety nie mają charakteru i że charakter to świadoma dyscyplina oraz że on osobiście wdroył syna do dyscypliny.

Stefan powoli przesuwał się w stronę drzwi.

– Stefek, gdzie idziesz? Przecież nie zjadłeś – przypomniała sobie.

Pan Olber natychmiast to wykorzystał jako argument na rzecz tezy, że kobiety nie mają charakteru, bo przecież przed chwilą go wyganiała, a teraz się upiera, żeby został. On osobiście pozwala, żeby syn wyszedł.

– Ale po kolacji – upierała się matka. – On się przecież jeszcze rozwija.

Pan Olber stwierdził, że darzy syna zaufaniem i w związku z tym pozwala mu się rozwijać o dowolnej porze.

– Mamo, najadłem się, już nie mogę więcej – wtrącił Stefan.

– Widzisz? Najadł się – poparł go ojciec.

Stefan rzeczywiście nie wyglądał teraz na człowieka, który miałby ochotę coś zjeść, wręcz przeciwnie.

– Nie po to stoję w kolejkach, żeby się marnowało! – upierała się matka, wskazując palcem stół, więc pan Olber złapał resztę serwolatki i pasztetowej i pochłonał ją błyskawicznie. Problem niedojedzonej kolacji został w ten sposób definitywnie rozwiązany, chociaż niezupełnie. Pani Olberowa miała do męża pretensję, że je bez chleba, na co otrzymała odpowiedź, że on nie po to pracuje ponad trzydzieści lat, żeby jeść suchy chleb.

Stefan tymczasem wymknął się na korytarz i cichcem zmierzał do wyjścia.

– Stefan, dokąd idziesz! – dobiegł go głos matki.

– Ty go nie kontroluj! – wtrącił się ojciec. – Powiedz lepiej, o której wrócisz – zwrócił się do syna.

Wywiązała się krótka dyskusja na temat kontrolowania wyjść i powrotów, prawa młodzieży do własnych spraw oraz prawa rodziców do nadzoru. Łatwo się domyślić, że zdania w tych kwestiach były podzielone.

– Pytam po raz ostatni, dokąd się wybierasz?! – krzyknęła matka.

Stefan miał szczerą chęć odpowiedzieć, ale znowu wtrącił się ojciec.

– Nie mów, Stefan! Ja mam do ciebie zaufanie.

Matka zawrzała gniewem.

– Nie buntuj mi dziecka! Chcesz doprowadzić do tego, żeby pomiatał własną matką! – chciała coś jeszcze dodać na ten temat, ale Stefanowi udało się ją przekrzyczeć.

– O rany! Dajcie wreszcie spokój! Idę do Krzyśka, za godzinę wracam! – otworzył drzwi i dał susa na schody. Na zewnątrz panowała kojąca cisza.

Krzych ucieszył się na widok przyjaciela, ale swoim zwyczajem nie dał tego po sobie poznać.

– Nie spodziewałeś się mnie o tej porze? – zapytał Stefan.

– Zawsze spodziewam się najgorszego, nie jestem więc zaskoczony – odpowiedział gospodarz uprzejmym tonem.

– Musisz mnie przechować przez godzinę – powiedział intruz nie zrażając się złośliwością.

– Ścigają cię? To już do tego doszło? – zdziwił się Krzych. – Za ukrywanie grozi kara pozbawienia wolności do lat pięciu. Dla mnie jesteś wart tydzień, no może dwa, ale nie pięć lat.

Stefan podziękował mu za hojność w szafowaniu wolnością i uspokoił, że na razie nie popadł w żaden konflikt z prawem. Zapewnił przyjaciela o swojej całkowitej niewinności.

– Starzy zaczęli rozmawiać na mój temat jak Polak z Polakiem – wyjaśnił na końcu.

– Wzięli cię na wychowanie – w głosie przyjaciela pojawiła się nuta autentycznego współczucia.

Wyjaśnił, że rodzice zaczęli się nim interesować nadmiernie i do tego w podejrzący sposób.

– Więc jednak jesteś o coś podejrzący? – zainteresował się Krzych.

Stefan przyznał niechętnie, że rodzice wymyślili sobie jakąś dziewczynę czy coś w tym rodzaju.

– Na pewno tę, o której nie powinniśmy wtedy rozmawiać – domyślił się Krzych. – O niej myślisz?

Zaprzeczył, jakoby myślał o jakiejś dziewczynie albo o czymś w tym rodzaju.

– To oni ją wymyślili – odciął się zdecydowanie od nieuzasadnionych pomówień.

– Niech się nie denerwuje – uspokajał go przyjaciel. – Niech sobie oddycha głęboko, dopóki powietrza nie przydzielają na kartki... Nie musimy przecież rozmawiać o jakiejś wymyślonej osobie. Nie mam zamiaru po raz drugi wtrącać się w twoje sprawy wewnętrzne – przemawiał do niego łagodnie jak do chorego dziecka.

Nie wiadomo dlaczego Stefanowi wydało się, że brzmi to obraźliwie.

– Nie mam nic do ukrycia – powiedział siląc się na całkowitą obojętność.

– No właśnie! – ucieszył się Krzych, co utwierdziło go w podejrzeniach.

– Co „właśnie”? – zapytał zaczepnym tonem. – Chyba nie powiesz, że mi nie wierzysz?

– Wierzę... – Krzych uśmiechnął się fałszywie – ale nie bardzo.

Przez chwilę mierzył go złym wzrokiem. Krzych uśmiechał się teraz pocziwie i patrzył mu prosto w oczy.

– Swoją drogą to głupi przypadek, że moja stara wymyśliła to akurat wtedy, kiedy rozmawialiśmy na ten temat – stwierdził bez większego przekonania.

– Zbieg okoliczności – przyznał Krzysztof gorliwie, ale zaraz dodał, że chyba raczej zupełnie przypadkowy. – W końcu ta dziewczyna... – chciał coś powiedzieć, ale Stefan przerwał mu z nieukrywaną złością.

– Widzę, że tobie też udzieliła się ta psychoza —warknął. – Chyba lepiej będzie, jak sobie pójde.

– Miałeś się ukrywać – przypomniał mu Krzych uprzejmie.

– Postoję sobie w jakiejś kolejce – odpowiedział nie ruszając się jednak z miejsca.

Krzych zauważył, że pora jest późna i wszystkie sklepy od dawna pozamykane.

Spojrzał na przyjaciela z wyższością człowieka doświadczonego.

– Stanę przed pierwszym lepszym sklepem i za pół godziny będę miał za sobą pięćdziesiąt osób. Idę o zakład. Przed paroma dniami stanąłem przypadkiem...

– Jako pierwszy? – zainteresował się Krzych.

Skinął głową, to przecież oczywiste.

– Trochę wiało, więc schowałem się pod sklepem. Przeglądałem sobie gazetę... Wiesz, jak to wyglądało?... – przez moment szukał odpowiedniego porównania. – Widziałeś może na filmie, jak zlatują się sępy? – rozmówca skinął głową. – Szu, szu, szu i już jest jeden, szu, szu, jest następny...

Ornitologiczne porównanie wywołało uśmiech na twarzy Krzycha.

– Najpierw przyszły dwie – ciągnął Stefan wzbogacając opowieść plastyczną pantomimą – i ta pierwsza mówi do mnie, że ta druga za nią stała, a ta druga, że przed nią jest jeszcze jedna. Chciałem wytłumaczyć, że ja tu nie stoję, ale nie pozwoliły mi dojść do słowa. Więc zacząłem się stawiać dla zasady, a trochę dla rozgrzewki. Zaraz się pokazały jeszcze dwie i stwierdziły, że te wcześniejsze, to stały na pewno, ale mnie nikt nie widział. W ten sposób przesunięto mnie o parę miejsc do tyłu. A one między sobą, że „teraz, pani, to wszystko te młode wykupują, bo nie pracują to czas majo i zdrowie, bo gdzie by się to podziewało, kochana pani”. Więc potulnie stanąłem na ostatnim miejscu i czekam, co będzie. Potem przyszło parę osób, świeżych tym razem, i pytają mnie, za czym ta kolejka. Zrobiło mi się szkoda tych ludzi, więc wyjaśniam cichym głosem, że w zasadzie kolejki nie ma, jest natomiast nieporozumienie, że stanąłem przypadkiem, a ludzie się zlecieli.

– Uwierzyli ci? – zapytał Krzych, który zajmował się między innymi psychologią tłumu.

Stefan parsknął krótkim śmiechem.

– Te baby z przodu na mnie naleciały – wyjaśnił, a po chwili namysłu dodał. – One chyba były w zмовie.

– A ci z tyłu? – padło pytanie.

– Logika ich zgubiła – uśmiechnął się Stefan. – Bo dlaczego jestem dziesiąty, jeśli twierdzę, że byłem pierwszy?

Krzych pokiwał głową ze zrozumieniem.

– No i w końcu – ciągnął swoją opowieść Stefan – tył doszedł z przodem do porozumienia, że taki jak ja w ogóle nie powinien stać w kolejce, że na to nie zasługuje. No i wyrzucili mnie.

Krzych uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ale to jeszcze nie koniec – westchnął Stefan. – Tego dnia mieliśmy tylko dwie lekcje. Matka była w domu, bo pracowała na drugą zmianę. Diabeł mnie podkusił, żeby to matce opowiedzieć jako anegdotę. Matka słucha jednym uchem, ale zaczyna zadawać dziwne pytania, co to za sklep, za kim stałem, i widzę, że zaczyna się ubierać. A było to koło tego sklepu, co w nim od dawna żadnych butów nie ma. W połowie opowiadania matka była gotowa do wyjścia. Próbuje wytłumaczyć, zatrzymać, ale bez skutku. W oczach ma dziwne błyski i nic do niej nie dociera... Wróciła do domu po godzinie, czerwona ze złości, oczywiście nic nie kupiła, i z pretensjami do mnie, że się wstydu najadła.

– Zaczynam wierzyć, że ty naprawdę masz pecha – wtrącił Krzych z szacunkiem dla ludzkiego nieszczęścia.

– Wreszcie mówię najspokojniej, jak umiem – kontynuował zbywszy machnięciem ręki uwagę kolegi – mam, czy ja wyglądam na faceta, który z własnej i nieprzymuszonej woli staje w kolejce? I nagle matka oprzytomniała i po raz pierwszy spojrzała na mnie normalnym wzrokiem. Wreszcie powiedziała: „Synku, a ja już cię podejrzewałam o chuligaństwo...”

Muszę jednak przyznać, że ostatnio trochę rzadziej wysyła mnie do sklepu.

– Ja chodzę na pierwszą zmianę jako prosty stacz. Biorę coś do czytania i stoję. Potem przychodzi babcia i zbiera towar – rzekł Krzych. – Stracili do mnie zaufanie, odkąd przepuściłem majonez. Trzy dni była żałoba w domu, ale za to mam spokój. Te kartki na wszystko są trudniejsze od brydza.

Co do tego obaj nie mieli najmniejszej wątpliwości. Stefan zamyślił się nad czymś, a potem powiedział półgłosem:

– Ciekawe, czy ona gra w brydza.

Krzych drgnął i spojrzał na niego nieufnie.

– Kto? Moja babka?

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Chyba zwariowałaś... – powiedział pod nosem.

Stefan zerknął na zegarek.

– Chyba już pójde – powiedział wstając z miejsca. – Dzięki za przechowanie.

Po drodze zajrzał na strych. Mirza powitała go uniesieniem skrzydeł i rozchyleniem dzioba. Tym razem stała pewnie na nogach. Chłopiec zauważył, że mięso zniknęło z miseczki. Wydawało mu się, że po raz pierwszy ptak spogląda na niego z odrobiną ciekawości i nie sprawia wrażenia osowiałego. Przyglądał się jej przez kilka minut, potem ostrożnie zamknął drzwi i zszedł do mieszkania.

Rodzice szykowali się już do snu. Słyszac za ścianą ich spokojne głosy doszedł do wniosku, że w czasie jego nieobecności kłótnia została zażegnana.

Nie chciało mu się nastawiać wody na mycie, więc wlaź pod lodowaty prysznic, Zimny strumień wody zapał mu dech, mydło nie dawało się spłukać, ale po wyjściu doświadczył uczucia przyjemnego ciepła i świeżości.

Jeszcze do niedawna mył się niechętnie. Ulegał raczej przymusowi matki niż nawykowi. Stosował też przeróżne wybiegi, żeby uniknąć kąpieli, moczenie włosów, parskanie i chlapanie w wannie, co miało przekonać rodziców. Potem zaczął wykorzystywać kąpiel jako jeden ze sposobów kształtowania silnej woli, karał się zimnym strumieniem za rozmaite przewinienia, aż wreszcie nie zdając sobie z tego sprawy przyzwyczaił się do systematycznych ablucji.

Przed snem miał zwyczaj czytać, ale tego wieczoru nie mógł się skupić na lekturze książki. Zgasił światło i leżał z otwartymi oczami słuchając miarowego tykania budzika. Początkowo nie myślał o niczym, potem obrazy zaczęły napływać same, bez udziału woli. Wyobraził sobie, że podchodzi do niej pewnym krokiem i patrzy jej w oczy. Długo, około pięciu sekund.

Torba wypada dziewczynie z rąk... Zatrzymał ten obraz i dokonał drobnej korekty, tak żeby torba nie trafiła w nogę, bo wtedy wszystko przepadło, nastrój pryska, on zostaje z wytrzeszczonymi oczami albo ryzykuje zderzenie czołowe przy schylaniu. Więc patrzy jej w oczy, najlepiej w taki punkt między oczami, to działa hipnotyzujące.

– Marta... – wymawia jej imię niskim zniewalającym głosem.

– Stefan, nie musisz nic mówić... Ja też – słyszy jej drżący liryczny alt.

– Tak długo czekałem, Marto.

– Pocałuj mnie... Chcę tego – jej oczy patrzą na niego z całkowitym oddaniem osiągalnym jedynie w filmach.

– Nie tutaj. Woźna patrzy – mówi łagodnym, ale zdecydowanym głosem, jak przystało na mężczyznę godnego wielkiego uczucia.

Wzmianka o woźnej zmusiła go do trzeźwiejszych rojeń. „No właśnie” pomyślał „to było do przewidzenia. Człowiek nie ma warunków do normalnej egzystencji” skonstatował ze smutkiem. Odrzucił to marzenie jako nieżyciowe. Może lepiej byłoby napisać list.

„Droga Marto...” zaczął i natychmiast pojawiły się wątpliwości. Taka drożyzna w liście nie wygląda najlepiej. Mógłby wprawdzie napisać „Kochana Marto”, ale wtedy nie ma o czym dalej pisać. „Do M.” – przyszło mu do głowy. Oceniał ten początek jako niezły. Co prawda było w lekturze, ale ona przecież lubi poezję. Ciąg dalszy sprawiał mu jednak trudności. „Piszę do ciebie...” Nie musi chyba pisać, że pisze, bo to widać na pierwszy rzut oka.. Może więc „Piszę, bo muszę”? Brzmiało to stanowczo, ale była to jedyna zaleta. „Zdecyduj się?”... Na co ona właściwie ma się decydować? I dlaczego?... „Wystąpiły u mnie objawy uczucia...” Niby wiadomo o co chodzi, a jednak nie jest to osiągnięcie stylistyczne.

Doszedł wreszcie do wniosku, że nawet gdyby udało mu się sklecić przyzwoity list, to i tak musiałby w końcu podejść do niej i porozmawiać. Oczywiście w odpowiednim momencie... Ale który moment jest odpowiedni? Przecież w chwili podchodzenia nawet najodpowiedniejszy moment przestaje być zwykle odpowiedni.

Wyobraźnia podsunęła mu na pociechę nową scenę. Dziewczyna miała na twarzy wyraz zdecydowania.

– Stefan, to nic strasznego – powiedziała po prostu miłym serdecznym tonem. – Tyle jeszcze seansów przed nami. Chodź po bilety! Nie traćmy czasu – mówiąc to wyciągnęła do niego dłoń. Zatrzymał ją w mocnym uścisku.

– Więc chcesz naprawdę?

– Przecież marzę o tym. Nie mogłam przecież rzucić się na szyję, choć tego chciałam.

– Więc zrób to teraz.

– Tu na nas patrzą, uciekajmy stąd!

Dziewczyna zniknęła, a Stefan został ze swoimi rozterkami. Dialog wydał mu się nienaturalny. Ona pewnie nic takiego nie powie. Jest przecież normalna i do tego nie ma powodów, żeby odczuwać jakieś skłonności do niego. I co z tego, że poszła z nim do kina? Może zależała jej na filmie i było jej wszystko jedno, z kim idzie?

Za mało wiedział o kobietach. Nie miał przecież nawet siostry. A wiadomo, że nawet dwóch braci nie zastąpi jednej siostry.

Wszłuchał się w miarowe tykanie zegara. Zdał sobie sprawę, że czas pracuje na jego niekorzyść.

### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Po długiej przerwie Totek podjął próbę nawiązania ze mną kontaktu. Przyjąłem go oziębło, ale widać był na to przygotowany, bo się jakoś nie zrażał. Wręczył mi, a właściwie próbował wręczyć, bo nie przyjąłem, kostkę do kręcenia jako prezent z podziękowaniami od wdzięcznych uczniów dla trenera. Powiedziałem mu, że szczerze żałuję, jeśli ich czegokolwiek na-



uczyłem. Przyznać jednak muszę, że trochę się wzruszyłem. Totek nikomu nic w życiu nie dał, wręcz przeciwnie. Powiedział wspaniałomyślnie, że całą przeszłość bierze na siebie, więc zgodziłem się pożyczyć od niego kostkę na parę dni.

W domu zacząłem oczywiście majstrować przy niej. Ojciec udawał, że nie zwraca na to uwagi, ale widziałem, że wynalazek go zaintrygował.

W środku nocy obudził mnie chrzęst i ciche przekleństwa dobiegające z kuchni. Podkra-  
dłem się na palcach i zobaczyłem taką oto scenę:

Mój ojciec, niejaki Kazimierz Olber, człowiek poważny i jak sam o sobie mawia, zdyscy-  
plinowany, siedział na stołku w rozchelstanej piżamie. Włosy miał zmierzwione i wzrok dzi-  
ki.

W rękę trzymał kostkę i patrzył na nią jak wąż na ptaka. Widocznie koncentrował się na  
jakimś nowym układzie. A jednak słychać było jakieś skrzypienie. Okazało się, że ojciec  
zgrzyta zębami.

– Kto to wymyślił, do jasnej cholery?! – powiedział do siebie.

– Podobno jakiś węgierski matematyk – odpowiedziałem mu uprzejmie.

– A to łajdak! – wrzasnął ojciec wcale się nie przejmując moją obecnością. – Nie chciał-  
bym być na jego miejscu, kiedy go spotkam! – następnie zaczął się straszliwie znęcać nad  
kostką.

Weszła matka i zapytała zaspianym głosem, co tu się dzieje. Ojciec nic nie odpowiedział,  
tylko skrzypiał kostką i zgrzytał zębami.

Wyjaśniłem, że głowa rodziny jest właśnie zajęta grą umysłową.

– On chyba zwariował! Jest przecież druga w nocy! – zawyrokowała matka, a ja musiałem  
przyznać, że nie jest to wykluczone, bo podobno takie wypadki zdarzały się częściej niż uło-  
żenie wszystkich sześciu ścianek.

Zażądała wydania zabawki, ale ojciec wcale nie chciał słuchać. Co chwila przychodził mu  
do głowy pomysł na ułożenie kostki w ciągu kilkunastu sekund, co oczywiście nie było praw-  
dą. Stałem po stronie matki ze względu na dobro rodziny, ale metody zwykłej perswazji  
okazały się nieskuteczne.

Wreszcie przeprowadziliśmy z mamą naradę wojenną i przystąpiliśmy do zdecydowanych  
działań. Błyskawicznie wykręciłem korki, a matka korzystając z zaskoczenia rozbroiła ojca.

Na szczęście był wyczerpany grą umysłową i bronił się słabo. Tłumaczyliśmy mu łagod-  
nie, że jest przecież rozebrany, a w kuchni jest zimno, więc może się przeiębić. Nagle ze-  
sztywniał.

– Rozebrany? – powiedział dziwnym głosem. – Już wiem, co trzeba zrobić! Jutro ją rozło-  
żę na części, a potem złożę! – i zaśmiał się szatańskim śmiechem.

Zasnął od razu jak małe dziecko.

Matka rozkazała mi pozbyć się rano niebezpiecznej zabawki. Rozkaz wykonałem.

Podszedł do Marty stanowczym krokiem. Tym razem był zdecydowany na wszystko.

– Idziesz do domu? – zapytał z determinacją, jakby chodziło o coś nie tyle oczywistego co  
nieuchronnego.

– Nie idę do domu. A dlaczego pytasz? – zdziwiła się dziewczyna.

Przecząca odpowiedź pokrzyżowała mu całkowicie szyki. A więc nie... Była to wprawdzie  
odpowiedź na proste pytanie, która nie powinna mieć znaczenia, ale on uznał to za generalną  
odmowę na propozycje, których nie zdążył jeszcze poczynić. „Aha, więc to tak!” pomyślał  
sobie.

Ktoś, kto w samotności przygotowuje się do rozmowy, rozważa wszystkie możliwości i  
spodziewa się przy tym najgorszego, jest zwykle mało odporny na drobne przeciwności, bo  
wszystkiego przecież przewidzieć nie sposób. Jeśli wszystko, co da się przewidzieć, ma zna-  
czenie, to także nie jest bez znaczenia to, czego się przewidzieć nie da. W takiej sytuacji do

żadnej rozmowy zwykle nie dochodzi, bo człowiek ma pretensje, zanim się znajdą wystarczające po temu powody. Dlatego Stefan powiedział:

– Nie, to nie – co stanowiło kwintesencję wszystkich jego rozterek i wątpliwości i zamierzał odejść, tym razem ostatecznie i nieodwołalnie.

I tak by się stało, gdyby nie to, że kobiety, nawet bardzo młode, powodowane są często intuicją i ciekawością. Ponieważ intuicja podpowiadała Marcie to, co ciekawość chciała potwierdzić, dziewczyna zażądała bliższych wyjaśnień.

– To nieważne – odpowiedział chłopak, który rzeczywiście w tej właśnie chwili czuł, że nic nie jest ważne.

Nie była to oczywiście odpowiedź, która zaspokoiłaby ciekawość kobiety, nawet bardzo młodej, i potwierdziła jej intuicję.

– Nie idziesz, więc nie ma sprawy – stwierdził Stefan tonem lekkiej urazy, na co trudno było znaleźć rozsądne uzasadnienie.

– A co to za sprawa? – zapytała Marta nie zrażając się dziwnym nieco przebiegiem rozmowy.

Wyjaśnił, że sprawa jest nieaktualna, a Marta chciała wiedzieć, z jakich powodów, a kiedy nie otrzymała wyraźnej odpowiedzi, poczuła się lekko dotknięta, jak to bywa z kobietami, których ciekawość nie została w porę zaspokojona.

– Aha – powiedziała krótko i zabrzmiało to w jej ustach niezwykle wieloznacznie. Gdy ma się trochę talentu, to nawet słowom zupełnie niewinnym można przydawać groźną wymowę. Marta posiadała ten talent w zupełnie wystarczającym stopniu, nic więc dziwnego, że chłopak od razu zaczął się tłumaczyć. Mamrotał coś niezbornego w trybie warunkowym i ostrożnie przypuszczającym, potem to na wszelki wypadek odwołał, choć prawdę mówiąc niczego jeszcze nie powiedział, i w ogóle zachowywał się jak tonący, który nie umiejąc pływać, nie chciał skorzystać z rzuconego mu koła ratunkowego, gotów raczej utonąć, niż przyznać się, że nie posiada tej umiejętności, a potem rozmyślił się widząc, że właściwie nie ma wyboru, i postanowił jednak skorzystać z ostatniej szansy.

– Bo gdybyś szła, to mógłbym cię odprowadzić, ale ponieważ to nieaktualne, więc... – tu przerwał nie widząc przed sobą dalszego ciągu.

– Więc chodzi ci tylko o trasę? Tak mam to rozumieć? – zapytała dziewczyna mściwie. Zasłużył przecież na zemstę z powodu rozlicznych matactw i dziwnych pretensji.

Stefan najpierw nie zrozumiał, o co chodzi, a potem skwapliwie zaprzeczył. Oczywiście, że nie to miał na myśli, ale o czym myślał naprawdę, tego nie powiedział.

– Idę na pocztę, a po drodze muszę kupić chleb – pomogła mu Marta.

– Mogę cię odprowadzić – zaproponował natychmiast, ale zaraz zgłosił zastrzeżenie. – Chyba, że nie chcesz.

– Zastanawiam się – powiedziała Marta z dziwnym uśmiechem.

Tym razem przygotował się na wszelkie upokorzenia, więc zniósł ten uśmiech ze stoickim spokojem.

– Zdarzają się napady.

A więc stać go było nawet na drobny podstęp.

– Teraz? W biały dzień? – zdziwiła się dziewczyna.

– Jest pochmurnie – upierał się chłopak.

– No to chodźmy – powiedziała Marta pogodnie.

Poczuł się pewniej i zaraz przypomniał sobie o niedawnej gotowości do upokorzeń i o tym, że jest przecież w zasadzie człowiekiem honoru.

– Nie chciałbym się jednak narzucać – powiedział zupełnie bez potrzeby.

– Od dnia, gdy wybraliśmy się razem do kina, prawie nie odczuwałam twojej obecności – spojrzała na niego poważnie. – Normalna dziewczyna na moim miejscu pomyślałaby, że się na mnie obraziłeś z niewiadomego powodu.

– Ja na ciebie?! W życiu! – zaprotestował Stefan gwałtownie. Brzmiało to przekonująco.

– Ja po prostu jestem małowimny, to wszystko – ciągnął po chwili. – A poza tym, w twojej obecności... – urwał, bo nie znalazł odpowiednich słów. Zastąpił je więc jakimś nieokreślonym gestem.

– Co w mojej obecności? – chciała wiedzieć Marta. Nie było w tym niczego dziwnego, każda dziewczyna na jej miejscu chciałaby znać siłę własnego działania.

– Chciałbym... to znaczy nie chciałbym – w gruncie rzeczy nie wiedział, o co naprawdę mu chodzi – żeby moja obecność... i tak dalej – dodał. – Wiesz, o co chodzi?

To, co wiedziała i to, czego się domyślała, było jej prywatną sprawą, a on nie powinien nadużywać jej domyślności. Powiedziała więc:

– Nie bardzo.

Stefan nawet nie zauważył, że minęli pocztę i szli w stronę dworca kolejowego.

– Jak by to ująć – szukał odpowiednich słów ręką w powietrzu, ale palce trafiały w próżnię. Wykorzystał więc powietrze z najbliższej okolicy do zaczerpnięcia głębokiego oddechu i powiedział: – Po prostu, Marta, ja... sam nie wiem.

Wydawała się nieco rozczarowana, ale uśmiechnęła się dzielnie.

– Całe szczęście, że ja jestem domyślna. Potrzebne są ci po prostu pytania pomocnicze, prawda?

Stefan milczał niezdecydowany.

– A więc pytanie pierwsze? Zdaje się, że ci się trochę podobam? – spojrzała na niego bez cienia kokieterii, badawczo.

– No właśnie! – rozpromienił się nagle. – To nieprawdopodobne? Jak na to wpadłaś? Powiem ci, że nawet dużo więcej niż trochę – nagle zamilkł zażenowany tym potokiem wymowy.

Wypomniała mu, że mógł to po prostu zwyczajnie powiedzieć.

– Nie wiesz wszystkiego – bronił się bez przekonania.

– Coś tam wiem – odpowiedziała z wyższością. – Nie powiedziałaś tego, bo nie masz pewności, czy z kolei ty mnie się też podobasz.

Stefan aż przystanął, tak go zdumiała kobieca przenikliwość. Wyznał ze skrucą, że tak rzeczywiście było, że nie miał takiej pewności, bo i skąd ją miał brać.

– Asekurant! – syknęła Marta.

Wyznał ze smutkiem zaprawionym pokorą, że ma też inne rozliczne wady i że biorą się one stąd, że miał zawsze mnóstwo zajęć...

– Już to kiedyś słyszałam – przerwała mu Marta. – Chiński boks, hipnoza, judo, same męskie dyscypliny.

– Hipnoza to co innego, a poza tym znam trochę japoński masaż shiatsu.

– Pewnie w oparciu o karate! – zgorszyła się dziewczyna. – Jesteś zupełny potwór.

– Przeciwnie, to jest bardzo delikatne – bronił się Stefan. – To ma związek z akupunkturą. Wyobraziła sobie długą igłę w jego rękę i wzdrygnęła się mimo woli.

– Nieszczęśniku! Ty jesteś niebezpieczny dla otoczenia! – krzyknęła ze zgrozą.

Wytłumaczył fachowo, że jest to nieszkodliwa technika dotyku, która w niczym nie przypomina zastrzyków domięśniowych oraz że, jak dotąd, ofiar w ludziach nie było.

– Leczę migreny, skurcze, lekkie przeziębienia – wyliczał na palcach swoje medyczne specjalności.

– Co jeszcze? – zapytała dziewczyna spoglądając na niego ironicznie.

Zastanawiał się chwilę.

– Jeśli chodzi o zaparcia u niemowląt, opanowałem tylko teorię – przyznał skromnie. – Rodzina noworodka nie wyraziła zgody na zabieg.

Marta zbladła nieco i zachwiała się.

– Źle się czujesz? – tym razem okazał się spostrzegawczy. – Może znajdzie się jakiś sposób...

– Spróbuj mnie tylko dotknąć, to zacznę krzyczeć!

Ta gwałtowna reakcja spowodowała, że odruchowo odskoczył i spojrzał na nią zdziwiony.

– Znachor! – syknęła.

– Nie miałem dotąd żadnego śmiertelnego zejścia – starał się nadać głosowi łagodne brzmienie.

Jeśli sądził, że w ten sposób ją przekona do swoich talentów uzdrowicielskich, to bardzo się mylił. Jej spojrzenie kazało mu zachować bezpieczny dystans. Szli w milczeniu.

– Nie chcę być pierwszą ofiarą – wyjaśniła spokojnym tonem.

– Szkoda – powiedział z odrobiną melancholii cichym głosem.

– Powiedziałeś: szkoda? – przez chwilę patrzyła na niego podejrzliwie. – Rozumiem, że nie praktykowałeś jeszcze na dziewczynach.

– Z dziewczynami w ogóle miałem niezbyt szczególne doświadczenia – stwierdził niechętnie.

– No proszę, więc jednak znalazłeś czas na jakieś dziewczyny! Mimo rozlicznych zajęć! – zaśmiała się triumfalnie, ale w tym śmiechu wprawne ucho wyłowiłoby zapewne fałszywą nutę.

– Właściwie to była jedna... To znaczy jedna do dwóch – poprawił się po chwili.

– No proszę – zdziwiła się dziewczyna – żyjemy w takim małym mieście, zdawałoby się, że wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, a tu nagle taka rewelacja. Przyznam się, że nic nie wiedziałam.

Gdyby Stefan potrafił w pełni wykorzystać pracę własnego mózgu i przyznać mu przez los dawkę inteligencji, zapewne pochlebiałoby mu zainteresowanie Marty jego życiem osobistym. Ale to nie przyszło mu nawet do głowy. Wydawało mu się, że to dziwne i tajemnicze zjawisko, które budzi w nim tyle emocji i, nadziei pokpiwa sobie z niego, w związku z czym popadł od razu w ponury nastrój. Marta wyglądała tymczasem na osobę podekscytowaną.

– Jedna do dwóch, powiedziałeś – zastanawiała się głośno. – To jakiś dziwny rachunek.

– Ta druga w zasadzie nic nie wiedziała – nie bez trudności nadał swojemu głosowi obojętne brzmienie.

– A ta pierwsza? Ta całościowa? – zainteresowała się Marta, ciekawość kobiet bowiem, jeśli chodzi o uczucia, jest nieograniczona.

Stefan przypomniał sobie wierszyk o kaczuszkach, którego uczył się jeszcze w przedszkolu i chciał powiedzieć odruchowo, że pierwszej nie było, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Mężczyzna w tym wieku wyobraża sobie bowiem, że powiedzenie dziewczynie, że jest pierwszą, która rozbudziła jego uczucia, jest straszliwym nietaktem. Lepiej zapaść się pod ziemię lub po prostu skłamać. O zapadaniu się pod ziemię jakoś nie słychać, można więc założyć, że kłamią prawie wszyscy. Stefan nie był więc wyjątkiem, gdy wyznał półgębkiem:

– Poznałem ją na wakacjach – liczył, że może to wystarczyć za odpowiedź, i oczywiście przeliczył się.

– Letnia miłość – stwierdziła Marta z przekąsem.

– Przeciwnie, gorąca – chwilowo uznał to za błyskotliwe sformułowanie. Zaraz tego pożałował, teraz musiał brnąć w dalsze kłamstwa, bo o wycofaniu się nie było już mowy. Przypomniał sobie zmyśloną historię, którą opowiedział kiedyś Krzychowi. Wolał jej jednak nie powtarzać. Przy okazji uświadomił sobie, że przeszli na piechotę kawał drogi i mając w pamięci ostrzeżenia Krzycha zaniepokoił się.

– Marta, czy nie zmęczyłaś się?

– Nie, dlaczego pytasz? – zdziwiła się trochę, bo powiedział to z jakąś specjalną troską. – Opowiadaj, co było dalej – zapytała rześkim głosem, bo dziewczyna, która nie może już być pierwszą kobietą w życiu mężczyzny, musi wiedzieć, jakie były te, które ją poprzedzały.

– To była historia krótka i pechowa – zdecydował się na szybkie i dramatyczne zakończenie, które zaoszczędziłoby mu dalszych tortur. – Ona rzuciła mnie bardzo szybko – postanowił zaprezentować się jako ofiara, ale niezupełnie. Jego pomysł polegał na wieloznaczności niektórych słów.

– Odeszła z jakimś playboyem – domyśliła się Marta. – Niewdzięcznica – stwierdziła nie bez złośliwej satysfakcji.

– To, że mnie rzuciła, należy rozumieć dosłownie – powiedział z chytrym uśmiechem. – Zademonstrowała rzut zwany harai-goshi, niestety pechowo. Trafiłem głową na kamień. Kiedy byłem w szpitalu, wyjechała – zakończył szczęśliwie zmyśloną opowieść. Uznał, że tego rodzaju kłamstwo nie powinno specjalnie obciążyć mu sumienia, jego fikcyjna rola była przecież niezwykle skromna, a poza tym gdyby rzeczywiście poznał dziewczynę uprawiającą judo, ich znajomość zakończyłaby się w taki właśnie sposób. To przecież było w jego stylu.

– To nauczka, żeby nie używać dziewczyny jako worka treningowego – podsumowała Marta bezlitośnie.

– Jak to?! – oburzył się szczerze, bo przywiązał się do tej historii i prawie w nią uwierzył. – To przecież ja zostałem potraktowany jak worek! Doznałem nawet lekkiego wstrząsu mózgu.

Wzmianka o wstrząsie mózgu podziałała na nią przygnębiająco. Przypomniała sobie przygodę Telki.

Stefan też sobie coś przypomniał i w związku z tym zapytał, czy nie rozboleły ją nogi. Marta wzruszyła ramionami.

– Rzuciłaby cię wcześniej czy później – powiedziała z przekonaniem.

Z pokorą przyznał jej rację, ale zaraz dodał:

– Mogłoby to być jednak mniej bolesne... W końcu był to dla mnie wstrząs.

– Wiem, wstrząs mózgu. Już coś takiego kiedyś słyszałam. Trafiła kosa na kamień – stwierdziła z ironią. – A jak było z tą niedoszłą? – zapomniała spytać, jak wyglądała pierwsza dziewczyna.

Stefan wyjaśnił, że podszedł do sprawy naukowo, co wywołało zdumienie Marty.

– Jak to rozumieć? Przygotowałeś referat? Zrobiłeś jej analizę? – dopytywała się marszcząc czoło.

– Wiesz, chciałem wypaść przyzwoicie, a bałem się, że wszystko wyjdzie jak w takim dowcipie. Dziewczyna podnosi słuchawkę, słyszy męski głos, ale niezbyt wyraźny. Pyta, kto mówi, znowu słyszy niewyraźną odpowiedź... i tak dalej, znasz to na pewno, to stary witz.

– Jakoś nie pamiętam. A kto dzwonił?

– Cichy wielbiciel! – wrzasnął jej Stefan do ucha aż kilka osób zatrzymało się i popatrzyło na nich surowo.

– Zwariowałeś?! Ludzie się za nami oglądają – zachnęła się Marta.

– E, tylko mężczyźni – zlekceważył opinię publiczną.

– Czy ja znam tę dziewczynę? – padło ostrożne pytanie.

Wahał się chwilę.

– W pewnym sensie. To znajoma twoich znajomych.

Marta przyglądała mu się badawczo. Po jej twarzy przemknął cień uśmiechu.

– Może nie powinieneś tak łatwo rezygnować – powiedziała cichym, miękkim głosem.

– Jeśli chodzi o dziewczyny, to nie miałem nawet siostry – wyznał tonem człowieka poszkodowanego.

– Biedactwo – w jej głosie nie było wcale litości, tylko ironia – nie miał siostrzyczki i nie zadawał się z dziewczynkami. Jest nieszczęśliwy i czeka, aż mu się oświadcze.

– Naprawdę? – ucieszył się naiwnie.

– Nie doczekasz się.

Zesztywniał i przybrał oficjalny wyraz twarzy.

– No cóż, mogłem to właściwie przewidzieć – wyznał ponurym tonem. – Głupio wyszło, ale życzę ci szczęścia •– zabrzmiało to pompatycznie i trochę śmiesznie.

Marta spojrzała na niego z politowaniem.

– Nie masz chyba zamiaru zostawić mnie samej na środku szosy? Przecież sam mówiłeś, że zdarzają się napady.

– Ale nie w biały dzień.

– Jest pochmurnie – przypomniała uśmiechając się dziwnie.

– No więc dobrze – zgodził się po namyśle. – Nie potrafię ci odmówić ze względu na uczucie – dodał cicho.

– Czy ja się przesłyszałam, czy rzeczywiście mówiłeś coś o jakimś uczuciu? – spytała uśmiechając się chytrze.

Stefan chrząknął z zażenowania.

– Zauważyłem u siebie pewne objawy uczuciowe – wyznał niechętnie. – Prawdę mówiąc to właściwie pierwszy raz – i zaraz dodał – to znaczy w tym nasileniu.

– Czy to uczucie jest może do kogoś skierowane? – zadając to pytanie uśmiechnęła się niewinnie.

– Marta, jak możesz? – jęknął chłopak.

– Nie mogę inaczej. Inne sposoby zawiodły – stwierdziła po prostu.

– No więc, jest skierowane do ciebie – wyznał to w sposób możliwie obojętny.

– Nareszcie – wyglądała na zadowoloną. – Masz u mnie trzy z plusem za tę odpowiedź.

– Łatwo ci się śmiać – był wyraźnie przygnębiony tym wyznaniem – nie jesteś poszkodowana uczuciowo.

– Ty głupi chłopaku. Ja się cieszę – powiedziała cichym głosem.

Stefan nie przypuszczał, że nazwanie go głupim chłopakiem może mu sprawić taką przyjemność. Przez jakiś czas szli w milczeniu, ale nie była to niewygodna kłopotliwa cisza, z którą nie wiadomo co robić, lecz milczenie pełne wzajemnego zrozumienia. Potem Stefan nie wytrzymał i zapytał po raz kolejny, czy nie rozboleła ją nogi. Nastrój prysnął. Dziewczyna przyglądała mu się z wyrzutem. Nie bez trudu udało się jej przywrócić atmosferę.

Stefan podejrzewał, że Marta wiedziała od początku o jego skrywanym afekcie. Dziewczyna nie zaprzeczyła. Miała podstawy, żeby się tego domyślać.

– To przecież nie w porządku – Stefan kręcił głową. – Wymusiłaś zeznanie.

– Wyznanie – sprostowała z naciskiem. Nie powinien się dziwić, że chciała to usłyszeć.

Zatrzymali się pod rozłożystym drzewem rosnącym nie opodal szosy. On uznał, że cień tego drzewa jest odpowiedni do złożenia jeszcze jednej deklaracji. Powiedział jej, że nigdy jeszcze nie pocałował dziewczyny, to znaczy nie licząc jednego razu, kiedy był kompletnie nieletni oraz zabawy w listonosza, bo zabawy przecież nie można traktować poważnie.

– Wiem, miałeś przecież mnóstwo zajęć – rzekła Marta patrząc mu głęboko w oczy, nawet z pewną przesadą.

Stefan stwierdził trochę nieśmiało, że właśnie teraz gotów jest nadrobić te braki.

– Chyba zwariowałeś! Tutaj? W biały dzień?! – udawała oburzenie.

– Przecież ustaliliśmy, że jest pochmurnie – nalegał, a jednak nie miał odwagi przedsiębrać śmielszej akcji. Nagle przyszedł mu do głowy szczęśliwy pomysł.

– W tej sytuacji pozostaje mi tylko skorzystać z hipnozy. Jestem już dość zaawansowany w eksperymentach – powiedział nieskromnie.

Marta przygryzła wargę, a potem uśmiechnęła się sceptycznie.

– Nie wierzę, żeby coś takiego mogło działać na dziewczynę – stwierdziła z lekceważeniem, co sprowokowało Stefana do energicznych zapewnień o skuteczności hipnozy. Marta zgodziła się w końcu zaryzykować. Ze szkolnych toreb wymościł jej pod drzewem coś w rodzaju fotela. Usypianie nie trwało długo, Marta okazała się wrażliwym medium, po kilku minutach osiągnęła trans. Czuł dziwne drżenie widząc ją uśpioną i poddaną jego woli. Pocało-

wał ją delikatnie i niewprawnie, potem kazał otworzyć oczy, długo mówił w monotony, ale sugestywny sposób. Powiedział, że po przebudzeniu będzie miała ochotę częściej się z nim spotykać i że powie mu o tym.

– Pamiętaj o tym, kiedy się obudzisz, a teraz zamknij oczy, za chwilę dotknę twojej ręki, wtedy znowu otworzysz oczy i nie będziesz pamiętała niczego.

Marta posłusznie wykonała wszystkie polecenia. Gdy ujął jej dłoń, zatrzepotała powiekami. Była uśmiechnięta i przyjemnie podniecona, znak, że sam trans i przebudzenie przebiegło bez zarzutu.

– To już? – spytała zdziwiona. – Wiesz, to było całkiem przyjemne.

– Teraz wierzysz? – sam był zdumiony swoimi niebywałymi zdolnościami.

– To trwało tak krótko, że aż trudno uwierzyć – opowiadała o swoich wrażeniach z emfazą, a na zakończenie powiedziała: – Chciałabym, żebyśmy spotykali się częściej.

– Niczego nie pamiętasz? Prawda? – chciał się upewnić. Marta uśmiechnęła się.

– Przeciwnie, pamiętam każde słowo i nie tylko.

Uświadomił sobie, że wciąż trzymają się za ręce.

– Więc jednak nie udało się – powiedział bez żalu i oboje wybuchnęli śmiechem, który przygasał na chwilę, a potem z byle powodu ogarniał ich na nowo, aż wyczerpani zupełnie kolejnymi paroksyzmami, nieświadomi tego przyłgnęli do siebie i nagle stali się śmiertelnie poważni. Długo patrzyli sobie w oczy i tym razem jak w prawdziwym transie ich usta zetknęły się po raz drugi w ostrożnym i nieśmiałym pocałunku. Gdy jej zimny nosek oparł się na jego policzku, ogarnęła go fala tkliwości. Wtem za ich plecami rozległ się przeraźliwy klakson. Oskoczyli od siebie raptownie i obejrzel się. Pasażerowie przejeżdżającego powoli fiata rechotali i wykrzykiwali pod ich adresem jakieś komentarze. Z tej odległości nie docierały do nich słowa, ale łatwo mogli domyślić się ich treści. Stefan zacisnął zęby i poczuł, że paznokcie Marty wpijają mu się w dłoń.

Gdy fiat zniknął, próbował ją objąć delikatnie, ale jej ciało było sztywne i odporne.

– Chodźmy stąd – powiedziała obcym głosem. Wargi drżały jej lekko. – Dlaczego, przecież nic im nie zrobiliśmy – dodała ciszej.

– Nie przejmuj się, to zawiść – próbował ją pocieszać, choć sam nie mógł się oprzeć przykremu wrażeniu.

Na szczęście pamięć o drobnych, nieprzyjemnych epizodach wcale nie jest taka trwała. Po drodze, mówiąc o wszystkim i o niczym zapomnieli o tym incydencie. Stefan był zaskoczony, że z taką łatwością i o tylu sprawach można mówić z dziewczyną.

Tego dnia nadmiar wrażeń nie pozwalał mu usiedzieć na miejscu. Wieczorem wymknął się więc do Krzysztofa, który powitał go raczej bez entuzjazmu.

– A, to ty – stwierdził patrząc na niego z roztargnieniem.

Stefan wszedł do pokoju swobodnym krokiem człowieka zadowolonego z siebie, więc Krzych wrzasnął:

– Uważaj na kabel! Nie widzisz, że nagrywam?! – troskliwie obejrzał aparaturę, na szczęście wszystko było w porządku.

– Byłem głupi – stwierdził ni stąd, ni zowąd Stefan.

Krzysztof uniósł głowę znad magnetofonu i przyjrzał mu się uważnie.

– Po pierwsze nie rozumiem, dlaczego mówisz o tym w czasie przeszłym, a po drugie nie miotaj się, bo wyrwiesz kabel – napomniał go po raz drugi, własnym ciałem osłaniając cenną aparaturę.

– Nagrywasz? – zauważył poniewczasie Stefan rozglądając się niezbyt przytomnie.

– Jesteś nie tylko głupi, jak słusznie i samokrytycznie zauważyłeś – rzekł Krzych kiwając z politowaniem głową – ale na dodatek głuchy.

Obelga nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Przeciągnął się leniwie i powiedział obojętnym głosem:

– Możesz mnie obrażać. Spływa to po mnie jak woda po kacze.

– Ze względu na ptasi mózg, czy są może jakieś inne powody? – zapytał uśmiechając się zjadliwie.

– Przebaczam ci, przyjacielu – podkreślił swoją wielkoduszność okrągłym gestem.

W oczach Krzysztofa pojawiło się zainteresowanie. W naturze rzadko spotyka się stoicki spokój w stanie czystym.

– To coś nowego! On jest wspaniałomyślny. A może on jest chory? – zastanawiał się głośno. – Człowiek zdrowy tak nie reaguje.

Stefan spojrzał na niego łagodnie i uśmiechnął się wyrozumiale.

– Lubię nawet i to, że jesteś złośliwy jak pawian. Akceptuję twoje wady.

Krzysztofowi opadła szczęka. Potem na jego twarzy pojawił się wyraz niesmaku i wreszcie na końcu rezygnacji.

– Dobra, poddam się – westchnął i bezradnie rozłożył ręce. – To rzeczywiście w najwyższym stopniu obelżywe – przyznał z szacunkiem. – Punkt dla ciebie.

Stefan skinął obojętnie głową.

– Pewnie mam osłabiony organizm – Krzych szukał przyczyn własnej niedyspozycji. – Dwie i pół godziny stałem z rodziną w kolejce po tak zwane środki piorące. Do tego udawaliśmy, że się nie znamy, co i tak nie miało najmniejszego sensu, bo w tym mieście wszyscy się znają.

– Pokolenie kryzysu będzie miało żyłaki jako znak rozpoznawczy – stwierdził Stefan sentencjonalnie. Po tym stwierdzeniu zaległa chwila ciszy.

– Pamiętasz tę dziewczynę? – zagaił Stefan.

– Nie, nie pamiętam – padła natychmiastowa odpowiedź.

– Myślę o Marcie, rozmawialiśmy o niej.

– Nie pamiętam takiej rozmowy – odpowiedział Krzych z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie udawaj! – zachnął się Stefan przyglądając się przyjacielowi podejrzliwie.

– Coś ci się chyba przyśniło. Chcesz mi wmówić jakąś zmyśloną rozmowę – odpowiedział unikając wzroku kolegi.

Stefan patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Nie pamiętasz? Parę dni temu? Kiedy byłem u ciebie ostatnim razem.

Krzych oznajmił zimnym tonem, że nie było go wtedy w domu.

– Nie musisz się zgrywać. Rozmawiałem z nią.

– To nie moja sprawa – usłyszał w odpowiedzi. Postanowił jednak nie zrażać się tym niezrozumiałym uporem.

– Zdecydowałem się, że z nią porozmawiam... – zaczął się zwierzać, ale Krzych przerwał mu natychmiast.

– Możesz mówić, ja i tak nie słucham – powiedział rozkręcając magnetofon na cały regulator – a gdybym nawet coś usłyszał, to od razu zapomnę. Pamiętam natomiast dobrze przejście z facetem, który szukał u mnie dobrej rady. Kiedy mu udzieliłem, rzucił się na mnie i chciał mnie bić za przekonania. Od tej pory postanowiłem nie mieszać się w sprawy wewnętrzne.

Wyglądało na to, że tym razem nie ma najmniejszej ochoty podjąć się roli powiernika.

Stefan próbował przypisać mu zasługi, powiedział, że zdecydował się na rozmowę dzięki niemu, sądząc, że zmięknie, ale Krzych upierał się, że nie chce z tym mieć nic wspólnego. Chęć zwierzeń była jednak przemożna.

– Wiesz, początkowo miałem pewne zahamowania ze względu na godność osobistą – z uporem usiłował skierować rozmowę na interesujący go temat.

Tym razem Krzych wykazał odrobinę zainteresowania.



- Więc poświęciłeś godność? – ucieszył się. – Miło to usłyszeć.
- Nic nie rozumiesz – zniecierpliwził się. Miał już dosyć tych ironicznych przytyków. – To święta dziewczyna – dodał po chwili z wahaniem. – I ja też jej się podobam.
- Wierzę ci na słowo – oznajmił Krzych uśmiechając się krzywo. – Bo chyba tego nie nagrałeś?
- No i co o tym wszystkim myślisz? – spytał Stefan budząc się z zamyślenia. Na twarzy kolegi pojawił się pełen niechęci grymas.
- Powiem ci prawdę tylko dlatego, że poświęciłeś godność osobistą – zmarszczył czoło i udawał głęboki namysł.
- Stefan czekał w napięciu na odpowiedź.
- Ona musi być nienormalna – zawyrokował krótko Krzych.
- Nie wyglądał na zadowolonego z tej odpowiedzi. Krzych na wszelki wypadek odsunął się na bezpieczną odległość. W oczach przyjaciela zauważył niebezpieczne błyski.
- Musiałeś mnie źle zrozumieć – tłumaczył gorączkowo, widząc, że Stefan podnosi się powoli. – Miałem na myśli to, że dziewczyna, która decyduje się na kogoś takiego jak ty, musi odbiegać od normy... to znaczy oczywiście w sensie pozytywnym – uzupełnił szybko, widząc, że Stefan zbliża się powoli. Dodał na wszelki wypadek, że za usiłowanie zabójstwa grozi kara pozbawienia wolności. Suma tych argumentów spowodowała, że Stefan opuścił ręce.
- Przekonałeś mnie, że to wyjątkowa dziewczyna – rzekł z przekąsem Krzych. Przyznał mu łaskawie rację.
- Mogę się mylić – zastrzegł się Krzych i zaraz na wszelki wypadek dodał: – ale zdaje się, że nie mam wyboru.
- Uśmiechnął się cierpko i pokiwał głową z politowaniem.

#### *Z dziennika młodocianego pechowca*

Powiniennem właściwie zacząć drugą część dziennika, tym razem pod nową nazwą. Nie jestem już przecież taki młodociany, a na brak tak zwanego szczęścia też ostatnio nie mogę narzekać. Jeśli ktoś ma pecha, to raczej Marta, bo trafiła na mnie. Ja jestem zadowolony, jeśli to odpowiednie słowo na tę okazję.

Zaprowadziłem Martę na strych i pokazałem jej moją jastrzębicę. Ona też uznała, że Mirza jest piękna. Wygląda już na zupełnie zdrową. Próbuje latać, ale na strychu nie może rozwinąć skrzydeł. Jest nadal dzika i nieufna, ale przy tym strasznie łakoma i zdarza jej się brać pokarm z ręki, choć wygląda przy tym na oburzoną. Zdaje się, że uważa się za damę i jedzenie komuś z ręki uznaje za rzecz uwłaczającą.

Przywiązałem się do niej, ale wiem, że ona jest bardziej przywiązana do wolności. Uwolnić ją też nie będzie łatwo, bo nie jest łatwo złapać coś, co ma ostry dziób, szpony i potrafi unosić się w powietrzu. Przez okno jej przecież nie wypuszczę, może przecież okazać się za słaba, żeby osiągnąć las. Trzeba wrócić do punktu wyjścia, do miejsca, gdzie ją znalazłem.

Czekał na Martę przy szosie u wylotu z miasta. Spóźniła się kilkanaście minut, ale była piękna słoneczna pogoda, więc oczekiwanie nie było przykre. Wreszcie nadjechała. Jej przyspieszony oddech dowodził, że szybką jazdą chciała nadrobić spóźnienie.

Stefan zachowywał się dziwnie. Sądziła początkowo, że to z powodu spóźnienia, ale dostrzegła, że słucha jej usprawiedliwień z pobłażliwym roztargnieniem. Minę miał tajemniczą i uroczystą.

Zauważyła, że do bagażnika roweru przytroczył wiklinowy kosz z przykrywką.

– To prowiant? – zdziwiła się.

– Niespodzianka – odpowiedział krótko. – Jedź pierwsza.

Z trudem opanowała ciekawość i powstrzymała się od dalszych pytań. Początkowo jechali szosą w kierunku Olsztyna, nie mogli więc rozmawiać z konieczności, ale gdy znaleźli się na leśnej drodze, rozmowa nie kleiła się. Na jej pytania odpowiadał monosylabami i robił wrażenie nieobecny duchem. Po kilku nieudanych próbach Marta zamilkła, trochę urażona.

W pewnej chwili Stefan zahamował gwałtownie.

– To tutaj – powiedział tajemniczym głosem.

Rozejrzała się z ciekawością, ale nie zauważyła niczego szczególnego.

– To ma być ta niespodzianka? – wydawała się rozczarowana.

Stefan tymczasem ostrożnie zdjął kosz z bagażnika. Spojrzał na Martę z powagą, w której było coś dziecięcego. Udzielił się jej uroczysty nastrój. Patrzyła na niego wyczekująco.

Chwilę stał niezdecydowany przygryzając wargę. Wreszcie przyklęknął, uniósł pokrywę kosza i cofnął się dwa kroki.

Blask słońca oślepił Mirzę, skuliła się i przyłgnęła do dna kosza. Stefan poczuł, że Marta przywarła do niego całym ciałem. Objął ją delikatnie nie spuszczać oczu z jastrzębia. Był jej wdzięczny za to, że nie zadawała zbędnych pytań.

– No, Mirza! – powiedział zachęcająco.

Jastrzębica powoli oswajała się z otoczeniem. Rozglądała się nieufnie kręcąc łbem, wreszcie zdecydowała się wskoczyć na brzeg kosza. Ostrożnie rozprostowała skrzydła.

Wstrzymali oddech. Ptak wykonał niezgrabnie parę próbnych ruchów i nagle niespodziewanie wzbil się i wylądował na gałęzi pobliskiej sosny.

– Czy ona wróci? – zapytała szeptem Marta.

Stefan powoli pokręcił głową.

– Wiesz – powiedział stłumionym głosem – uświadomiłem sobie, że nazwałem ją Mirza na twoją cześć.

– Nie rozumiem.

– Trzy litery twojego imienia: „em”, „er” i „a”. Tyle mi zostanie, mam nadzieję. I jeszcze to – odsłonił przedramię, na którym widniały blizny po szponach i uderzeniach dzioba. Uśmiechnął się z przymusem.

– Gikgikgikgikjagija – Mirza wydała przeraźliwy bojowy okrzyk, który zabrzmiał jak dzika pieśń pożegnalna. Po chwili przemknęła nad ich głowami i w szybkim i pewnym locie zniknęła za ścianą lasu.